

JULIUSZ VERNE

TAJEMNICA ZAMKU
KARPATY

Przełożył: WACŁAW LESZEK KOBIELA

Zixo Reader

Spis treści

I	3
II	11
III	17
IV	22
V	31
VI	39
VII	46
VIII	54
IX	64
X	71
XI	79
XII	86
XIII	89
XIV	96
XV	100
XVI	105
XVII	111
XVIII	113

I

Historia ta nie jest wcale baśnią, jest ona jedynie romantyczna. Czyż jednak jej nieprawdopodobieństwo upoważnia do wyciągania — wniosku, że jest równie nieprawdziwa? Nic bardziej błędnego. Żyjemy przecież w czasach, w których wszystko zdarzyć się może, nieledwie mamy prawo powiedzieć, że wszystko już się zdarzyło. Jeśli więc opowieść nasza dziś jest nieprawdopodobna, to dzięki możliwościom nauki jutro stanie się zupełnie wiarygodna i nikt nie ośmieli się zaliczyć ją do baśni.

Owego roku, 29 maja, pewien pasterz pilnował swego stada na skraju pokrytego zielenią płaskowyżu u stóp Retezatu, który wznosi się nad urodzajną doliną, zalesioną drzewami jak kolumny i bogatą w piękne tereny uprawne. Ten wysoki, niczym nie osłonięty płaskowyż, północno-zachodnie wiatry, wiejące zimową porą, oczyszczały z wszystkiego na gładko, tak jakby balwierz ogolił go brzytwą. Zresztą w tym kraju zwrot „ogolić kogoś” oznacza czasem po prostu oskubać go z tego, co posiada.

Pasterz, o którym mowa, nie miał nic arkadyjskiego w ubiorze ani sielankowego w postawie. Nazywał się Frik, Frik z wioski Werst; o swój wygląd zaś dbał tyle co i o swe zwierzęta. Pasował więc do odrażająco brudnej lepianki, zbudowanej na obrzeżu wioski, którą zamieszkiwał pospołu z owcami i świniami. Istny chlew — to zresztą jedyne określenie, które zdaje się pasować do nędznych owczarni całego komitatu.*

Ów prosty pastuch, leżąc na kopcu uścielonym z trawy, najczęściej na wpół drzemał, na wpół czuwał, z wielką fajką w zębach; czasami gwizdał na psy, gdy jakieś jagnię oddaliło się od pastwiska, lub trąbił na ustniku fajki, a zwielokrotnione echo wracało odbite od gór.

Jakież rodowód mógł mieć ów pasterz Frik? Czyżby był zwyrodniałym potomkiem starożytnych Daków? Niełatwo to określić, patrząc na jego skołtunioną czuprynę, brudną

twarz, rozczochraną brodę, brwi niczym dwie szczotki z czerwonego włosia, ni to zielone, ni niebieskie oczy, pod którymi zwisały wilgotne, starcze wory. Trudno uwierzyć, że ma dopiero sześćdziesiąt pięć lat. Jest jednak prosty, wysoki, chudy, a żółtawy serdak, który go okrywa, jest mniej owłosiony niż jego pierś. Każdy malarz bez wahania wykorzystałby taki model, gdyby go ujrzał w plecionym kapeluszu, podobnym do wiechcia słomy, podpartego na swym ostro zakrzywionym kij, nieruchomego jak skała.

Gdy słońce zniżyło się nad horyzont, Frik się poruszył. Na wpół zwiniętą dłonią osłonił oczy, podobnie jak robi się z ręki tubę, żeby być lepiej słyszany, i rozejrzał się bardzo uważnie.

W prześwicie nad horyzontem, o dobrą milę, zmniejszone przez odległość rysowały się kształty fortecy. Na samotnym grzbiecie przełęczu Vulkan wyższą część płaskowyzu zwanego Orgall zajmował antyczny zamek. W jaskrawej grze światła jego rzeźba uwidaczniała się ostro, z taką wyrazistością, jaką dają zdjęcia stereoskopowe. Mimo to oczy pastucha musiały być obdarzone niezwykłą siłą widzenia, skoro rozróżniały pewne szczegóły tego oddalonego masywu.

Oto co wkrótce zawołał podnosząc głowę:

— Stara forteco!... Stara forteco!... Próżno się puszysz na swych podwalinach!... Jeszcze trzy lata i przestaniesz istnieć, ponieważ twemu bukowi zostały tylko trzy gałęzie!

Buk, rosnący na krańcu jednego z bastionów fortecy, odcinał się czarnym cieniem na tle nieba, jakby wykrojony z papieru, i nikt prócz Frika nie dojrzałby go z takiej odległości.

Słowa pasterza — wywołane pewną legendą dotyczącą zamku — będą wyjaśnione w swoim czasie.

— Tak! — powtarzał — trzy gałęzie. Jeszcze wczoraj były cztery, lecz jedna odpadła tej nocy... Został jedynie kikut... Stary pień ma tylko trzy gałęzie... Tylko trzy, stara forteco, tylko trzy!

Frik miał opinię czarownika, który potrafi wywołać duchy, a wampiry i strzygi umie zmusić do posłuszeństwa. Ludzie wierzyli w to, ponieważ nieraz widywali go w czasie przesilenia księżyca, podczas ciemnych nocy, siedzącego okrakiem na przegrodzie wodnego młyna i rozprawiającego z wilkami lub patrzącego w gwiazdy, tak jak widuje się mu podobnych w dzień przestępny.*

Trzeba przyznać, że Frik potrafił ciągnąć z tego korzyści. Rzuczał uroki i odczyniał je, a nie robił tego bezinteresownie. Należy jednak zaznaczyć, że sam był równie łatwowierny jak jego klientela, a choć niezbyt wierzył we własne czary, to wiarę w legendy krążące po okolicy podtrzymywał i wzmacniał. Nie dziwny się więc, że rozpowszechnił też przepowiednię głoszącą zniknięcie starej fortecy.

Gdy więc na buku zostały jedynie trzy gałęzie, Frik popędził zanieść tę nowinę do Werstu. Trąbiąc ile sił w płucach na długim cybuchu swej fajki z białego drewna, zebrał stado

i skierował je na drogę do wsi. Zwierzęta popędzane były przez towarzyszące mu psy — dwa mieszańce półgryfony, złe i dzikie, które zdawały się mieć ochotę raczej pożreć owce, niż je chronić. Stado składało się z setki baranów i owiec, w tym z tuzina zeszłorocznych; pozostałe liczyły sobie trzy i cztery lata, czego oznaką był fakt, że miały po cztery lub sześć zębów.

Stado to należało do sędziego Koltza z Werstu, który płacił gminie duży podatek od owiec, zdaniem jego pastucha — grubo jednak zawyżony. Frik uchodził za bardzo zręcznego w strzyży i biegłego w leczeniu zwierzęcych chorób, takich jak pleśniawka, wzdęcia, kołowaczna, motylca, gzawica, bębница, ospa, kulawka, wszawica i wiele jeszcze innych.

Zwierzęta maszerowały w zwartej grupie; na czele przewodnik z dzwonkiem, za którego pobrzękiwaniem spieszyła reszta owiec.

Opuściwszy pastwisko, Frik skierował się ku szerokiej ścieżce otoczonej rozległymi polami. Falowały na nich imponujące łąny pszenicy o bardzo wysokich łodygach, dających długą słomę; rozciągało się też kilka plantacji „kukurucu”, który nie jest niczym innym, jak miejscową kukurydzą. Dalej droga prowadziła skrajem lasu sosnowo-świerkowego, chłodnego i ciemnego. Niżej swój świetlisty nurt, filtrowany przez żwir pokrywający dno, toczyła rzeka Sil, którą spławiano kłody drzewa z tartaków rozmieszczonych w górze rzeki.

Psy i owce zatrzymały się na prawym brzegu i łamiąc gęstą trzcinę zeszły na płyciznę, by pić łapczywie chłodną wodę.

Werst był zaledwie o trzy strzały z fuzji, powyżej gęstych zarośli wierzbowych, wyrosniętych w swobodne drzewa, a nie skarłałe krzewy duszące się kilka stóp nad korzeniami. Zarośla te ciągnęły się aż do stoku przełęczy Vulkan, gdzie wioska o tej samej nazwie zajmuje południowe zbocze masywu Plesa.

O tej porze wieś była wyludniona. Rolnicy dopiero z zapadnięciem nocy wracali do swych domostw i idący drogą Frik nie miał kogo pozdrowić, jak każe zwyczaj. Zaspokoivszy więc pragnienie stada, już zamierzał zejść w zagłębienie do liny, gdy pięćdziesiąt kroków niżej, na zakręcie Silu, dostrzegł człowieka.

— Ej! przyjacielu! — krzyknął on do pastucha.

Człowiek ten to jeden z wędrownych handlarzy, którzy krążą po wszystkich targach komitatu. Można ich spotkać w miastach, miasteczkach, a także w najnędrniejszych wioskach. Z każdym umieją się porozumieć, mówią bowiem wszystkimi językami. Kim był ten? Włochem, Saksończykiem czy może Wołochem. Trudno byłoby zgadnąć; naprawdę był to Żyd, polski Żyd, wysoki, chudy, o orlim nosie, wypukłym czole, z brodą w szpic i bardzo żywymi oczyma.

Ten wędrowny kupiec sprzedawał termometry, barometry, lunety i niewielkie zegary. Tym, co nie zmieściło się w tobołku przytroczonej mocnymi szelkami do ramion, obwiesił sobie szyję i pas; prawdziwy sprzedawca uliczny, rodzaj wędrownego straganiarza.

Prawdopodobnie Żyd ten wzbudzał szacunek, a być może nawet rodzaj zabobonnego lęku, któremu chętnie poddawali się pasterze. Przywitał się z Frikiem, podając mu rękę, następnie zaś z trochę obcym akcentem zapytał go po rumuńsku:

— Jak wasze zdrowie, przyjacielu?

— To zależy od pogody — odpowiedział Frik.

— A więc dziś czujecie się dobrze, gdyż jest pięknie!

— Ale jutro będę się czuł źle, bo będzie padać.

— Będzie, padać?... — zdziwił się handlarz. — Czyżby w tej okolicy padało z bezchmurnego nieba?

— Chmury nadejdą tej nocy... stamtąd... z ciemnej strony gór.

— Skąd o tym wiecie?

— Poznają po wełnie mych owiec, która jest szorstka i sucha, jak wygarbowana skóra.

— Tym gorzej dla tych, którzy przemierzają dalekie szlaki...

— I tym lepiej dla tych, którzy pozostaną za drzwiami swych domów.

— Do tego trzeba posiadać dom, pasterzu.

— Macie dzieci? — zapytał Frik.

— Nie.

— Jesteście żonaty?

— Nie.

Frik zadawał te pytania, ponieważ w tym kraju należało do dobrych obyczajów pytanie o rodzinę napotkanego wędrowca. Następnie podjął:

— A skąd przybywacie, handlarzu?...

— Z Hermanstadt.

Hermanstadt to jedno z głównych miasteczek Transylwanii. Opuściwszy je, trafia się w dolinę węgierskiego Silu, która schodzi aż do miasta Petrosani.

— A dokąd zmierzacie?...

— Do Kolosvaru.

Żeby dotrzeć do Kolosvaru, wystarczy skierować się do doliny Maros, następnie przez Karlsburg przejść podnóżem gór Bihar i już się jest w stolicy komitatu. Dwadzieścia mil, nie więcej, to znaczy zaledwie sto pięćdziesiąt kilometrów.

Prawdą jest, że sprzedawcy termometrów, barometrów i rozklekotanych zegarków sprawiają zawsze wrażenie istot nie z tego świata. Ale to piętno ich zawodu. Sprzedają przecież czas, czas we wszystkich postaciach: ten, który upływa, ten, który przeminął, i ten, który nadejdzie; sprzedają go, jak inni domokrażcy koszyki, swetry i perkale. Mówi się o nich, że są komiwojażerami Domu Saturna i S-ka z godłem Złota Klepsydra. Bez wątpienia Żyd zrobił wrażenie na Friku, który oglądał nie bez zdziwienia nie znane mu przedmioty, o równie nie znanym przeznaczeniu.

— Ej, handlarzu! Do czego służą starocie, które klekoczą na waszym pasku niczym kości starego wisielca? — zapytał wyciągając rękę.

— O, to są bardzo wartościowe przedmioty — odrzekł wędrowny sprzedawca. — Rzeczy użyteczne dla każdego.

— Dla każdego! — wykrzyknął Frik mrugając oczami. — Również dla pasterzy?...

— Również dla pasterzy.

— A ten mechanizm?...

— Ten mechanizm... — odpowiedział Żyd podnosząc ręką termometr — pokazuje nam, czy jest ciepło, czy zimno.

— E tam, przyjacielu! To, to ja sam wiem, kiedy pocę się w kaftanie lub kiedy trzęsę się z zimna pod opończą.

Oczywiście, mogło to wystarczać w zupełności pastuchowi, którego nie interesowały wcale problemy naukowe.

— A ten duży rozklekotany zegar z jedną wskazówką? — podjął wskazując barometr próżniowy.

— To nie żaden zegar, to przyrząd, który powie wam, czy jutro będzie ład na pogoda, czy też będzie padać...

— Naprawdę?...

— Naprawdę.

— No, dobrze! — odrzekł Frik. — Ale nie kupiłbym tego, nawet gdyby kosztowało nie więcej niż jeden grajcar. Wystarczy przecież popatrzeć na chmury wiszące między górami lub pędzące ponad najwyższymi szczytami. Czy one mi nie powiedzą, jaka pogoda będzie za dwadzieścia cztery godziny? Popatrzcie, dla przykładu, na tę mgiełkę, która wydaje się wypływać z ziemi... Więc ja wam mówię, że to jutrzejszy deszcz.

Rzeczywiście, tak uważny obserwator pogody, jak pasterz Frik, mógł się obejść bez barometru.

— To już nie ma co was pytać, czy potrzebny wam zegar? — podjął handlarz.

— Zegar?... Mam taki jeden, którego nie trzeba nakręcać i który chodzi nad moją głową. To słońce. Popatrz, przyjacielu. Gdy zatrzymuje się na wierzchołku Roduk, to znaczy, że jest południe, a kiedy jest widoczne w zagłębieniu Egelt jest godzina szósta. Moje barany wiedzą to tak samo dobrze jak ja, a psy nie gorzej niż barany. Zachowajcie więc wasze klekoty dla siebie.

— Gdybym nie miał innych klientów oprócz pastuchów — odrzekł handlarz — miałbym kłopoty ze zrobieniem majątku! Jakżeż to, więc nie potrzebujecie niczego?...

— Zupełnie niczego.

Prawdę powiedziawszy, wszystkie te towary były równie miernej jakości, jak niskie były ich ceny; barometry nie wskazywały zmiennej lub stałej pogody, zegary pokazywały godziny zbyt późno, a minuty za wcześnie — po prostu zwykła tandeta. Pasterz być może domyślał się tego i nie widział się wcale w roli nabywcy. Jednakże w momencie gdy schylał się po swój kij, zauważył, że na szelkach handlarza zwisa coś na kształt tuby.

— A do czego służy ta rura, którą tu macie? — zapytał.

— O, to nic jest zwykła rura...

— Może to garłacz?

Pasterz miał na myśli rodzaj starego pistoletu o rozszerzającym się wylocie lufy.

— Nie, nie — odparł Żyd. — To luneta.

Była to jedna z tych pospolitych lunet, które powiększają przedmioty pięć do sześciu razy lub tyleżkrotnie je przybliżają, co daje zresztą ten sam rezultat.

Frik odczepił instrument, obejrzał go, pomacał, obrócił na wszystkie strony, poprzesuwał cylindry. Potem zapytał, podnosząc głowę:

— Luneta?

— Tak, pasterzu, jeszcze jedna znakomita rzecz. Służy do przedłużenia wam wzroku.

— E tam, mam dobre oczy, przyjacielu. Gdy powietrze jest przejrzyste, rozróżniam najdalsze skały aż po szczyt Retezatu i najdalsze drzewa w głębi wąwozów Vulkanu.

— Bez mrużenia oczu?...

— Bez mrużenia. Dzięki rosie, gdyż śpię od wieczora do rana pod gołym niebem. Oto co doskonale przemywa źrenice.

— Co... rosa? — odrzekł handlarz. — Raczej czyni ślepym... Rosa oczy wyje...

— Ale nie pasterzom.

— Niech będzie. Lecz jeśli nawet macie dobre oczy, moje i tak będą lepsze, jeśli przyłożę do nich koniec lunety.

— To się okaże.

— Możecie to sprawdzić, gdy przyłożycie ją do swoich.

— Ja?...

— Spróbujcie.

— I nie będzie mnie to nic kosztować? — zapytał nieufny z natury Frik.

— Nic... Nawet jeśli nie zdecydujecie się kupić ode mnie mechanizmu.

Znacznie uspokojony w tym względzie Frik wziął lunetę, której teleskopy nastawił handlarz. Później, mając zamknięte lewe oko, przyłożył okular do prawego.

Najpierw popatrzył w kierunku przełęczy Vulkan, przenosząc następnie wzrok ku masywowi Plesa. Po chwili opuścił instrument i wycelował go na wioskę Werst.

— Oho! — wykrzyknął. — To rzeczywiście prawda... To niesie dalej niż moje oczy... Oto główna ulica... Rozpoznaję ludzi... To chyba Nik Deck, leśniczy, który wraca z obchodu; tornister na plecach i fuzja na ramieniu...

— Przecież wam mówiłem! — zwrócił uwagę handlarz.

— Tak... tak... to na pewno Nik! — podjął pasterz. — A kim jest ta dziewczyna, którą wychodzi z domu sędziego Koltza? W czerwonej spódnicy i czarnej bluzce, idzie jakby naprzeciw leśniczemu?...

— Popatrzcie dobrze, pasterzu, rozpoznacie dziewczynę równie dobrze, jak chłopaka...

— Ach, tak!... To Miriota... piękna Miriota! Ach! Zakochani... zakochani!... Tym razem będą się tylko obejmować, gdyż trzymam ich na końcu mej rury.

— I co powiecie o mym mechanizmie?

— Och! Och!... Jak daleko można przez niego widzieć!

To, że Frikowi nigdy dotąd nie zdarzyło się patrzeć przez lunetę, tylko potwierdza opinię, iż wioska Werst zasługiwała na umieszczenie pośród najbardziej zacończonych w komitacie Klausenburg. A że tak było naprawdę, zobaczymy wkrótce.

— No więc, pasterzu — podjął wędrowny handlarz — spójrzcie jeszcze... i trochę dalej niż Werst... Wioska jest zbyt blisko nas... Spójrzcie za nią, daleko za nią, mówię wam!

— A to też nie będzie mnie nic kosztować?

— Również nic.

— Dobrze!... Poszukam od strony węgierskiego Silu!... Tak, oto dzwonnica w Livadzelu... Poznaje ją po krzyżu pozbawionym jednego ramienia. Dalej, w dolinie, między świerkami, widzę dzwonnice Petrosani z blaszanym, białym kogutem, co ma dziób otwarty, jakby zwoływał swe kurki!... A tamta wieża strzelająca spośród drzew... To musi być wieża w Petrili... Ale poczekajcie jeszcze, handlarzu. Jak sądzę, ciągle jeszcze cena jest ta sama?...

— Ciągle, pasterzu.

Frik zwrócił się teraz w kierunku płaskowyżu Orgall, potem wodził końcem lunety wzdłuż odległej ściany lasów ocienionych stokami Plesy, aż w polu widzenia obiektywu ukazała się sylwetka fortecy.

— Tak — wykrzyknął. — Czwarta gałąź leży na ziemi... Dobrze widziałem!... I nikt nie pójdzie jej zabrać na świętojańskie ognisko... Tak, nikt... nawet ja!... To byłoby ryzyko dla ciała i duszy... Ale nie martwcie się!... Jest ktoś, kto swą skórę tej nocy dobrze osmalił w ogniu piekielnym. To Czort!

Czort, tak nazywany jest diabeł, gdy wymienia się go w tutejszych rozmowach.

Być może Żyd zażądałby wyjaśnienia tych słów, niezrozumiałych dla tego, kto nie zamieszkiwał w wiosce Werst lub okolicy, gdyby Frik nie krzyknął głosem, w którym przerażenie mieszało się ze zdziwieniem.

— Co to za mgła wydobywa się z baszty?... Ale, ale, czy to rzeczywiście mgła?... Nie!... Można by rzec, że raczej dym... To niemożliwe!... Od wielu, wielu lat kominy fortecy już nie dymią!

— Pasterzu, jeśli widzicie tam dym, to znaczy, że jest to dym.

— Nie... handlarzu, nie!... To zaciemniło się szkło waszego mechanizmu.

— Przetrzyjcie je.

Frik odwrócił lunetę, oczyścił szkła rękawem i ponownie podniósł do oczu.

Tak, to na pewno był dym snujący się z wierzchołka baszty. Wznosił się pionowo w spokojnym powietrzu, a w górze jego pióropusz mieszał się z obłokami.

Frik, nieruchomy, nie odzywał się już więcej. Cała jego uwaga skupiona była na fortecy, której rosnący cień zaczął dosięgać poziomu płaskowyżu Orgall.

Wkrótce opuścił lunetę i sięgając ręką po sakiewkę wiszącą pod kaftanem zapytał:

— Ile za tę waszą rurę?

— Półtora florena — odpowiedział handlarz.

Byłby oddał lunetę nawet za cenę jednego florena, gdyby Frik nie okazał tak żywego zainteresowania kupnem. Lecz pasterz nie namyślał się. Widocznie pod wpływem jakiegoś

oszołomienia, tak samo niespodziewanego jak niewytłumaczalnego, zagłębił rękę w sakiewce i wyciągnął zeń pieniądze.

— To dla siebie kupujecie tę lunetę? — zapytał sprzedawca.

— Nie... Dla mego pana, sędziego Koltza.

— I zwróci wam pieniądze?

— Tak... Dwa floreny, które mnie kosztowała...

— Jak to? Dwa floreny?

— Bez wątpienia!... Skończmy z tym... Do widzenia, przyjacielu.

— Do widzenia, pasterzu.

I Frik, gwizdząc na psy, pospiesznie popędził stado w kierunku Werstu.

Żyd zaś, spoglądając za oddalającym się, pokiwał głową, jakby miał do czynienia z jakimś wariatem.

— Gdybym wiedział — wymamrotał — sprzedałbym mu lunetę drożej!

Kiedy umocował swój kramik na pasie i ramionach, zszedł na prawy brzeg Silu, by podążyć w kierunku na Karlsburg.

II

Jeśli z odległości kilku mil obserwuje się skały, które w różnych epokach geologicznych rozproszyła natura lub ustaliły ostatnie konwulsje ziemi, oraz konstrukcje przypisywane rękóm ludzkim, na śmiun czas odcisnął swe piętno — widok jest prawie podobny. To, co jest kamieniem pierwotnym i to, co jest kamieniem obrobionym, łatwo miesza się ze sobą. Z daleka — kolor ten sam, te same kontury, takie same odchylenia linii w śmiunąwszy, podobna śmiunąwsz odcieni pod szarą patyną wieków.

Wszystko to dotyczyło również fortecy — a śmiun mówiąc, zamku Karpaty. Odróżnić jego niewyraźne kształty od płaskowyżu Orgall, który wieńczy z lewej strony przełęcz śmiu, jest prawie niemożliwe. Nie odcina się on wcale od rzeźby gór w dalszym planie. To, co śmiuną skłónni wziąć za basztę, nic jest być może niczym innym, jak kamienistym śmiunąw. Kto oglądając go sądzi, że dostrzega blanki muru obornego, być może widzi jedynie skaliste wierzchołki gór. Wszystko to jest w ogóle niejasne, zmienne, niepewne. A nawet, jeśli wierzyć niektórym turystom, zamek Karpaty istnieje jedynie w wyobraźni mieszkańców śmiuną.

Oczywiście najprostszym sposobem, aby się o tym przekonać, byłoby wyprawić się z przewodnikiem z śmiun lub Werstu. Przebyć wąwóz, wdrapać się na grzbiet i zbadać cały zespół budowli. Tylko że znaleźć takiego przewodnika byłoby jeszcze trudniej, niż odkryć drogę prowadzącą do fortecy. W tym kraju śmiu Silów nikt nie zgodziłby się poprowadzić śmiunąws do zamku Karpaty za żadne wynagrodzenie.

Jakkolwiek by było, oto co można dostrzec z tej starożytnej siedziby w polu widzenia lunety mocniejszej i lepiej scentrowanej niż tandetny instrument, kupiony przez pasterza Frika na śmiuną sędziego śmiu.

Jakieś śmiuną lub śmiunąwsz stóp za przełęcz śmiu nierówności płaskowyżu łączy warowny mur koloru kamionki, pokryty płataniną roślin wykutych w kamieniu, a rozszerzający się po zewnętrznej stronie z czterystu do śmiunąws sążni. Na każdym jego krańcu tkwią dwa bastiony narożne; prawy, na którym rośnie ów sławny buk, jest jeszcze podwyższony niedużą wieżyczką strażniczą, czy też budką wartowniczą, o stromym dachu; lewy, z kilkoma ścianami podpartymi ażurowymi przyporami, podtrzymuje dzwonnice kaplicy, której pęknięty dzwon kołysany przez silne wichry odzywa się czasem ku śmiunąws przerażeniu miejscowej ludności. Pośrodku wreszcie, w otoczeniu platformy z blankami, wznosi się potężna baszta o trzech rzędach okien z witrażami oprawionymi w ołów, której pierwsze piętro otoczone jest kolistym tarasem; na śmiunąws wysoka kolumna metalowa, ozdobiona średniowiecznym pierścieniem z wiatrowskazem przeżartym rdzą, który ostatni podmuch północno-zachodniego wiatru ustawił w kierunku południowo-wschodnim.

Śmiunąws, co kryje się za tymi poprzerywanymi w wielu śmiunąws murami, czy wewnątrz istnieje jakiś śmiun mieszkalny, most zwodzony i tajemne przejście pozwalające doń się dostać, tego już od wielu lat nie wiedział nikt. Ale nawet gdyby zamek Karpaty był lepiej konserwowany, niż wskazuje na to jego wygląd, zaraźliwa trwoża zdwojona przesadami chroni go nie gorzej, niż mogłyby to uczynić jego bazyliszki, smoki, bombardy, śmigownice, kolubryny i inne maszyny artyleryjskie z dawnych wieków.

Poza tym zamek Karpaty wymagałby nie lada wysiłku od chcących go odwiedzić turystów lub śmiunąwsz. Jego położenie na wierzchołku płaskowyżu Orgall jest śmiunąws piękne. Z śmiun tarasu baszty rozciąga się widok na najdalsze krańce szczytów. Z tyłu faluje wysoki łańcuch górski, dziwacznie rozgałęziony, który wyznacza granicę Wołoszczyzny. Z przodu drąży góry kręty przełom śmiun, praktycznie jedyna droga między śmiunąwsz granicznymi. Po drugiej stronie doliny śmiu Silów wyłaniają się miasteczka Livadzeł, Lonyai, Petrosani, Petrila, zgrupowane wokół szybów służących eksploatacji bogactwa tego basenu węglowego. W dalszym planie zachodzą na siebie wspaniałe grzbiety górskie, zalesione u podnóży, zieleniejące na zboczach, wyschnięte na wierzchołkach, wśród śmiun dominują urwiste szczyty Retezatu i Paringu. W końcu, już dużo dalej, za doliną Hatszeg i rzeką Maros, pojawiają się odległe, przesłonięte mgłami kontury Alp Centralnej Transylwanii.

Na dnie tego zapadliska wklęsnięcie terenu było śmiun jeziorem pochłaniającym oba Sile, zanim ich wody nie znalazły ujścia przez łańcuch górski. Obecnie owo wklęsnięcie jest jedynie zagłębieniem węglowym, ze swymi wadami i zaletami; wysokie ceglane kominy płaczą się z śmiunąws topoli, świerków i buków; czarne dymy zatrują powietrze, dawniej nasycone

zapachem drzew śmiunąw śmiunąw kwiatów. W każdym razie w okresie gdy rozgrywają się te zdarzenia, mimo że przemysł trzymał ten okręg górniczy żelazną ręką, nie stracił on jeszcze nic ze swego śmiuną charakteru, śmiunąwszy naturze.

Zamek Karpaty istnieje od XII lub XIII wieku. W owych czasach monastery, kościoły, pałace i zamki pod władzą śmiunąwsz lub śmiunąw fortyfikowały się tak samo troskliwie, jak miasteczka czy wioski. Panowie i chłopci zabezpieczali się od wszelkiego rodzaju napadów. Ten stan rzeczy wyjaśnia, dlaczego wiekowe mury obronne fortecy, jej bastiony i baszta, sprawiają wrażenie średniowiecznej budowli wciąż gotowej do obrony.

Cóż za architekt zbudował ją na tym płaskowyzu, tak wysoko? Ów zuchwały artysta pozostaje nieznanym, choćby nim był nawet rumuński Manoli, który zbudował w Curte d'Argis sławny zamek Rudolfa śmiuną, tak chwalebnie opiewany w wołoskich śmiunąw.

Jeśli jednak architekt nie jest znany, to nie ma żadnych wątpliwości co do rodziny, która władała ową fortecą. Baronowie de śmiu byli panami tej krainy od niepamiętnych czasów. Zamieszani we wszystkie wojny, które zboczyły krwią prowincje transylwańskie, walczyli przeciwko Węgom, Sasom, Szeklerom. Ich nazwisko wymienia się w pieśniach i doinach, które przechowują pamięć o tych śmiunąwszy czasach; śmiuną za dewizę mieli sławne przysłowie wołoskie: Da pe maorte — „Poświęcać się aż do śmierci!” I poświęcali się, rozlewali swą krew za śmiunąwszy — krew dziedziczną po Rumunach, ich przodkach.

Wiadomo — tyle wysiłku, poświęcenia, ofiar nie doprowadziło do śmiun poza zmniejszeniem zaledwie najnikczemniejszej tyranii w stosunku do potomków tej walecznej rasy. Nie ma ona już politycznego znaczenia. Trzy uderzenia obuchem zdruzgotały ją. Lecz Wołosi z Transylwanii nie stracili nadziei na zrzucenie jarzma. Przyszłość należy do nich i z niewzruszoną pewnością powtarzają słowa, w śmiun mieści się idea przetrwania: Roman on pere! — „Rumun nie może zginąć!”

Okolo połowy XIX wieku ostatnim reprezentantem śmiunąw de śmiu był baron Rudolf. Urodzony w zamku Karpaty, obserwował od najmłodszych lat, jak wymiera jego ród. W wieku dwudziestu dwu lat został sam na świecie. śmiun bliscy padali rok po roku, niczym gałęzie sędziwego buka, z którego istnieniem ludowy przesąd wiąże również istnienie samej fortecy. Bez krewnych, można również powiedzieć, bez śmiunąws, czymże mógł się zająć baron Rudolf, aby wypełnić wolny czas w tej niezmiernej pustce, jaką śmierć uczyniła wokół niego? Jakie były jego upodobania, zdolności, skłonności? Nietrudno się domyślić, że była to nieodparta śmiunąws do muzyki, szczególnie do śpiewu śmiuną artystów tej epoki. Zostawiwszy mocno już zrujnowany zamek pod opieką kilku starych sług, pewnego dnia baron zniknął. Dowiedziano się później, że poświęcił swą fortunę, która była dość znaczna, na pobyt w najważniejszych ośrodkach operowych Europy, w teatrach śmiun, Francji, Włoch, gdzie mógł zaspokajać swe nienasycone kaprysy melomana. Czyżby był śmiunąwszy, żeby nie powiedzieć maniakiem? śmiunąwsz jego egzystencji pozwala tak go określić.

Jednakże miłość do rodzinnej ziemi wyryła się głęboko w sercu śmiun barona de śmiu. śmiu czasach dalekich podróży nie zapomniał był swej transylwańskiej ojczyzny. I w potrzebie wrócił, aby wziąć udział w jednym z śmiuną buntów chłopów śmiunąws

przeciw uciskowi śmiunąwszy. Jednak potomkowie dawnych Daków zostali zwyciężeni, a ich terytorium podzielono między śmiunąws.

Śmiunąws następstwie tej porażki baron Rudolf opuścił ostatecznie zamek Karpaty, którego znaczna część legła już w ruinie. Śmierć nie zapomniała także o ostatnich sługach fortecy i uczyniła ją całkowicie opuszczoną. Śmiunąw śmiunąw baronie de śmiu chodziły słuchy, że z śmiun śmiunąwszy przyłączył się do sławnego Roszy Sandora. Dawnego rozbójnika, którego walka o śmiunąwszy uczyniła bohaterem eposu. Szczęściem Rudolf de śmiu po zakończeniu walk odłączył się od kompromitującej grupy „batiarów”, co okazało się rozsądne, gdyż dawny rabuś, zostawszy przywódcą złodziei skończył marnie; wpadł w ręce policji, która zadowolona się zamknięciem go w więzieniu w śmiu-Uywar.

Przez ludność śmiuną została jednak ogólnie przyjęta inna wersja: że baron Rudolf został zabity podczas jednej z potyczek Roszy Sandora z celnikami granicznymi. Było to prawdopodobne, gdyż baron de śmiu od długiego czasu nie pokazał się nigdy w fortecy. W jego śmierć nikt też nie wątpił. Lecz będzie przeczniej przyjmować z rezerwą to, co głosi ten łatwowierny lud.

Zamek opuszczony, zamek nawiedzany przez zjawy, zamek duchów. Żywa i rozpalona wyobraźnia zaludniła go wkrótce ukazującymi się upiorami, śmiunąwszy — duchami, które pojawiają się o północy. Takie rzeczy zdarzają się jeszcze w śmiunąws śmiunąwsz rejonach Europy, a Transylwania może pretendować do jednego z śmiunąws pośród nich.

Zresztą, w jaki sposób wioska Werst mogłaby zerwać z wierzeniami w siły nadprzyrodzone? Pop i bakałarz, powołani do edukacji dzieci i nauczania wiernych religii, rozpowszechniali te baśnie z przekonaniem tym większym, że sami wierzyli w nie głęboko. Twierdzili, „z dowodami na poparcie”, że wilkołaki uganiają po wsi, że wampiry, zwane śmiunąw, piją ludzką krew, że upiory błakają się w ruinach i potrafią być złośliwe, jeśli nie przyniesie im napoju i jadła. Istnieją też czarownice, „baby”, śmiun spotkania należy się wystrzeżać we wtorki i piątki, w dwa najgorsze dni tygodnia.

Jakaż forteca mogłaby być lepiej przysposobiona na siedzibę dla gości z tej mitologii rumuńskiej, jak nie zamek Karpaty? Usytuowany na odizolowanym płaskowyżu, niedostępnym, z wyjątkiem lewej strony przez przełęcz śmiu, bez wątplenia dawał schronienie smokom, czarownicom, strzygom, być może również jakimś duchom przodków baronów de śmiu. Stąd pochodziła jego bardzo zła reputacja, jak mówiono — całkiem uzasadniona. Śmiun nikt nawet nie odważył się pomyśleć o odwiedzeniu zamku. Rozpościerała się wokół niego zaraźliwa groza, jak trujące moczary wydzielające chorobliwe miazmaty. Już przy zbliżeniu się na ćwierć mili ryzykowało się istnieniem na tym świecie i zbawieniem na tamtym. Tego właśnie nauczał w szkole bakałarz Hermod.

W każdym razie ten stan rzeczy będzie musiał trwać aż do czasu, gdy po starożytnej fortecy baronów de śmiu nie zostanie ani jeden kamień. I tego właśnie dotyczy przepowiednia.

śmiu śmiunąwszych notabli Werstu istnienie fortecy było związane ze starym bukiem, którego gałęzie wykrzywiały się na narożnym śmiunąw, położonym na prawo od muru obronnego.

Od wyjazdu Rudolfa de śmiu ludzie ze wsi, a szczególnie pastuch Frik, obserwowali to dokładnie — buk śmiun roku tracił jeden ze swych śmiuną konarów. Naliczono ich osiemnaście na jego pniu, gdy barona Rudolfa widziano po raz ostatni na śmiunąws baszty; obecnie na drzewie pozostały tylko trzy konary. Czyli każda złamana gałąź — to o rok skrócone istnienie fortecy. Upadek ostatniej spowodzi jej ostateczne unicestwienie. A na płaskowyżu Orgall na próżno będzie się szukać śladów po zamku Karpaty.

W rzeczywistości była to tylko jedna z przepowiedni, które rodzą się tak łatwo w wyobraźni śmiun. Po pierwsze, czy ten stary buk naprawdę amputował sobie śmiun roku jedną z gałęzi? Nie było na to śmiunąwszy dowodu, choć Frik nie wahał się przysięgać, on, który nic spuszczał z niego oczu, podczas gdy stado pasło się na łąkach nad Silem. I mimo że Frik nie był wiarygodnym świadkiem, tak u najlichszego chłopca, jak i u śmiunąwszy urzędnika Werstu nie powstała śmiunąws, że forteca ma nie śmiu niż trzy lata życia, śmiuną nie doliczono się śmiu niż trzech konarów na „opiekuńczym buku”.

Pasterz podązał więc spieszenie do wioski z tą jakże ważną nowiną, gdy zdarzył się incydent z lunetą.

Ważna nowina, naprawdę bardzo ważna! Widać dym wydobywający się z wierzchołka baszty... Czego oczy pasterza nie mogły dostrzec, Frik wyraźnie zobaczył za pomocą instrumentu handlarza... To wcale nie mgła. To dym, który następnie miesza się z obłokami... A przecież forteca jest niezamieszka... Od dawna już nikt nie przekroczył tajnego wejścia, które bez wątpienia jest zawałone, ani zwodzonego mostu, który na pewno jest podniesiony. Jeśli jest zamieszka, to tylko przez istoty nadprzyrodzone... Lecz po co duchom rozniecać ogień w jednej z sal baszty?... Czy to dym z kominka, czy z kuchni?... Doprawdy, to niepojęte.

Frik pędził swe zwierzęta do obory. Psy, słuchając jego rozkazów, ponaglały stado na pnącej się ścieżce, a kurz mieszał się z wieczorną rosą.

Kilku chłopów, spóźnionych przy pracy na roli, przechodząc pozdrowiło Frika, a on ledwie odpowiedział na ich uprzejmości. Wielce się tym śmiunąwszy, gdyż żeby uniknąć uroku, nie wystarczy powiedzieć śmiunąws dzień dobry, lecz on winien również odpowiedzieć tym samym. Frik jednakże wyglądał nie tylko na mało śmiunąws pozdrowieniom, ale miał błędne oczy, dziwaczną postawę i wykonywał bezładne gesty. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby wilki i niedźwiedzie porwały mu z połowę owiec, tak był wzburzony. Jakiejże złej nowiny był nosicielem?

Pierwszym, który ją poznał, był sędzia Koltz. Frik krzyknął, gdy tylko go spostrzegł:

— W fortecy jest ogień, mój panie!

— Co mówisz, Friku?

— Mówię tak, jak jest.

— Zwariowałeś?

W rzeczy samej, jaki pożar mógłby zaatakować stos starych kamieni? To tak, jakby twierdzić, że Negoj, najwyższy szczyt Karpat, został pochłonięty przez płomień. Zupełny absurd.

— Sądysz więc, Friku, sądysz, że forteca płonie?

— Jeśli nie płonie, to dymi...

— To na pewno opary...

— Nie, to dym... Zobaczcie sami, panie. I obaj skierowali się ku środkowi głównej ulicy wioski, na brzeg skarpy górującej nad wąwozami, skąd można było dojrzeć zamek.

Osiągnąwszy ją, Frik podał lunetę sędziemu śmiun.

Oczywiście przeznaczenie tego instrumentu było mu tak samo nie znane, jak poprzednio jego śmiunąws.

— Co to jest? — zapytał.

— Mechanizm, który kupiłem wam za dwa floreny, mój panie,

— Który jest wart co śmiuną cztery!

— Od kogo?

— Od pewnego śmiunąws handlarza.

— Ale po co?

— Przyłóżcie go do oka i skierujcie na fortecę, rozejrzyjcie się, a zobaczycie.

Sędzia wycelował lunetę w kierunku zamku i wpatrywał się powoli.

Tak! To dym wydobywał się z jednego z kominów baszty. Po chwili, zdmuchnięty powiewem wiatru, rozpełzł się po zboczach gór. Śmiunąws do sędziego i Frika dołączyła Miriota z leśniczym Nikłem śmiun, którzy śmiu wracali do domu.

— Do czego to służy? — zapytał śmiunąwsz wskazując na lunetę.

— Do patrzenia na odległość — odpowiedział pasterz.

— Żartujecie, Friku?

— Żartuję tak rzadko, panie leśniczy... że nie dalej niż przed godziną widziałem was schodzącego drogą z Werstu razem z...

Nie dokończył tego zdania. Miriota zaczerwieniła się spuszczać swe śliczne oczy. A przecież nie jest zabronione ucziwej dziewczynie podążać za swym narzeczonym.

Oboje, jedno po drugim, brali do rąk sławną lunetę i kierowali ją na fortecę.

śmiunąw już z pół tuzina śmiuną przybyło na skarpe i śmiunąwszy informacji, używało kolejno instrumentu.

— Dym! Dym w fortecy! — krzyknął jeden z nich.

— Pewnie piorun uderzył w basztę? — zauważył drugi.

— A czy grmiało? — sędzia Koltz zapytał Frika.

— Ani jednego grzmotu od śmiu dni — odpowiedział pasterz. Ci dzielni ludzie nie byłiby bardziej przestraszeni, gdyby im oznajmiono, że na szczycie Retezatu otwarła się gardziel krateru, aby zrobić ujście podziemnym oparom.

III

Wioska Werst posiada tak małe znaczenie, że większość map nie pokazuje wcale jej położenia. Znaczenie administracyjne ma nawet mniejsze od sąsiedniej wsi, zwanej Vulkan od nazwy części masywu Plesa, na który obie tak malowniczo się wspięły.

W tych czasach eksploatacja zagłębia górniczego wpłynęła na znaczne ożywienie się interesów w miasteczku Petrosani, Livadzeh i innych, odległych o kilka mil. Jednakże ani Vulkan, ani Werst: nie odczuły najmniejszych korzyści z bliskości dużego ośrodka przemysłowego: wioski te są takie, jakimi były przed pięćdziesięcioma laty i jakimi będą bez wątpienia za pół wieku.

Cała wieś to jedna ulica, jedyna szeroka ulica, której gwałtowne spadki czynią wchodzenie i schodzenie dość uciążliwym. Ulica ta służy za naturalną drogę między granicą wołoską i transylwańską. Przechodzą nią stada wołów, owiec i świń, handlarze świeżym mięsem, owocami i zbożem, nieliczni podróżni, którzy ryzykują przeprawę przez wąwozy zamiast skorzystać z pociągu z Kolosvaru lub z doliny Maros.

Wydawałoby się — oto okręg bogato wyposażony przez naturę, a jednak bogactwo to nie przynosiło dobrobytu jego mieszkańcom. We wszystkich innych przypadkach ważniejszej ośrodku, takie jak Torotzko, Petrosani, Lonyai, posiadały różne urządzenia cywilizacyjne odpowiadające zdobyczom nowoczesnego przemysłu — kształtne budowle, poddane wymogom ekierki i sznura, składy, magazyny, prawdziwe osady robotnicze, niektóre domy

wyposażone w balkony i werandy. Wszystkiego tego próżno szukać we wsi Vulkan czy Werst.

Lekko licząc, jakieś sześćdziesiąt domów nieregularnie przycupniętych na jedynej ulicy, frontem zwróconych do ogrodu, przykrytych dziwacznymi dachami, których okapy są nisko opuszczone poza gliniane ściany. Strychy z facjatą na piętrze, zrujnowana stodoła jako przybudówka, pokrzywiona obora pokryta słomą, tu i ówdzie jakaś studnia z wznoszącym się nad nią żurawiem, zakończonym drewnianym kubłem, dwie lub trzy kałuże przelewające się w czasie burz w strumyczki, których pokręcone bruzdy wskazują trasę. Taka oto jest wioska Werst, zbudowana po obu stronach ulicy, między pochyłymi zboczami przełęczy. Lecz wszystko to jest żywe i pociągające: przy wejściach i w oknach kwiaty, girlandy zieleni pokrywające mury, potargane zioła mieszają się ze starym złotem słomianych strzech, topole, wiązy, buki, świerki, klony, wznoszące się ponad domami „tak wysokimi, że mogą nad nimi górować”. Poza nimi — pośrednie zbocza górskiego łańcucha, a na ostatnim planie — odległe szczyty gór, błękitniejące w oddali i łączące się z lazurem nieba.

Język, którym mówi się w Werscie, jak również w całej tej części Transylwanii, to nie niemiecki ani węgierski: to rumuński — posługuje się nim nawet kilka rodzin cygańskich, osiadłych raczej niż obozujących w różnych wioskach komitatu. Ci przybysze przyjęli miejscowy język, podobnie jak przyjęli religię, a tu w Werscie stworzyli rodzaj małego klanu pod wodzą wojewody, osiedli ze swymi szalasami, barakami o spiczastych dachach, legionem dzieci; różnią się zwyczajami i ustabilizowanym życiem od swych ziomeków tułających się po Europie. Wyznają religię chrześcijan obrządku greckiego, pośród których się znaleźli. Tak więc przywódcą religijnym Werstu jest pop, rezydujący w Vulkanie i obsługujący obie wioski oddalone od siebie zaledwie o pół mili.

Cywilizacja jest jak powietrze lub woda. Wszędzie gdzie znajdzie przejście — może to być zaledwie szczelina — tam przenika, zmienia warunki danego regionu. Ale trzeba wiedzieć, że w tej południowej części Karpat nie utworzyła się jeszcze żadna szczelina. Nic więc dziwnego, że Werst pozostał jedną z najbardziej zacofanych wiosek komitatu Kolosvar. Jakże mogłoby być inaczej w okolicach, gdzie ludzie rodzą się, dorastają, umierają, nigdy ich nie opuszczając!

Jednakże, trzeba to zaznaczyć, Werst ma przecież nauczyciela szkolnego i sędziego! Tak, niewątpliwie. Lecz bakałarz Hermod nie może nauczyć więcej niż sam umie, to znaczy trochę czytać, trochę pisać, trochę rachować. Jego własna wiedza nie wykracza poza te umiejętności. Z nauk ścisłych, historii, geografii, literatury zna jedynie ludowe pieśni i legendy okolicznego regionu. Przy tym pamięć służy mu doskonale. Jest bardzo mocny w miejscowych baśniach i niektórzy uczniowie we wsi osiągają znaczne korzyści z jego lekcji.

Jeśli zaś chodzi o sędziego — posłuchajmy, jakie kwalifikacje posiada ten pierwszy przecież urzędnik Werstu.

Sędzia Koltz to niewysoki mężczyzna pięćdziesięciu pięciu do sześćdziesięciu lat, z pochodzenia Rumun, o włosach krótkich i siwiejących, wąsach jeszcze czarnych, z oczyma raczej spokojnymi niż żywymi. Solidnie zbudowany, jak każdy góral, na głowie nosi duży

pilśniowy kapelus, szeroki pas z tradycyjnymi klamrami na brzuchu, kurtkę bez rękawów na ramionach, bufiaste spodnie wpuszczone w wysokie skórzane buty. Jest bardziej sołtysem niż sędzią i, mimo że jego urząd wymaga przede wszystkim interwencji w licznych sporach sąsiedzkich, zajmuje się przeważnie zarządzaniem swą wioską i to w sposób samowolny, i nie bez pewnych korzyści dla swej sakiewki. Gdyż faktem jest, że wszystkie transakcje kupna czy sprzedaży obciążone są podatkiem na jego korzyść — nie mówiąc już o kopytkowych, które muszą zostawiać w jego kieszeni cudzoziemcy, turyści lub kupcy.

Ta lukratywna pozycja zapewniła sędziemu Koltzowi pewien dobrobyt. I choć większość wieśniaków dręczona była przez lichwę, która bezzwłocznie czyniła żydowskich lichwiarzy faktycznymi właścicielami gruntów, to sędzia potrafił uniknąć skutków ich chciwości. Jego dobra, z czystą hipoteką, „bez kreski na tablicy”, jak mówi się w tym regionie, nie obciążone były żadnymi długami. Raczej on sam pożyczał innym i robił to niewątpliwie bez obdzierania ze skóry biedaków. Posiadał liczne pastwiska z dobrymi trawami dla swych stad, dość poprawnie utrzymane pola, mimo że był raczej oporny wobec nowych metod, winnice, z których był dumny, gdy przechadzał się wzdłuż zagonów winorośli obciążonych gronami, sprzedawanymi korzystnie po zbiorze, z wyjątkiem tego, co wymagało własne spożycie. A nie były to wcale małe ilości.

Nie trzeba dodawać, że dom sędziego Koltza jest najpiękniejszym domem we wsi. na rogu terasy przecinającej długą, wznoszącą się ulicę. Dom z kamienia, z fasadą zwróconą na ogród, o drzwiach między trzecim a czwartym oknem, z festonami zieleni oplatającymi rynnę swymi długowłosymi pnączami, w cieniu dwóch wysokich buków, których konary rozgałęziają się ponad słomianym dachem, całym w kwiatach. Z tyłu piękny sad z warzywnymi grzędami w szachownicę i rzędami drzew owocowych wspinających się na zbocze przełęczy. Wewnątrz domu kilka pięknych izb bardzo czystych; oddzielnie te, w których się jada, oddzielnie te, w których się sypia. Wszędzie kolorowo malowane meble, stoły, łóżka, ławy i taborety, kredensy, gdzie błyszczą garnki i talerze; z odsłoniętych belek sufitu zwisają dzbany ozdobione szlaczkami i sztuki materiałów o żywych barwach; ciężkie kutry, okryte pokrowcami i pikowanymi kapami, służą jako skrzynie na ubrania i jako szafy; a na białych ścianach barwnie ustrojona portrety rumuńskich patriotów — między innymi ludowego bohatera z XV wieku, wojewody Vayda-Hunyada.

Owo urocze mieszkanie jest zbyt wielkie dla jednego człowieka, lecz sędzia Koltz nie mieszkał tu sam. Wdowiec od lat dziesięciu miał córkę, piękną Miriotę, podziwianą tak w Werscie, jak i w Vulkanie, a nawet dalej. Mogłaby ona nosić jedno z tych dziwnych pogańskich imion, jak Florica, Daina czy Dauritia, które są w wielkim poważaniu w wołoskich rodzinach, a jednak nie — nazwano ją Miriotą, to znaczy „małym jagnięciem”. Lecz zdażyła już urósć ta mała owieczka. Była teraz czarującą dwudziestoletnią dziewczyną o blond włosach i brązowych oczach, o łagodnym spojrzeniu, uroczym dowcipie i ładnej figurze. Doprawdy zdawać się mogło, że trudno o bardziej czarującą dziewczynę niż ta, w bluzeczce haftowanej czerwoną nicią na kołnierzyku, mankietach i ramionach, w spódnicy ściśniętej paskiem ze srebrną klamrą, w „katrinie”, czyli podwójnym fartuszką w czerwono-niebieskie paski przewiązanym w tali, w małych trzewiczkach z żółtej skóry, z lekką

chusteczką zarzuconą na głowę o falujących długich włosach, splecionych w warkocz zdobny wstążką lub metalową zapinką.

Tak! Piękna dziewczyna ta Miriota Koltz i — co wcale nie szkodzi — bogata, jak na tę wieś zagubioną na krańcach Karpat. Czy równie dobra gospodyni? Bez wątpienia, gdyż kieruje rozumnie domem ojca. Wykształcona? Prawdziwa dama! W szkole bakałarza Hermoda nauczyła się czytać, pisać i rachować, i to skrupulatnie, lecz na tym zakończyła edukację — a szkoda. Za to gdy chodzi o baśnie i sagi transylwańskie, nie miała sobie równych. Znała ich co najmniej tyle, co jej nauczyciel. Znała legendę o Leany-Kó, o Skale Dziewicy, gdzie młoda księżniczka, trochę mityczna, uniknęła pościgu Tatarów, znała legendę o grocie Dragona w dolinie „Stoku Króla”, również legendę o fortecy Deva, skonstruowanej „w czasach Wrózek”, a także legendę o Detunacie „rażonej piorunem”, tej sławnej górze bazaltowej, przypominającej gigantyczne kamienne skrzypce, na których diabeł grywa w burzliwe noce. Nieobca jej była legenda o Retezacie, z jego szczytem ogolonym przez czarownicę, oraz legenda wąwozu Thoida, który utworzyło straszne uderzenie miecza świętego Władysława.

Przyznajemy — Miriota wierzyła święcie w te wszystkie zmyślenia, lecz nie była przez to wcale mniej czarującą i miłą dziewczyną.

Wielu chłopców z okolicy zalecało się do niej, nie zdając sobie zbytnio sprawy, że była jedyną spadkobierczynią sędziego Koltza, pierwszego urzędnika we wsi Werst. Zresztą zalecanki te były bezskuteczne. Czyż nie była już narzeczoną Mikołaja Decka?

Ów Mikołaj, lub raczej Nik Deck, był pięknym typem Rumuna: dwadzieścia pięć lat, słusznego wzrostu, krępej budowy, głowa dumnie uniesiona, czarna czupryna okryta białym kołpakiem, spojrzenie szczere, postawa swobodna, odziany w haftowany serdak z jagnięcej skóry, mocno osadzony na nogach smukłych niczym nogi jelenie, stanowczy w postępowaniu i gestach. Zajmował stanowisko leśniczego, co oznaczało bardziej wojskowego niż cywila. Ponieważ posiadał trochę ziemi w okolicach Werstu, podobał się ojcu, a jako miły chłopiec o dumnej postawie — nie mógł się nie podobać dziewczynie. Zresztą nikt się temu nie dziwił.

Ślub Nika Decka i Mirioty Koltz miał się odbyć dopiero za piętnaście dni, a więc w połowie przyszłego miesiąca. Cała wieś szykowała się na to święto. Sędzia Koltz zrobił wszystko, co należało uczynić przy takiej okazji. Nie był przecież skąpy. Jeśli lubił gromadzić pieniądze, to nie uchylał się też przed ich wydawaniem, gdy zaszła taka potrzeba. Po zakończeniu ceremonii Nik Deck miał zamieszkać w rodzinnym domu, który przypadnie mu po sędzi. Gdy Miriota będzie czuła jego bliskość, być może podczas długich zimowych nocy nie będą jej straszyć skrzypiące drzwi lub trzeszczące meble, czy też duchy przybywające z jej ulubionych baśni.

Dla uzupełnienia wykazu notabli wsi Werst należy wymienić jeszcze dwu i to wcale nie mniej ważnych: nauczyciela, o którym wspomnieliśmy, i lekarza.

Nauczyciel Hermod był tęgim mężczyzną pięćdziesięciu pięciu lat, w okularach, o rzadkich i rozczochranych włosach na spłaszczony czaszce, o twarzy bez zarostu i z tikiem

lewego policzka; w jego zębach zawsze tkwił zakrzywiony ustnik fajki z porcelanowej pianki. Jego największą troską było przycinanie piór dla swoich uczniów, gdyż dla zasady zakazał im używania stalówek metalowych. Jakżeż on potrafił wydłużać końcówki piór swym starym, dobrze zaostrzonym scyzorykiem! Z jaką precyzją, mrużąc oczy, ostatnim cięciem przykrawał szpic! Bo nade wszystko cenił piękne pismo. Poświęcał temu wszystkie starania, gdyż do tego celu powinien doprowadzić uczniów nauczyciel prawdziwie troskliwy o wypełnienie swej misji. Wiedza stała wyraźnie na drugim miejscu, a czego uczył bakałarz Hermod i czego nauczyły się pokolenia chłopców i dziewcząt na ławkach jego szkoły — już przecież wiemy!

A teraz kolej na doktora Pataka.

Zapytacie, jak to możliwe, że wioska Werst miała lekarza, a jej mieszkańcy wierzyli ciągle w siły nadprzyrodzone?

To prawda, lecz żeby to zrozumieć, trzeba wiedzieć, w jaki sposób doktor Patak doszedł do tego tytułu, podobnie zresztą jak sędzia Koltz do swojego.

Patak, niski mężczyzna z wystającym brzuszkiem, w wieku czterdziestu pięciu lat, uprawiał na co dzień praktyki medyczne w Werscie i okolicy najzupełniej jawnie. Niezachwiana pewnością siebie oraz nadzwyczajną swadą budził nie mniejsze zaufanie niż pasterz Frik — to znaczy wielkie. Sprzedawał porady lekarskie i pigułki, lecz na tyle nieszkodliwe, że nie pogarszały stanu zadrapań jego pacjentów, którzy i tak zdrowieli sami. Wszak na przełęczu Vulkan ludzie, mają się dobrze i klimat jest przedniej jakości, choroby zakaźne są tu więc nieznane, a jeśli już się umiera, to znaczy, że trzeba było umrzeć nawet w tym uprzywilejowanym zakątku Transylwanii.

Tymczasem doktor Patak — bo zwracano się do niego: „doktorze”, co zresztą przyjmował bez sprzeciwu — nie miał żadnego wykształcenia ani w medycynie, ani w farmacji, ani w niczym. Był jedynie kiedyś pielęgniarzem w okresie kwarantanny, a rola jego sprowadzała się do sprawowania nadzoru nad podróżnymi zawróconymi znad granicy po zaświadczenia sanitarne, to wszystko.

Wydaje się jednak, że to wystarczyło dla ludu tak prostego, jak w Werscie. Należy dodać — co nie będzie niespodzianką — że doktor Patak miał tęgi umysł, konieczny każdemu, kto zajmuje się leczeniem swych bliźnich. Nie dawał wiary również żadnym przesądom krążącym w tym regionie Karpat, w tym także tyczącym fortecy. Śmiał się z tego i żartował. A gdy mówiono przy nim, że nikt nie odważył się zbliżyć do zamku od niepamiętnych czasów, powtarzał każdemu, kto chciał go słuchać:

— Nie prowokujcie mnie, abym złożył wizytę waszej starej ruderze!

Lecz ani nikt go nie namawiał, a nawet wystrzegano się tego, ani doktor Patak nie palił się do tej wizyty. Więc dzięki przesądom zamek Karpaty pozostawał ciągle okryty nieprzeniknioną tajemnicą.

IV

Wiadomość przyniesiona przez pasterza rozeszła się po wsi w ciągu kilku minut. Sędzia Koltz z cenną lunetą w ręku wszedł właśnie do domu w towarzystwie Nika Decka i Mirioty. Na tarasie pozostał jedynie Frik otoczony grupką mężczyzn, kobiet i dzieci, a także kilku Cyganów, którzy wydawali się nie mniej poruszeni od ludności wersteńskiej. Otoczono ciasno Frika, zarzucano go pytaniami, a pasterz odpowiadał z pychą człowieka, który dopiero co zobaczył rzecz zupełnie nadzwyczajną.

— Tak! — powtarzał. — Forteca dymi. Dymi i jeszcze będzie dymić, dopóki nie zostanie z niej kamień na kamieniu!

— Ale kto mógł rozpałcić ten ogień? — zapytała jakaś stara kobieta składając ręce.

— Czort — odrzekł Frik, nazywając diabła imieniem używanym w tych stronach. — Ten filut, co bardziej zna się na rozniecaniu ognia niż na jego gaszeniu!

Po tej odpowiedzi wszyscy starali się dostrzec dym na szczycie baszty. W końcu większość potwierdziła, że widzi go wyraźnie, mimo że z tej odległości nie mógł być widoczny.

Wrażenie wywołane tym osobliwym zjawiskiem przeszło wszelkie pojęcie. Na to trzeba koniecznie zwrócić uwagę. Jeśli Czytelnik zechce spojrzeć na te sprawy, wzięwszy pod uwagę umysłowość ludzi z Werstu, wtedy nie zdziwią go fakty, które będą następnie opisywane. Nie proszę go, aby sam uwierzył w zjawiska nadprzyrodzone, ale o przypomnienie sobie, że ta nieoświecona ludność wierzy w nie bez zastrzeżeń. Do nieufności, jaką wzbudzał zamek Karpaty, odkąd został opuszczony, teraz dołączyła groza; zamek bowiem wydawał się zamieszkały i to przez jakie istoty. Wielki Boże!

W wiosce Werst istniało miejsce spotkań, uczęszczane przez pijaków, ale odwiedzane też przez tych, którzy, choć niepijący, lubili porozmawiać o swych sprawach po skończonym dniu — ci ostatni w znacznej mniejszości, co mówi samo za siebie. Lokal ten, dostępny dla wszystkich, był główną, a poprawniej mówiąc, jedyną oberżą we wsi.

Kim był właściciel tej oberży? Pewien Żyd imieniem Jonasz, dzielny człowiek około sześćdziesiątki, o fizjonomii ujmującej, choć wyraźnie semickiej, z czarnymi oczyma, zakrzywionym nosem, wydatnymi wargami, o prostych włosach i z tradycyjną brodą. Uniżony i uprzejmy, pożyczał chętnie temu i owemu niewielkie sumy, nie domagając się zastawu ani nie zdzierając zbytnich procentów, które winny być płacone w terminach przyjętych przez dłużników.

Oberża „Król Maciej” — taką nosiła nazwę — zajmowała jeden z rogów terasy przecinającej główną ulicę Werstu, naprzeciw domu sędziego. Było to stare gmaszysko, na poły z drewna, na poły z kamienia, połatane w wielu miejscach, lecz zdobne bogato w zieleń i o bardzo kuszącym wyglądzie. Oberża była parterowa — a przeszklone drzwi prowadziły na taras. Z tarasu wchodziło się najpierw do dużej sali, zastawionej stołami przeznaczonymi dla

kielichów i taboretami dla pijących, z dębowym kredensem stoczonym przez korniki, w którym błyszczały talerze, dzbany i butelczyny, oraz z poczeriałym drewnianym bufetem, za którym Jonasz czekał na zamówienia swych klientów.

Światło dzienne w taki oto sposób dostawało się do tej sali: dwa frontowe okna wychodziły na taras, dwa pozostałe znajdowały się w tylnej ścianie. Jedno z nich, zasłonięte grubą kotarą z pnących lub zwisających roślin, które szczelnie okrywały je z zewnątrz, przepuszczało jedynie odrobinę jasności. Drugie, gdyby je otworzyć, dawałoby zachwycający widok na całą dolinę u podnóża Vulkanu. Kilka stóp poniżej okien toczyły się z hukiem wody potoku Nyad. Potok ten miał źródła na wysokości płaskowyżu Orgall, zwieńczonego ruinami fortecy, dalej spływał po stokach przełęczy, następnie zaś, obficie zasilany przez górskie strumyki nawet w okresie letnim, staczał się z hukiem do łożyska Silu wołoskiego, który wchłaniał go po drodze.

Na prawo, w sąsiedztwie dużej sali, pół tuzina małych pokojów wystarczało do pomieszczenia nielicznych podróżnych, którzy przed przejściem granicy chcieli odpocząć w „Królu Macieju”. Mieli tu zapewnione gościnne przyjęcie — po cenach umiarkowanych — przez karczmarza troskliwego i towarzyskiego, zaopatrzonego zawsze w dobry tytoń, którego dostarczali mu okoliczni przemysłowcy. Sam Jonasz sypiał w wąskiej mansardzie, której koślawe okienko, dziurawiąc słomianą strzechę całą w kwiatkach, wychodziło na taras.

W tej to właśnie oberży, tegoż samego wieczoru 29 maja miało miejsce zgromadzenie najtęższych głów Werstu: sędziego Koltza, bakałarza Hermoda, leśniczego Nika Decka, około tuzina najbardziej liczących się mieszkańców wioski, a także pasterza Frika, który nie był wcale najmniej ważną postacią pośród tych osobistości. Na zebraniu notabli brakowało jedynie doktora Pataka. Wezwany w ogromnym pośpiechu przez jednego ze swych starych pacjentów, który nie oczekiwał niczego więcej, jak tylko zejścia na tamten świat, obiecał przybyć, gdy tylko jego usługi będą już zbędne nieboszczykowi.

W oczekiwaniu na pielęgniarkę rozprawiano o poważnym wydarzeniu tego dnia, lecz bynajmniej nie bez jedzenia czy picia. Jednym Jonasz podawał rodzaj masy lub ciasta z kukurydzy, znanego tu pod nazwą mamałygi, która wcale nie jest zła, gdy poleje się ją świeżo udojonym mlekiem. Innym co i rusz nalewał mocne likiery, które przepływają przez rumuńskie gardła jak czysta woda, „sznapsy”, które kosztują nie więcej niż pół sou za kieliszek, a najczęściej rakiję, tę piorunującą wódkę ze śliwek, której produkuje się sporo w regionie Karpat.

Trzeba nadmienić, że szynkarz Jonasz — taki był zwyczaj w tej oberży — nie obsługiwał gości przy szynkwasio. Podawał jedynie przy stołach, wiedząc, że gość siedzący skonsumuje więcej niż stojący. Tego wieczoru interes szedł dobrze, ponieważ wszystkie stołki obłożone były przez klientów. Jonasz biegał od jednego stołu do drugiego z konwią w ręku, napełniał kubki opróżniające się bezustannie.

Było wpół do dziewiątej wieczorem. Perory trwały już od zmierzchu, ale dotychczas nie uzgodniono, co należy robić. Lecz ci dzielni ludzie byli zgodni w jednym punkcie: jeśli

zamek Karpaty jest zamieszkały przez nieznanne istoty, będzie to równie niebezpieczne dla wsi Werst, jak beczka prochu u bram miasta.

— To bardzo poważna sprawa! — rzekł sędzia Koltz.

— Bardzo poważna! — powtórzył nauczyciel między dwoma pyknięciami swej nieodłącznej fajki.

— Bardzo poważna! — powtarzała reszta.

— Bez wątplenia — podjął Jonasz — zła sława fortecy wyrządziła już wiele szkód w okolicy...

— A teraz będzie jeszcze gorzej! — wykrzyknął nauczyciel Hermod.

— Cudzoziemcy pokazywali się tu niezbyt często... — dorzucił z westchnieniem sędzia Koltz.

— A teraz, nie będzie ich wcale! — dodał Jonasz wzdychając do wtóru sędziemu.

— Nawet wielu mieszkańców zamierza się wyprowadzić! — zauważył jeden z pijących.

— Ja będę pierwszy! — wykrzyknął jakiś wieśniak z okolicy. — Wyjadę, gdy tylko uda mi się sprzedać moje winnice...

— Na które nie znajdziesz nabywców, mój stary! — dorzucił karczmarz.

Widać wyraźnie, o co szło w tych rozmowach poważnych notabli. Ponad strach, który wzbudzał zamek Karpaty, wysunęła się teraz troska o ich interesy, poszkodowane w sposób godny pożałowania. Nie ma podróźnych — odczuwa to Jonasz w dochodach ze swej oberży. Nie ma cudzoziemców — i sędzia Koltz doznaje uszczerbku w poborze myta, którego suma zmniejsza się krok po kroku. Nie ma nabywców na ziemi przełęczu Vulkan — i właściciele nie mają komu jej sprzedać, nawet za bezcen. Trwa to już od lat, a powstaje obawa, że ta sytuacja, dotąd bardzo szkodliwa, może się jeszcze pogorszyć.

Rzeczywiście, jeżeli tak się działo, gdy duchy fortecy zachowywały się spokojnie i pozostawały w ukryciu, to co będzie, gdy teraz ujawnią swoją obecność przez zjawiska namacalne! Pasterz Frik czuł, że musi to powiedzieć, lecz głos miał niepewny:

— Chyba trzeba będzie?...

— Co? — zapytał sędzia Koltz.

— Iść tam i zobaczyć, mój panie.

Zgromadzeni rozejrzeli się po sobie, potem każdy spuścił wzrok i sprawa pozostała bez odpowiedzi.

Wreszcie Jonasz, zwracając się do sędziego Koltza, podjął dyskurs.

— Wasz pasterz — rzekł głosem zdecydowanym — wskazał jedyną rzecz, którą należy zrobić. — Iść do fortecy...

— Tak, moi przyjaciele — odrzekł oberżysta. — Jeśli dym wydobywa się z komina baszty, to znaczy, że jest tam ogień, a jeśli jest tam ogień, to znaczy, że jakaś ręka go rozpałała...

— Jakaś ręka... A może to był szpon! — wtrącił stary wieśniak, kiwając głową.

— Ręka czy pazur — podjął szynkarz — to nieważne! Należy się dowiedzieć, co to znaczy. Po raz pierwszy dym wydobywa się z jednego z kominów zamku, odkąd baron Rudolf de Gortz go opuścił...

— Jednakże mogło tak być, że dym pojawił się już wcześniej, tylko nikt go nie zauważył — zasugerował sędzia Koltz.

— Nigdy się z tym nie zgodzę! — wykrzyknął porywczo nauczyciel Hermod.

— Przeciwnie, to bardzo możliwe — zauważył sędzia — gdyż przedtem nie mieliśmy lunety, aby zobaczyć, co dzieje się w fortecy.

Uwaga była słuszna. Zjawisko mogło występować od dawna i mogło ujść uwadze nawet pasterza Frika, mimo jego doskonałego wzroku. Jakkolwiek by było — czy wspomniane zjawisko jest świeżej daty, czy też nie — bez wątpienia istoty ludzkie zajmują obecnie zamek Karpaty. Co czyni go bardzo niepokojącym sąsiedztwem dla mieszkańców Vulkanu i Werstu.

Bakałarz Hermod czuł się zmuszony wnieść pewne zastrzeżenie, by poprzeć swoich wyznawców:

— Istoty ludzkie, moi przyjaciele?... Pozwólcie, że będę w to wątpił! Jakim istotom ludzkim przyszedłby do głowy pomysł chronić się w fortecy? W jakich zamiarach i w jaki sposób?

— Kim więc mieliby, wedle was, być? — krzyknął sędzia Koltz.

— Istotami nadprzyrodzonymi — odpowiedział nauczyciel Hermod z naciskiem. — Dlaczegoż by nie mieli być duchami, diabłami, demonami, być może nawet niektóre groźnymi lamiami*, co to ukazują się pod postacią pięknych kobiet...

Podczas tego wyliczania wszystkie spojrzenia kierowały się ku drzwiom, oknom, ku kominkowi głównej sali „Króla Macieja”. I doprawdy każdy z zebranych żywił obawę, czy nie zobaczy któregoś z tych duchów, kolejno wywoływanych przez szkolnego nauczyciela.

— Jednakże, moi drodzy przyjaciele — zaryzykował zabranie głosu Jonasz — jeśli te istoty są duchami, nie mogę zrozumieć, dlaczego roznieciły ogień, przecież nie potrzebują nic gotować...

— A ich czary?... — odrzekł pasterz. — Czyżbyście zapomnieli, że do uprawiania czarów potrzeba ognia?

— Oczywiście! — dorzucił bakałarz tonem nie znoszącym sprzeciwu.

To stwierdzenie zostało uznane bez protestu i wszyscy teraz byli zdania, że to bez wątpienia istoty nadprzyrodzone, a nie ludzkie, wybrały zamek Karpaty na scenę swych sztuczek.

Aż dotąd Nik Deck nie brał udziału w rozmowie. Leśniczy zadowalał się uważnym słuchaniem tego, co mówili inni. Stara forteca ze swymi murami, starożytnym pochodzeniem, średniowiecznym stylem wzbudzała w nim zawsze tyle samo ciekawości co lęku. A że cechowała go wielka odwaga, mimo że był tak samo łatwowierny, jak każdy mieszkaniec Werstu, wiele razy okazywał chęć przekroczenia jej murów.

Można sobie wyobrazić, jak uporczywie Miriota odwodziła go od tak awanturniczego zamiaru. Dopieroż miałby pomysły, gdyby mógł postępować według swoich upodobań! Przecież narzeczony nie jest już panem siebie, a żeby ryzykować takie przygody, trzeba być obłąkanym lub bez serca. Jednakże pomimo swych próśb piękna dziewczyna obawiała się ciągle, że leśniczy zrealizuje swój projekt. Jedno, co ją trochę uspokajało, to to, że Nik Deck nie oświadczył formalnie, iż pójdzie do fortecy. Gdyby tak się stało, nie byłoby siły, która mogłaby go zatrzymać — nawet ona. Wiedziała o tym — był młodzieńcem upartym i odważnym, który nigdy nie cofał danego słowa. Co zostało powiedziane, musi być zrobione. Jakże byłaby strwożona Miriota, gdyby była w stanie wyobrazić sobie, jakie myśli przepełniały w tym momencie młodego człowieka.

Mimo że Nik Deck zachowywał cały czas milczenie, to jednak zauważył, że nikt nie podjął propozycji pasterza. Złożyć wizytę w zamku Karpaty, teraz gdy został nawiedzony, któż by się ośmielił? Któż chciałby stracić może nawet głowę?... Wszyscy znajdowali najszluszniejsze racje, aby tego nie czynić!... Sędzia poza tym nie był już w wieku, w którym można ryzykować wyprawy tak trudne. Nauczyciel zaś musiał zajmować się swą szkołą, Jonasz swą oberżą, Frik pasać swe owce, inni wieśniacy doglądać bydła i sianokosów.

Nie! Nikt nie miał zamiaru się poświęcać i każdy powtarzał sobie: — Ten, kto będzie miał czelność pójść do fortecy, z pewnością nigdy nie wróci!

W tym momencie drzwi oberży gwałtownie się otworzyły, wzbudzając przerażenie obecnych.

Był to jednak tylko doktor Patak i byłoby trudno wziąć go za jedną z tych czarujących lamii, o których opowiadał był bakałarz Hermod.

Jego pacjent był już martwy — co przynosi — zaszczyt jego przenikliwości medycznej, a może nawet talentowi — więc doktor Patak przybiegł na zebranie w „Królu Macieju”.

— No, wreszcie! — wykrzyknął sędzia Koltz.

Doktor Patak pośpiesznie rozdawał uściski dłoni wszystkim zgromadzonym, tak jakby rozdawał pigułki, następnie tonem dość ironicznym zawołał:

— A więc, przyjaciele, zajmujecie się ciągle fortecą... fortecą Czorta! ... Ach, wy tchórze!... Jeśli ten stary zamek chce dymić, pozwólcie mu dymić!... Czyż nasz uczoney Hermod nie dymi i to przez cały dzień?... Doprawdy, na całą okolicę padł blady strach!... Tylko o tym słyszałem w czasie mych wizyt!... Upiory roznieciły tam ogień?... A dlaczegoż by nie, skoro nabawiły się kataru!... Można sobie wyobrazić, jak zimno jest w pokojach baszty w maju... Poza tym nikt nie zajmuje się wypiekiem chleba dla tamtego świata! A przecież trzeba się czymś karmić tam, w górze, jeśli jest prawdą, że możliwe jest zmartwychwstanie!... Być może to piekarze niebiescy przybyli dokonać wypieku...

Na zakończenie sypnął całą serią dowcipów, nadzwyczaj mało podobających się ludziom Werstu, które mimo to doktor Patak wygłaszał z nieprawdopodobnym zarozumiałstwem.

Pozwalano mu jednak mówić.

W końcu sędzia zapytał:

— No dobrze, doktorze. Więc nie przykładacie żadnego znaczenia do tego, co dzieje się w fortecy?...

— Żadnego, sędzio Koltz.

— Czy nic powiedzieliście kiedyś, że będziecie gotów udać się tam... jeśli ktoś rzuci wam takie wyzwanie?...

— Ja?... — odrzekł dawny pielęgniarz, nieco zmartwiony, że przypomniano mu jego słowa.

— Przypomnijmy sobie... Czy to nie wy tak mówiliście i powtarzaliście? — podjął z naciskiem nauczyciel.

— Mówiłem... niewątpliwie... i naprawdę... i mogę to powtórzyć...

— To trzeba będzie wykonać — powiedział Hermod.

— Wykonać?

— Tak... i zamiast wyzwania... poprzestaniemy na prośbie — dodał sędzia Koltz.

— Rozumiem... moi przyjaciele... bez wątpienia... taka propozycja...

— Ach, tak? Ponieważ się wahacie — wykrzyknął karczmarz — nie będziemy was prosić... My was wyzywamy!

— Wyzywacie mnie?...

— Tak, doktorze!

— Jonaszu, posuwacie się za daleko — odezwał się sędzia. — Wiemy, że Patak jest człowiekiem honoru... I co powiedział, to uczyni... oddając przysługę wsi i całej okolicy.

— Jak to, mówicie poważnie?... Chciecie, abym się udał do zamku Karpaty? — podjął doktor, którego rumiana twarz stała się nagle bardzo blada.

— Nie będziecie chyba uchylać się od tego? — odrzekł kategorycznie sędzia Koltz.

— Proszę was... Moi kochani przyjaciele... proszę was, rozważmy, bardzo proszę!

— Wszystko już rozważone — odpowiedział Jonasz.

— Bądźcie sprawiedliwi. Co mi z tego przyjdzie, że tam pójdę? I co tam mogę znaleźć?... Kilku dzielnych ludzi, którzy schronili się w fortecy... i którzy nie przeszkadzają nikomu...

— No, dobrze — ripostował nauczyciel Hermod. — Jeśli są to dzielni ludzie, nie potrzebujecie się niczego lękać z ich strony. Będzie okazja zaoferować im wasze usługi.

— Jeśliby tego potrzebowali... — odpowiedział doktor Patak. — Jeśliby mnie o to prosili, nie wahałbym się... wierzcie mi... udać się na zamek. Lecz nie odwiedzam nikogo bez zaproszenia i nie odbywam wizyt bezpłatnie.

— Ależ wasz trud zostanie opłacony — powiedział sędzia Koltz — i to bez zwłoki.

— A kto mi zapłaci?

— Ja... My... Tyle, ile zażądacie! — odpowiadała większość gości Jonasza.

Było oczywiste, że wbrew swym ciągłym przechwałkom doktor był co najmniej takim samym tchórzem, jak jego współrodacy Werstu. Jednakże po tym, jak udawał mądrałę i wyśmiewał się miejscowych legend, było mu niezręcznie odmówić przysługi, o którą go proszono. Ale żeby iść do zamku Karpaty! Nawet jeśli zapłacą mu za tę podróż... Nie mogło mu się to podobać w żaden sposób. Szukał więc argumentów: że ta wizyta nic nie przyniesie, wioska okryje się śmiesznością, wysyłając go na zbadanie fortecy... Próby jego argumentacji jednak spaliły na panewce. — Ależ doktorze, wydaje mi się, że absolutnie niczym nie ryzykujecie — podjął bakałarz Hermod. — Przecież nie wierzycie duchy...

— Nie... W duchy nie wierzę...

— No, więc jeśli to nie są duchy, które zbierają się w zamku, wobec tego są to istoty ludzkie, które tam zamieszkały, i po prostu zapoznajcie się z nimi.

Rozumowaniu nauczyciela nie brakowało logiki — było trudne do podważenia.

— Zgoda, Hermod — odpowiedział doktor Patak. — Lecz mogę zostać zatrzymany w fortecy...

— To by znaczyło, że was dobrze przyjęto — zareplikował Jonasz,

— Niewątpliwie, ale jeśli moja nieobecność przedłuży się i jeśli ktoś będzie mnie potrzebował we wsi...

— Czujemy się wszyscy wspaniale — odrzekł sędzia Koltz. — Nie ma ani jednego chorego we wsi Werst, odkąd wasz ostatni pacjent otrzymał bilet na tamten świat.

— Mówcie szczerze... Jesteście zdecydowany pójść? — zapytał oberżysta.

— Słowo daję, nie! — krzyknął doktor. — Och! To wcale nie ze strachu... Wiecie dobrze, że nie wierzę w te wszystkie czary... Prawda jest taka, że wydaje mi się to absurdalne i powtarzam to wam, śmieszne... Ponieważ dym wydobywa się z komina baszty... Dym, który być może nie jest dymem... Stanowczo nie! Nie pójdę do zamku Karpaty...

— Ja pójdę!

To leśniczy Nik Deck włączył się do rozmowy, rzucając te dwa słowa.

— Ty... Nik? — krzyknął sędzia Koltz.

— Ja... Lecz pod warunkiem, że Patak będzie mi towarzyszył.

Było to skierowane bezpośrednio pod adresem doktora, któremu się wydawało, że już wyplątał się z kłopotliwej sytuacji.

— Tak wymyśliłeś, leśniku? — odezwał się. — Ja mam ci towarzyszyć?... Oczywiście... Będzie to przyjemny spacer... we dwóch, jeśli tylko będzie użyteczny... i jeśli można tak ryzykować... Pomyśl, Nik, wiesz dobrze, że nie ma nawet drogi do fortecy... Nie będziemy mogli się tam dostać...

— Powiedziałem, że pójdę do fortecy — odrzekł Nik Deck. — A ponieważ powiedziałem, to pójdę.

— Ale ja... ja tego nie powiedziałem!... — wykrzyknął doktor szarpiąc się, jakby ktoś chwycił go za kołnierz.

— Ależ tak... powiedzieliście to... — zauważył Jonasz.

— Tak! Tak! — jednogłośnie potwierdziło całe zgromadzenie.

Były pielęgniarz, naciskany przez jednych i drugich, nie wiedział, jak się wymknąć. O, jakże żałował, że był tak nieostrożny w swym samochwalstwie. Nigdy nie wyobrażał sobie, że można je wziąć poważnie albo wezwać go do wykonania... Teraz już nie mógł się wycofać, aby nie stać się pośmiewiskiem Werstu i żeby cała okolica Vulkanu nie szydziła z niego bezlitośnie. Zdecydował się więc robić dobrą minę do złej gry.

— Dobrze... Ponieważ chcecie tego — rzekł — będę towarzyszył Nikowi Deckowi, jakkolwiek jest to bez sensu!

— Świetnie, doktorze Patak, doskonale! — zakrzyknęli wszyscy pijacy w „Królu Macieju”.

— A kiedy pójdziemy, leśniku? — zapytał doktor Patak, przyjmując obojętny ton, który jednak źle maskował jego niepokój.

— Jutro z samego rana — odrzekł Nik Deck.

Po tych ostatnich słowach zapadła dość długa cisza. Kielichy były puste, dzbany także, a jednak nikt się nie podnosił, nikt mimo późnej pory nie zamierzał opuścić sali ani wracać do swego domu. tymczasem Jonasz uważał, że jest dobra okazja do nowej kolejki „sznapsów” lub rakii...

Naraz dał się słyszeć dość wyraźny głos pośród ogólnego milczenia.

„Mikołaju Deck, nie chodź jutro do fortecy!... Nie chodź tam... albo spotka cię nieszczęście!” — padały wolno wypowiedane słowa.

Kto to mówił? Skąd pochodził ten nie znany nikomu głos, który zdawał się wydobywać z jakichś niewidzialnych ust?... Mógł to być jedynie głos upióra, głos nadprzyrodzony, głos z tamtego świata...

Przerażenie osiągnęło szczyt. Nikt nie śmiał się obejrzeć, nikt nie śmiał wypowiedzieć nawet słowa...

Najodważniejszy — był to oczywiście Nik Deck — chciał wiedzieć czego się trzymać. Był pewny, że głos pochodził z tej sali, słowa były wyraźne. Na początku leśniczy odważył się zbliżyć do szafy i otworzył ją...

Nikogo.

Poszedł sprawdzić parterowe pokoje, które wychodziły na salę...

Nikogo.

Pchnął drzwi oberży, wychylił się na zewnątrz, przebiegł terasą aż do głównej ulicy Werstu...

Nikogo. W kilka chwil potem sędzia Koltz, bakałarz Hermod, doktor Patak Nik Deck, pasterz Frik i pozostali opuścili oberżę i karczmarza Jonasza, który pospiesznie zamykał drzwi na dwa spusty.

Tej nocy mieszkańcy Werstu w obawie przed upiorem barykadowali się dokładnie w swych domach.

We wsi zapanował strach.

V

Nazajutrz Nik Deck i doktor Patak byli gotowi do wymarszu już o dziewiątej rano. Leśniczy miał zamiar wspiąć się na przełęcz Vulkan, kierując się najkrótszą drogą ku podejrzanej fortecy.

Nie dziwny się, że po zdarzeniu z dymem wydobywającym się z baszty, po zdarzeniu z głosem słyszonym w oberży „Król Maciej”, cała ludność była przerażona. Cyganie zaklinali się, że opuszczą te strony. W rodzinach nie rozprawiano o niczym innym — i to ściszonymi głosami. Kto ośmielił się zaprzeczyć, że to nie sprawka diabła, „Czorta”, owe groźne memento dla młodego leśniczego? Przecież oni byli tam, w oberży Jonasza — kilkunastu najbardziej godnych wiary — i słyszeli te dziwne słowa. Przypuszczenie, że padli ofiarą jakichś złudzeń zmysłów, było nie do przyjęcia. Żadnych wątpliwości w tym względzie: Nik Deck został imiennie ostrzeżony, że zdarzy mu się nieszczęście, jeśli będzie upierał się przy swym zamiarze zbadania zamku Karpaty.

A tymczasem młody leśniczy sposobił się do opuszczenia wsi Werst. Wcale nie był do tego zmuszony, mimo korzyści, jakie uzyskałby sędzia Koltz z wyjaśnienia tajemnicy zamczyska, i mimo interesu, jaki miała wioska w wyjaśnieniu dziwnych wydarzeń; czyniono nawet usilne zabiegi, aby Nik Deck wycofał się z danego słowa. Zapłakana, zrozpaczona, z pięknymi oczyma tonącymi we łzach Miriota błagała go, aby nie upierał się przy tej eskapadzie. Już zanim ostrzegł go tajemniczy głos, była ona niebezpieczna. Po tym ostrzeżeniu — wręcz szalona. Tak to w przeddzień ślubu Nik Deck zamierzał ryzykować swym życiem w takiej próbie, a narzeczona, choć czołgała się u jego stóp, nie potrafiła go zatrzymać.

Ani usilne przekonywania przyjaciół, ani płacz Mirioty nie mogły wpłynąć na leśniczego. Z drugiej strony, nikogo to nie zaskoczyło. Znano jego nieujarzmiony charakter, stanowczość, powiedzmy również — niezłomny upór. Powiedział, że pójdzie do zamku Karpaty, i nic nie może mu w tym przeszkodzić — nawet groźba skierowana bezpośrednio do niego. Tak! Pójdzie do fortecy, nawet gdyby miał stamtąd nigdy nie wrócić!

Kiedy nadeszła godzina wymarszu, Nik Deck przycisnął po raz ostatni do serca Miriotę, która przeżegnała się kciukiem, palcem wskazującym i środkowym, co oznacza hołd dla Świętej Trójcy.

A co z doktorem Patakim? No więc doktor Patak, zmuszony do towarzyszenia leśniczemu, próbował był się od tego uwolnić, ale bez sukcesu. Wszystko, co miał do powiedzenia — powiedział! Wniósł wszelkie możliwe sprzeciwy! Zasłaniał się również tak wyraźnie słyszonym stanowczym nakazem, aby nie iść do zamku.

— Ta groźba dotyczy tylko mnie. — Na takiej odpowiedzi poprzestał Nik Deck.

— A jeśli tobie przytrafi się nieszczęście, leśniku — odrzekł doktor Patak — czy ja wyjdę z tego bez szwanku?

— Ze szwankiem czy bez obiecałeś dotrzeć ze mną do zamku. I dotrzesz tam, ponieważ ja tam idę!

Rozumiejąc, że nic nie przeszkodzi mu w dotrzymaniu swej obietnicy, ludzie z Werstu przyznali leśniczemu rację w tym punkcie. Dobrze, że Nik Deck nie ryzykował sam w tej awanturze. Również bardzo urażony doktor, czując, że nie może się dłużej wycofywać, gdyż mogłoby to narazić jego reputację we wsi, i że mógłby się zhańbić po swych licznych fanfaronadach, zrezygnował z oporu, choć z duszą pełną trwogi.

Był jednakże zdecydowany wykorzystać najmniejszą przeszkodę, jaką mogą spotkać na drodze, aby odwieść swego towarzysza od tak nierozsądnego zamiaru.

Nik Deck i doktor Patak wyruszyli więc, a sędzia Koltz, nauczyciel Hermod, Frik i Jonasz towarzyszyli im aż do zakrętu głównej drogi. Tu się zatrzymali i sędzia Koltz wycelował po raz ostatni swą lunetę — towarzyszyła mu ciągle — w kierunku fortecy.

Z komina baszty nie wydobywał się żaden dym, a byłoby łatwo go dostrzec na bardzo czystym horyzoncie tego pięknego, wiosennego poranka. Czyżby świadczyło to, że goście zamku, ziemscy czy nie z tej ziemi, wynieśli się, gdy zobaczyli, że leśniczy nie posłuchał ich ostrzeżeń? Kilku z odprowadzających tak sądziło, a byłaby to decydująca racja, mogąca doprowadzić sprawę do pomyślnego zakończenia.

Uściśnięto sobie ręce i Nik Deck, ciągnąc za sobą doktora, zniknął na zakręcie przełęczy.

Młody leśniczy miał na sobie strój podróżny: czapkę ozdobioną szerokim daszkiem, kurtkę ściśniętą pasem z kordelasem w pochwie, bufiaste spodnie, podkute buty, ładownicę na biodrach, długą fuzję na ramieniu. Cieszył się uzasadnioną sławą zręcznego strzelca i gdyby, z braku upiorów, spotkał włóczęgów kręcących się przy granicy, lub z braku włóczęgów — kilka niedźwiedzi niezbyt przychylnie usposobionych, byłby w stanie się obronić.

Również doktor uznał, że musi uzbroić się w stary pistolet skałkowy, który wprawdzie trzy razy na pięć strzałów nie wypalał. Niósł także siekierkę, którą wręczył mu towarzysz na wypadek, gdy będzie konieczne torowanie sobie przejścia przez gęste zarośla z Plesy. Głowę okrytą miał szerokim kapeluszem, jaki noszą wieśniacy, opięty podróżnym płaszczem, w wysokich butach — z grubymi podkówkami. Ciężki sprzęt nie przeszkodziłby mu jednak na pewno umknąć, gdyby nadarzyła się sposobna okazja.

Obaj byli również zaopatrzeni w sakwy z zapasami żywności, aby w razie potrzeby móc przedłużyć poszukiwania.

Po osiągnięciu zakrętu drogi Nik Deck i doktor Patak przeszli wieleset kroków wzdłuż Nyadu, wspinając się jego prawym brzegiem. Trzymać się ścieżki, która prowadziła dalej wąwozami, znaczyłoby oddalić się zbyt daleko na zachód. Znacznie korzystniej było dalej wspiąć się wzdłuż koryta strumienia, co skracało odległość o jedną trzecią, gdyż Nyad bierze

swój początek wśród fałd płaskowyżu Orgall. Na początku było to możliwe, ale dalej brzeg strumienia, głęboko wyżłobiony i zatarasowany ogromnymi głazami, nie pozwalał na przejście nawet pieszym. Musieli więc skierować się ukośnie na lewo, a potem zawrócić w stronę zamku po przebyciu dolnej strefy lasów Plesy.

Była to zresztą jedyna strona, od której forteca była dostępna. W czasach gdy mieszkał tam baron Rudolf de Gortz, komunikacja między wioską Werst, przełęczą Vulkan i doliną Silu wołoskiego odbywała się wąską przecinką, poprowadzoną wzdłuż tej właśnie trasy. Lecz od dwudziestu lat oddana w panowanie roślinności, zatarasowana została ona przez chaotyczną plataninę zarośli i daremne byłoby szukanie śladów ścieżki lub dróżki.

Po opuszczeniu koryta Nyadu, całkowicie już ściśniętego wysokimi brzegami i wypełnionego huczącą wodą, Nik Deck zarządził postój, żeby móc zorientować się w terenie. Zamek był teraz niewidoczny. Ukaze się ponownie dopiero powyżej ściany lasów wznoszących się tarasowate na niższych stokach gór — co jest wspólną cechą systemów orograficznych Karpat. Określenie położenia stało się więc trudne z powodu braku punktów odniesienia. Można je było jedynie ustalić według położenia słońca, którego promienie oświetlały odległe szczyty z południowego wschodu.

— No więc widzisz, leśniku — powiedział doktor. — Teraz sam widzisz! Nie ma nawet drogi... lub raczej, już jej nie ma!

— Ale będzie — odciął się Nik Deck.

— Łatwo to mówić, Nik.

— I łatwo wykonać, Patak.

— A więc jesteś nadal zdecydowany?...

Leśniczy odpowiedział jedynie potwierdzającym skinieniem i ruszył między drzewa.

W tym momencie doktor doznał ogromnej chęci zawrócenia z drogi, lecz jego współtowarzysz, który akurat się odwrócił, rzucił mu spojrzenie tak wymowne, że nasz tchórz nie ośmielił się pozostać z tyłu.

Doktor Patak miał jeszcze ostatnią nadzieję, że Nik Deck niechybnie zgubi się w labiryncie tych lasów, których w czasie swej służby nie miał okazji poznać. Liczył na to, nie wziawszy jednak pod uwagę tego niezwyklego węchu, zawodowego instynktu, inaczej mówiąc tych „zwierzęcych” uzdolnień, które pozwalają leśnikowi orientować się według najmniejszych znaków: układania się gałęzi w takim lub innym kierunku, nierówności terenu, zabarwienia kory i różnych odcieni mchów, wystawionych na wiatry południowe lub północne. Nik Deck był zbyt biegły w swym zawodzie — ćwiczył się w nim z największą starannością — żeby się zgubić w lesie, nawet w terenach mu nie znanych. Mógł być godnym rywalem Skórzanej Pończochy lub Chingachgooka z krainy Coopera.

Niewątpliwie przebycie tej strefy drzew mogło sprawiać rzeczywiste trudności. Wiązy, buki, klony, które często nazywa się „rzekomymi platanami”, ogromne dęby panoszące się aż

do poziomu brzoź, sosny i świerki dominujące na wyższych grzbietach na lewo od przełęczy — były to wspaniałe drzewa o potężnych pniach, gałęziach napęczniałych świeżymi sokami, o grubym listowiu, splątanym ze sobą i tworzącym zasłonę z zieleni, przez którą nie mogły się przedostać promienie słoneczne.

Wszelako jak dotąd droga była względnie łatwa, jeśli szło się schylonym pod niskimi gałęziami. Lecz jakimi przeszkodami usłana była powierzchnia ziemi i jakich wysiłków wymagało ich usuwanie! A ile przebycie pokrzyw i jeżyn i zabezpieczenie się przed tysiącami kolców, które wbijały się przy najostrożniejszym nawet dotknięciu! Nik Deck nie należał do ludzi, którzy by się tym zbytnio przejmowali. Byle tylko dało się przebyć las, niestraszne mu były drobne zadrapania. To prawda, że w tych warunkach pochód nie mógł być zbyt szybki. Zresztą nie było potrzeby przyspieszać, gdyż Nikowi Deckowi i doktorowi Patakowi wystarczyło dotrzeć do fortecy po południu. Mieliby jeszcze dość czasu na jej zwiedzenie i zdążyliby wrócić do Werstu przed nocą.

Tak więc leśniczy z toporkiem w rękę torował sobie przejście pośród ogromnych ściernisk najeżonych bagnetami roślinności, gdzie stopa natrafiała na teren nierówny, wyboisty, z garbami korzeni i pniaków, o które się potykała, zagłębiając się w wilgotne warstwy opadłych liści, nie wymiatanych nigdy przez wiatry. Miriady strączków eksplodowały jak wybuchowy groszek, ku wielkiemu przerażeniu doktora podskakującego na tych petardach. Rozglądał się na prawo i lewo, odwracał z przestachem, gdy jakiś pęd zaczepiał o jego płaszcz, niczym pazur, który chciałby go zatrzymać. Nie, wcale nie był spokojny, biedny człowiek. Ale teraz już nie ośmieliłby się sam ruszyć z powrotem i wyczerpał siły, aby nie dać się zbytnio wyprzedzić swemu nieustępliwemu towarzyszowi.

Czasami w lesie trafiali na dziwne prześwity. Przedostawały się tam strumienie światła, a stadła czarnych bocianów wypłoszone ze swych samotni, wlatywały z wysokich gałęzi i unosiły się machając wielkimi skrzydłami. Przebycie tych polanek było jeszcze bardziej męczące. W rzeczywistości stanowiły je stłoczone drzewa, powalone przez burze lub padłe ze starości, jakby topór rzeźnika zadał im śmiertelny cios, przypominające bierki do gry w straszliwym powiększeniu. Leżały tam ogromne pnie, zżerane przez zgniliznę, których żadne narzędzie nie obrobi już na kłocę i które nie zostaną zwiezione do koryta wołoskiego Silu. Z powodu tych przeszkód, trudnych do przebycia, czasami niemożliwych do obejścia, Nik Deck i jego towarzysz musieli się ciężko napracować. Jeśli młodemu leśniczemu, ruchliwemu, zwinnemu i silnemu, udawało się uwalniać z tych pułapek, to doktor Patak, z jego krótkimi nogami i wystającym brzuszkiem, zadyszany, wystraszony, nie mógł uniknąć upadków i wzywania przy tym pomocy.

— Zobaczysz, Nik, skończy się tym, że złamię sobie nogę — powtarzał.

— To ją sobie nastawisz.

— Ależ leśniku, bądźże rozsądny... Nie można porywać się na rzeczy niemożliwe!

Ba! Nik Deck był już daleko w przedzie i doktor, nic nie wskórawszy, pospieszył za nim.

Niełatwo było stwierdzić, czy dotychczas utrzymywany kierunek prowadził wprost do fortecy. Jednakże ponieważ teren ciągle się wznosił, dotarli wreszcie do skraju lasu, a było to około godziny trzeciej po południu.

Powyżej, aż do płaskowyżu Orgall, rozciągała się ściana zielonych drzew, o wiele rzadszych jednak niż na zboczach przebitego masywu.

W tym miejscu Nyad przeciskał się pośród skał i kierował na północny zachód, skośnie do pozycji Nika Decka. Upewniło to młodego leśniczego, że dotąd szli w dobrym kierunku. Wiedział przecież, że strumień wypływa z wnętrza płaskowyżu Orgall.

Nik Deck nie mógł odmówić doktorowi godziny odpoczynku nad brzegiem strumyka. Poza tym żołądki domagały się swoich praw tak samo stanowczo, jak i nogi. Torby były dobrze zaopatrzone, a manierki, zarówno doktora jak i Nika, napełnione rakiją. Również woda przezroczysta i ożywcza, przefiltrowana przez żwirowate dno, płynęła o kilka kroków. Czegoż więcej można by sobie życzyć? Stracili wiele sił, należy więc powetować sobie te ubytki.

Od chwili wymarszu doktor nie miał sposobności do rozmowy z Nikiem, który go ciągle wyprzedzał. Wynagrodził więc to sobie teraz, gdy usiedli obaj nad brzegiem Nyadu. Jeśli jeden był mało mówny to drugi nieustannym gadułą, nie dziwmy się więc, że pytania będą bardzo rozwlekłe, a odpowiedzi lakoniczne.

— Porozmawiajmy chwilę, leśniku; i to poważnie — powiedział doktor.

— Słucham cię — odrzekł Nik Deck.

— Sądzę, że po to zrobiliśmy postój w tym miejscu, aby odzyskać siły.

— Nic bardziej słusznego.

— Przed powrotem do Werstu...

— Nie... przed pójściem do fortecy.

— Ależ Nik, oto wędrujemy już od sześciu godzin i dopiero jesteśmy w pół drogi...

— Co świadczy, że nie mamy czasu do stracenia.

— Lecz gdy dojdziemy do zamku, zapadnie noc... Jak więc sobie to wyobrażasz, leśniku? Nie będziesz chyba takim wariatem, żeby ryzykować, nie widząc wyraźnie. Należy doczekać dnia...

— Poczekamy nań.

— A więc nie chcesz się wyrzec tego projektu, w którym nie ma krzty zdrowego rozsądku?...

— Nie.

— Jak to? Jesteśmy wyczerpani, potrzebujemy raczej dobrego stołu w jakiejś dobrej oberży, wygodnego łóżka w przytulnej sypialni, a ty zamierzasz spędzić noc pod gołym niebem?...

— Tak, jeśli natrafimy na przeszkody uniemożliwiające nam przekroczenie murów zamku.

— A jeśli nie będzie przeszkód?...

— Będziemy spać w komnatach baszty.

— W komnatach baszty! — wykrzyknął doktor Patak. — Sądziś, leśniku, że zgodzę się przez całą noc przebywać wewnątrz tej przekłętej fortecy?

— Bez wątplenia, chyba że wolisz na zewnątrz pozostać sam.

— Sam, leśniku? O tym nie było mowy, ale jeśli musimy się rozdzielić, wołałbym, aby stało się to już w tym miejscu, żebym mógł wrócić do wsi!

— Uzgodnione było, doktorze Patak, że będziesz mi towarzyszyć tam, dokąd ja pójdę...

— Za dnia, tak! W nocy, nie!

— No, dobrze. Możesz wracać, spróbuj tylko nie zabłądzić w tym gąszczu.

Zabłądzić — to właśnie mocno niepokoiło doktora. Pozostawiony sam sobie, nie nawykły do bezdroży wśród lasów Plesy, nie czuł się na siłach wracać do Werstu. Poza tym pozostać samotnie, gdy zapadnie noc — pewnie bardzo ciemna — i schodzić ze stoków przełęczą, ryzykując upadek na dno wąwozu, nie wydawało mu się to niczym przyjemnym.

Nie uśmiechała mu się też wcale wspinaczka na mury obronne po zachodzie słońca; jeśli leśniczy będzie się przy tym upierać — wołałyby towarzyszyć mu jedynie do stóp muru. Ale postanowił zrobić jeszcze jeden wysiłek dla zatrzymania swego towarzysza.

— Wiesz dobrze, mój drogi Niku — podjął — że nie zgodzę się. w żadnym razie na rozdzielenie się z tobą... Ponieważ upierasz się, aby pójść do zamku, nie zostawię cię samego...

— Słusznie powiedziane, doktorze Patak, i myślę, że będziesz się tego trzymał.

— Zaraz... jeszcze jedno słowo, Nik. Jeśli będzie już noc, gdy tam dotrzemy, obiecaj mi, że nie będziemy próbowali dostać się do fortecy...

— Mogę obiecać ci tylko to, doktorze, że dołożę wszelkich starań, aby się tam dostać, oraz to, że nie cofnę się ani na krok, zanim nie zbadam, co tam się dzieje.

— Co się tam dzieje, leśniku! — krzyknął doktor Patak wzruszając ramionami. — A co, według ciebie, ma się tam dziać?

— Tego nie wiem, lecz jeśli już jestem zdecydowany dowiedzieć się, to na pewno się dowiem...

— Jeszcze trzeba się tam dostać, do tego piekielnego zamku! — odciął się doktor, któremu brakowało już argumentów. — Bo jeśli weźmiemy pod uwagę trudy, na jakie natknęliśmy się dotąd, i ile nas kosztowało czasu przebycie lasów Plesy, dzień się skończy wcześniej niż ujrzymy zamek...

— Nie sądzę — odrzekł Nik Deck. — Na tej wysokości świerki i jodły rosną rzadziej niż ten gąszcz wiązów, klonów i buków.

— Ale teren będzie trudniejszy do wspinaczki!

— Nieważne, byle dało się wejść.

— Pozwolę sobie zwrócić uwagę, że w okolicy płaskowyżu Orgall można spotkać niedźwiedzie!

— Zanudzisz mnie na śmierć, Patak! Możesz sobie wracać! Szczęśliwej podróży!

I Nik Deck podniósł się.

— Na miłość boską, leśniku! — wykrzyknął doktor Patak. — Posłuchaj jeszcze chwilę!

— Dość mam słuchania twoich głupstw!

— Zrozum, ponieważ jest już późno, dlaczego nie mamy zostać tutaj, dlaczego nie zanoćować pod osłoną tych drzew?... Wyruszmy jutro o świcie i będziemy mieli cały ranek na zdobycie płaskowyżu...

— Doktorze — odpowiedział Nik Deck — powtarzam ci, że mam zamiar spędzić noc w fortecy.

— Nie! — krzyknął doktor. — Nie... nie zrobisz tego, Nik!... Przeszkodzę ci w tym...

— Ty?

— Zwiążę cię... Porwę cię!... Pobję, jeśli zajdzie potrzeba... Strach pomieszał zmysły nieszczęsnemu Patakowi. Nik Deck nie raczył mu odpowiedzieć i przewiesiwszy fuzję przez ramię uczynił kilka kroków w stronę brzegu Nyadu.

— Zaczekaj... Zaczekaj! — wołał żałośnie doktor. — Co za piekielnik!... Jeszcze chwilę!... Omdlały mi nogi... Kolana nie chcą się zginać...

Ruszył jednak posłusznie, gdyż aby dopędzić leśniczego, który nawet się nie obejrzał, ekspielęgniarski musiał wielce spieszenie podreptać na swych krótkich nogach. Była już godzina czwarta. Promienie słoneczne, muskając wierzchołek Plesy, który niezwłocznie je pochłaniał, oświetlały ukośnie wysokie konary świerków. Nik Deck miał absolutnie rację spiesząc się, gdyż pod drzewami stawało się coraz ciemniej co było zapowiedzią schyłku dnia.

Dziwny i ciekawy widok przedstawiał ten las, w którym skupiały się wytrzymałe gatunki alpejskiej roślinności.

Zamiast pokrzywionych, poskręcanych, zwichrowanych drzew wznosiły się strzeliste kolumny pni, dość rzadko rozstawione, gładkie aż do pięćdziesięciu-sześćdziesięciu stóp ponad ziemią. Pnie bez sęków, rozpościerające liście jak dach z wiecznej zieleni. U ich podłoża płatały się z rzadka krzewy lub zioła. Długie korzenie, wijące się na powierzchni ziemi, przypominały odrętwiałe z zimna węże. Ziemia zaś pokryta żółtawym i równym mchem z przyczepionymi suchymi igłami i usiana mnóstwem szyszek, które chrzęściły pod stopami. Stromy stok był poorany przez krystaliczne skały, których ostre krawędzie kaleczą najgrubszą skórę. Przebycie tej ćwierci mili rzadkiego lasu jodłowo-świerkowego było bardzo trudne. Aby sforsować głązy, trzeba było mieć giętki kark, siłę w nogach, pewność ramion, czyli to, czego nie można się już doszukać u doktora Pataka. Nik Deck, gdyby był sam, potrzebowałby na to nie więcej niż godzinę, a tak kosztowało go trzy wskutek kłopotów w jego towarzysza: musiał bowiem na niego czekać i pomagać mu przy wdrapywaniu się na skały zbyt wysokie dla jego krótkich nóg. Doktor nie czuł nic oprócz strachu, strachu okropnego — aby nie znaleźć się samemu pośród tych ponurych pustkowi.

Tymczasem na tej wysokości grzbietów Plesy, w miarę gdy zbocza stawały się coraz bardziej strome, las się rozrzedzał. Drzewa tworzyły jedynie skromnych rozmiarów osobne kępy. Między nimi dostrzegało się linię wierzchołków górskich, rysujących się na dalszym planie i przesłanianych już wieczorną mgłą.

Strumień Nyad, którego leśniczy aż dotąd się trzymał, zmniejszył się do potoczku, co znaczyło, że źródło było już niedaleko. Kilkaset stóp powyżej ostatnich fałdów terenu okrąglął płaskowyż Orgall, zwieńczony budowlami fortecy.

Nik Deck osiągnął wreszcie płaskowyż po ostatnim wysiłku, który uczynił z doktora bezwładną masę. Biedak nie miał siły zrobić ani kroku dalej i padł, jak wół zwalony obuchem rzeźnika.

Nik Deck zdawał się wcale nie odczuwać zmęczenia po tej trudnej wspinaczce. Stał nieruchomo i pożerał spojrzeniem zamek Karpaty, którego nigdy dotąd nie widział z tak bliska.

Przed oczyma rozpościerały się obronne mury z blankami u wierzchołków, chronione dodatkowo głęboką fosą, a jedyny zwodzony most naprzeciw wjazdu obramowanego kamiennym gzymsem był podniesiony.

Dookoła murów, na płaskowyżu Orgall, królowała pustka i cisza.

Resztki dziennego światła pozwalały objąć wzrokiem całość fortecy majaczej niewyraźnie w wieczornym zmroku. Nikt nie pokazywał się ani powyżej balustrady muru, ani na górnej platformie baszty, ani na okrągłym tarasie pierwszego piętra. Żadna smuzka dymu nie wiała się dokoła dziwnego wiatrowskazu, przeżartego odwieczną rdzą.

— No widzisz, leśniku. Jak ci się podoba fakt, że nie można przebyć fosy, opuścić mostu i otworzyć bramy? — zapytał doktor Patak.

Nik Deck nie odpowiedział. Zdał sobie sprawę, że będą zmuszeni zatrzymać się przed murami zamku. Bo czyż możliwe jest w tej ciemności spuścić się do fosy i wdrapać na skarpe, by znaleźć przejście w murach? Oczywiście najrozsądniej będzie poczekać do świtu i działać w pełnym świetle dnia.

I tak zdecydowali ku wielkiemu zmartwieniu leśniczego, a ogromnej satysfakcji doktora.

VI

Cienki rogalik księżycy, wąski jak srebrny sierp, zniknął był tuż po tym, jak zaszło słońce. Chmury napływające z zachodu wygaszały stopniowo ostatnie przebłyski zmierzchu. Zmrok ogarniał krok po kroku przestworza, podnosząc się z niższych partii gór. Amfiteatr szczytów wypełnił się ciemnością i kształty fortecy wkrótce znikły, okryte całunem nocy.

Choć noc zapowiadała się bardzo ciemna, nic nie wskazywało na to, że zakłóca ją jakieś meteory, pioruny, deszcz lub burza — na szczęście dla Nika i jego współtowarzysza, którzy zamierzali obozować pod gołym niebem.

Na jałowym płaskowyzu Orgall nie rosło ani jedno drzewo. Jedynie tu i ówdzie karłowate krzewy, nie dające żadnej osłony przed nocnym chłodem. Trudno było również znaleźć inne skały niż te, na pół tkwiące w ziemi lub ledwo utrzymujące równowagę; pchnięcie wystarczyłoby, żeby stoczyły się aż po ścianę świerkowych lasów.

Jedyną rośliną obficie porastającą ten kamienisty grunt był gruby oset, zwany rosyjskim cierniem.

Pozostawało więc spieszenie przysposobić jakiegokolwiek miejsce pozwalające doczekać dnia i chroniące przed spadkiem temperatury, który na tej wysokości jest znaczny.

— Mamy jedynie kłopoty z wyborem... choroby! — mamrotał doktor Patak.

— Ponarzekaj więc sobie! — odparł Mik Deck.

— A pewnie, że będę narzekał! Co za przyjemne miejsce na złapanie pięknego kataru lub jeszcze piękniejszego reumatyzmu, którego nie będę umiał wyleczyć!

Dobrowolne przyznanie się do braku umiejętności zawodowych w ustach dawnego sanitariusza, kwarantanny! Ach, jakże teraz żałował swego wygodnego domku w Werscie, z dobrze zamkniętą sypialnią i łóżkiem wyściełonym poduszkami i kołdrami!

Spośród bloków skalnych rozsianych na płaskowyzu Orgall należało wybrać najlepiej zasłaniający przed wiatrem południowo-zachodnim, który zaczynał już szczytać. Udało się to Nikowi i wkrótce wraz z doktorem ukrył się za szeroką skałą, u góry płaską niczym murek.

Skąła była jedną z owych kamiennych ławek, ukrytych pod świerzbnicami i skalnicami*, jakie często spotyka się na zakrętach dróg w prowincjach wołoskich. Podróżny może tam spocząć, a jednocześnie ma okazję ugasić pragnienie wodą z naczynia stojącego na ławce, które jest uzupełniane każdego dnia przez wieśniaków. W czasach gdy zamek był zamieszkały przez barona Rudolfa de Gortz, na ławce znajdował się zbiornik, a służba barona miała obowiązek dopilnować, by nigdy nie pozostawał pusty. Obecnie zanieczyszczony był odpadkami, pokryty zielonym mchem, a najsłabsze uderzenie mogłoby go rozbić w pył.

Na krańcu ławki wznosiła się granitowa kolumna, pozostałość dawnego krzyża, które go zarys ramion na pionowym słupie przedstawiały jedynie na wpół zatarte rowki. Ponieważ doktor Patak szczylił się swym zdrowym rozsądkiem, nie mógł nawet robić sobie nadziei, że ten krzyż ochroni go przed nadprzyrodzonymi zjawiskami. A przecież, co jest dość częstą cechą większości niedowiarków, nie odrzucał wiary w diabła. Według niego Czort musiał być niedaleko; to Czort nawiedzał fortecę i ani zamknięta brama, ani podniesiony most zwodzony, ani strome mury obronne czy głęboka fosa, nie przeszkodziłyby mu wydostać się stamtąd, gdyby mu przyszła fantazja skręcenia karku intruzom.

I gdy doktor Patak pomyślał, że całą noc będzie zmuszony spędzić w takich warunkach, zdrzął ze strachu. Nie! To zbyt wiele dla istoty ludzkiej; nawet człowiek o najsilniejszym charakterze nie byłby w stanie tego znieść.

Na dodatek, niestety zbyt późno, przypomniał sobie jeszcze o czymś, o czym nie pomyślał przed opuszczeniem Werstu. To przecież wtorkowy wieczór, a wtorek to przecież dzień czarów. Właśnie tego dnia nikt w całym komitacie nie krąży po ulicach ani drogach, gdy zajdzie słońce. A oto on, doktor Patak, znalazł się nie tylko poza domem, lecz w pobliżu nawiedzonego zamku i to dwie lub trzy mile od wioski! I właśnie tu będzie zmuszony oczekiwać świtu... jeśli go w ogóle doczeka!

Doprawdy, to już jest kuszenie losu!

Całkiem pograżony w tych niewesołych myślach doktor dostrzegł nagle, że leśniczy zupełnie spokojnie wyciąga z torby kawał zimnej pieczeni, a przedtem już pociągnął niezły łyk ze swej manierki. Najlepsze, co mógł zrobić, to pójść w jego ślady; wnet też to uczynił. Gęsie udko i pajda chleba, zakropione rakiją, były w sam raz przydatne, żeby nabrać sił. Aliści jeśli udało mu się uspokoić głód, to nie udało się to ze strachem.

— A teraz śpijmy — rzekł Nik Deck, gdy już odstawił swą torbę pod skałę.

— Spać, leśniku?

— Dobranoc, doktorze.

— Dobranoc to łatwo życzyć, lecz obawiam się, żeby ta właśnie nie skończyła się źle...

Nik Deck nie miał ochoty na dalszą rozmowę i nie odpowiedział doktorowi. Przyzwyczajony w swym zawodzie do spania w lesie, oparł się jak mógł najwygodniej

o kamienną ławkę i wkrótce zapadł w głęboki sen. Doktor nie mógł już nic więcej uczynić, jak tylko pogderać pod nosem, słysząc regularne posapywanie swego towarzysza.

Jednakże doktor nie był w stanie choćby na kilka minut przytępić swego zmysłu wzroku i słuchu. Mimo zmęczenia nie przestawał rozglądać się, nie przestawał nadstawiać uszu. Jego umysł był nękany dziwnymi wizjami rodzącymi bezsenność.

Czego próbował dopatrzeć się w głębokich ciemnościach? Wszystkiego i nic z tego — niewyraźnych kształtów przedmiotów go otaczających, poszarpanych chmur na niebie, ledwo dostrzegalnej bryły zamku. Potem były to skały płaskowyżu, które wydawały mu się tańczyć szatańską sarabandę. Chwiały się w swych posadach, zsuwały ze zbocza, toczyły się na obu ryzykantów i przygniatały ich do bramy fortecy, do której wstęp był im zabroniony!

Nieszczęsny doktor siedział wyprostowany i słuchał odgłosów rozchodzących się po powierzchni wysokich płaskowyżów, niepokojących szmerów zawierających jednocześnie szelest, jęk i skargę. Słyszał także nocne stworzenia muskające głązy gwałtownymi uderzeniami skrzydeł, strzygi wylatujące na swój nocny spacer, dwie lub trzy pary żalobnych puszczyków, których pohukiwania brzmiały jak lament. W odpowiedzi na każdy z tych odgłosów mięśnie doktora kurczyły się, a całe ciało drżało oblane lodowatym potem.

W ten sposób upłynęły długie godziny aż do północy. Gdyby doktor Patak mógł rozmawiać, choć od czasu do czasu zamienić słówko, puścić wodze swym narzekaniom, czułby się o wiele mniej wystraszony. Lecz Nik Deck spał i to snem głębokim.

Północ to najstraszniejsza ze wszystkich godzin — godzina duchów, godzina czarów.

A co przyniosła z sobą tutaj?

Nagle doktor zerwał się, zastanawiając się, czy został obudzony, czy też znajduje się pod wpływem jakiegoś koszmaru.

Naprawdę sądził, że widzi w górze — nie! widział rzeczywiście — jak dziwaczne widma, oświetlone upiornym światłem, przemieszczały się z jednej strony horyzontu na drugą, wlatywały, obniżały się, opadały wraz z chmurami. Można by rzec, że jakieś monstra, smoki z węzowymi ogonami, hipogryfy z szerokimi skrzydłami, gigantyczne ośmiornice, olbrzymie wampiry spadały na ziemię, żeby pochwycić go w swe szpony lub połknąć paszczami.

Potem wydawało mu się, że wszystko na płaskowyżu Orgall się porusza — skały, drzewa wznoszące się na skraju lasu. A do jego uszu bardzo wyraźnie doszły powtarzane z małymi przerwami uderzenia.

— Dzwon... — wyszeptał. — Dzwon forteczny!

Tak! Rzeczywiście przypominało to uderzenia dzwonu starej kaplicy, jakby kościoła w Vulkanie, którego dźwięk wiatr musiałby ci jednak nieść w przeciwną stronę.

Także uderzenia tego dzwonu były bardziej gwałtowne... Ręka, która wprawiała go w ruch, czyniła to nie dla podzwonnego śmierci! Nie! Był to sygnał alarmowy, a pospieszne dźwięki budziły echa na granicy transylwańskiej.

Słyszącego te ponure odgłosy doktora Pataka opanował konwulsyjny strach, nieprzewyciężona trwoga, nieodparte przerażenie, a po całym jego ciele przebiegały zimne dreszcze.

Lecz i leśniczego wyrwał ze snu niesamowity głos dzwonu. Podniósł się, a doktor Patak zachowywał się tak, jakby chciał wejść w jego skórę.

Nik Deck nastawił uszu, a jego oczy próbowały przeniknąć gęste ciemności okrywające fortecę.

— Ten dzwon!... Ten dzwon!... — powtarzał doktor Patak. — To Czort nim dzwoni!...

Bez wątpienia nasz biedny doktor wierzył teraz w diabła bardziej niż kiedykolwiek.

Leśniczy, nieruchomy, nic nie odpowiadał.

Wkrótce rozszalały się ryki podobne do tych, jakie wydają syreny okrętowe na wzburzonych falach przy wejściu do portów.

Przestrzeń w szerokim promieniu była wstrząsana ich ogłuszającymi podmuchami.

Następnie ze środkowej baszty wytrysnęło światło, ostre światło, które wyrzucało błyski o przenikającej jaskrawości — oślepiające świetlne sztylety. Jakież ogień wytwarzał tak potężne światło, którego promienie rozchodziły się po rozległych połaciach płaskowyżu Orgall? W jakim palenisku powstawało to źródło fotogeniczne, które zdawało się rozżarzać skały, a jednocześnie okrywało je przerażająco sinym odcieniem?

— Nik... .Nik... — krzyczał, doktor. — Spójrz na mnie!... Czy jestem już trupem, tak jak ty?

Rzeczywiście, leśniczy i doktor przybrali wygląd trupi: twarze bezkrwiste, oczy zgaszone, puste oczodoły, policzki szarzielone, włosy przypominające mech, który według legend porasta czaszki wisielców...

Nik Deck był oszołomiony tym, co widział, jak również tym, co słyszał. Doktor Patak doszedł do najwyższego stopnia przerażenia, mięśnie miał sparaliżowane, źrenice rozszerzone, a zeszywniałe ciało przypominało chorego na tężec.

Jedną minutę, najwyżej jedną minutę trwało to straszne zjawisko. Następnie dziwne światło stopniowo osłabło, wycia przycichły, a płaskowyż Orgall pogrążył się w ciszy i ciemnościach.

Ani jeden, ani drugi nie próbował już spać. Doktor przytłoczony osłupieniem, leśniczy oparty o kamienną ławkę — oczekiwali nadejścia dnia.

O czym rozmyślał Nik Deck w obliczu tych wypadków, tak oczywiście nadprzyrodzonych, które wydarzyły się na jego oczach? Czy nie mogło to zachwiać jego postanowieniem? Czy dalej będzie upierał się przy swej zuchwałej przygodzie? Oczywiście — spenetruje fortecę, zbada basztę... Lecz czy nie wystarczy, że dotarł aż do jej niedostępnych murów, naraził się na gniew duchów i spowodował trzęsienie żywiołów? Niewątpliwie darowano by mu niedotrzymanie obietnicy, gdyby wrócił do wioski bez doprowadzenia szaleństwa aż do ostateczności — zapuszczenia się w głąb tego szatańskiego zamku.

Nagle doktor rzucił się na niego, schwycił za rękę, usiłował pociągnąć za sobą, powtarzając stłumionym głosem:

— Uciekajmy!... Uciekajmy!...

— Nie! — odpowiedział Nik Deck.

Tym razem on pochwycił i przytrzymał doktora, który upadł bez zmysłów po ostatnim wysiłku.

Wreszcie i ta noc się skończyła, a stan ich umysłów był taki, że ani leśniczy, ani doktor nie miał poczucia czasu, jaki upłynął aż do brzasku. Nic nie pozostało w ich pamięci z godzin, które poprzedziły pierwsze przebłyski świtu.

Właśnie na grani Paringu, na wschodzie horyzontu, po drugiej stronie doliny dwóch Sił w zarysowała się blad różowa kreska. Lekkie biele rozpraszały się od zenitu ku dołowi nieba, poliniowanego jak skóra zebry.

Nik Deck obrócił się w stronę zamku, zobaczył jego kształty wyłaniające się stopniowo, basztę uwalniającą się z gęstych mgieł opadających na przełęcz Vulkan, kaplicę, galerie, mur obronny wynurzający się z nocnych oparów, w chwilę później na narożnym bastionie odcinający się na tle nieba buk z liśćmi szumiącymi w powiewie porannego wiatru.

Żadnej zmiany w normalnym wyglądzie fortecy. Dzwon był tak samo nieruchomy, jak stary średniowieczny wiatrowskaz. Żaden pióropusz dymu nie ozdabiał kominów baszty, której zakratowane okna były dokładnie zamknięte.

Ponad tarasem wlatywało kilka ptaków, rzucając w powietrzu krótkie, ostre krzyki.

Nik Deck. przeniósł spojrzenie ku głównemu wejściu zamku. Zwodzony most, oparty o mur z otworem wejściowym, przysłaniał bramę między dwoma kamiennymi pilastrami, ozdobionymi herbami baronów de Gortz.

Czyżby leśniczy zdecydował się jednak doprowadzić do końca Swą awanturę wyprawę? Właśnie tak. Jego postanowieniem nie zachwiały wcale wydarzenia minionej nocy. Co powiedziane, musi być zrobione — jak wiadomo taka była przecież jego dewiza, Ani tajemniczy głos, który mu zagroził osobiście w oberży „Król Maciej”, ani niewytłumaczalny spektakl dźwięku i światła, którego dopiero co był świadkiem, nie przeszkodzą mu przekroczyć muru fortecy. Wystarczy godzina, aby przebiec galerie, przeszukać basztę,

i przyrzeczenie będzie dotrzymane. Będzie mógł wracać do Werstu i dotrzeć tam jeszcze przed południem.

Tymczasem doktor Patak, będący już tylko bezwolnym narzędziem, nie miał siły ani oponować, ani cokolwiek przedsiębrać. Tam pójdzie, gdzie się go popchnie. Gdyby upadł, nie mógłby się podnieść. Okropności nocy wprawiły go w absolutne ośpienie — do tego stopnia, że nie zrobił żadnej uwagi, gdy leśniczy wskazując na zamek, rzekł: — Idziemy!

Tymczasem wstał dzień i doktor mógłby wrócić do wsi bez obawy zabłądzenia w lasach Plesy. Mimo że nie miał najmniejszej ochoty zostać z Nikiem, to jednak gdyby opuścił swego towarzysza i wrócił, znaczyłoby to, że zupełnie nie uświadamia sobie powagi sytuacji, że pozostało mu tylko ciało bez duszy. Tak więc gdy leśniczy popchnął go w kierunku stoku zewnętrznej skarpy — nie zaproponował.

Czy była możliwość dostania się do fortecy inaczej niż przez bramę? Oto czego najpierw chciał się dowiedzieć Nik Deck.

W obronnym murze między bastionami nie można było dostrzec żadnego wylomu, żadnego obsunięcia, żadnego uskoku, który pozwoliłby wejść do wewnątrz. Było zadziwiające, że te stare mury zachowały się w tak dobrym stanie — zawdzięczały to pewnie swej grubości. Wdrapać się aż do poziomu blanków, którymi były zwieńczone, wydawało się niemożliwe, gdyż wznosiły się one jakieś czterdzieści stóp nad fosą. Zdawało się, że Nik Deck, osiągnąwszy w końcu zamek, natrafił na przeszkody nie do pokonania.

Na szczęście — lub na nieszczęście dla niego — ponad bramą znajdowało się coś w rodzaju otworu strzelniczego, skąd wysuwała się dawniej lufa śmigownicy.* Gdyby posłużyć się jednym z łańcuchów zwodzonego mostu, zwisających aż do ziemi, nie byłoby bardzo trudno mężczyźnie zwinnemu i silnemu wspiąć się do tego otworu. Jego szerokość była wystarczająca, żeby się przecisnąć i jeśli tylko nie był zagrodzony kratą od wewnątrz, Nik Deck mógłby bez wątpienia dostać się tędy na dziedziniec fortecy.

Leśniczy na pierwszy rzut oka dostrzegł, że nie ma innego sposobu i dlatego, prowadząc bezwolnego doktora, zsunął się stromym zejściem do fosy.

Wkrótce obaj osiągnęli jej dno, usiane kamieniami leżącymi między krzakami dzikiej roślinności. Nie byli pewni, gdzie postawić stopę i czy miriady jadowitych stworzeń nie kłębią się pod ziemią w tych wilgotnych zagłębieniach.

Pośrodku fosy, a równoległe do muru zaznaczało się koryto kanału, obecnie prawie całkowicie wyschniętego, które dobrym susem można by przeskoczyć.

Nik Deck, nic nie straciwszy ze swej energii fizycznej i duchowej, działał z zimną krwią. Tymczasem doktor postępował za nim machinalnie, jak zwierzę prowadzone na postronku.

Po przekroczeniu kanału leśniczy przesunął się wzdłuż podstawy murów o kilkadziesiąt kroków i zatrzymał się pod bramą, w miejscu gdzie zwisał koniec łańcucha. Przy pomocy rąk

i nóg dość łatwo będzie mógł osiągnąć kamienny gzyms wystający pod otworem.

Oczywiście Nik Deck nie miał zamiaru zmuszać doktora Pataka i do wspólnej wspinaczki. I tak nie byłby w stanie tego dokonać, zbyt był ciężki ten pocziwiec.

Leśniczy poprzestał więc na silnym potrząśnięciu nim, aby przywrócić mu świadomość, i polecił pozostać nieruchomo na dnie fosi.

Następnie Nik rozpoczął wspinaczkę po łańcuchu, a dla jego mięśni górała była to jedynie zabawa.

Tymczasem doktorowi, zostawionemu samemu sobie, w pewnym stopniu wróciła świadomość położenia. Gdy rozejrzał się i dostrzegł współtowarzysza za wiszonego już kilkanaście stóp ponad ziemią, i oprzytomniał. Krzyknął tedy głosem zduszonym strachem:

— Zatrzymaj się... Nik... zatrzymaj się!

Leśniczy nie słuchał go wcale.

— Wróc... wróc... lub sobie pójdę! — zajęczał doktor, któremu udało się stanąć na nogach.

— Idź precz! — odkrzyknął Nik Deck.

I w dalszym ciągu wspinał się powoli wzdłuż łańcucha zwodzonego mostu.

Doktor Patak w napadzie przerażenia chciał jak najszybciej dotrzeć do stoku kontrskarpy, aby wydostać się na koronę płaskowyżu Orgall i co sił w nogach popędzić w kierunku Werstu...

Lecz co za dziwy, wobec których bledną wydarzenia minionej nocy! Oto doktor nie może się ruszyć... Jego stopy są unieruchomione, jakby dostały się w szczękę jakiegoś imadła... A może uda mu się posuwać je kolejno, jedną po drugiej? Nie!... Są przyrośnięte piętami i podeszwami butów... Czyżby doktor został złapany w sidła?... Był zbyt przerażony, żeby coś dostrzec... Wyglądało raczej, że został przytwierdzony gwoździami swych butów.

Cokolwiek to było, biedaczysko tkwił unieruchomiony w miejscu, gdzie stał.. Został przynitowany do ziemi... Nie mając już siły nawet krzyknąć, wyciągnął rozpaczliwie ręce... Można by rzec, że chce się wyrwać z objęć jakiegoś potwora, którego paszcza wynurza się z wnętrza ziemi...

Tymczasem Nik Deck dotarł już do wysokości bramy i schwycił ręką za żelazne okucie przylegające do zawiasu zwodzonego mostu...

Nagle z ust wyrwał mu się przeraźliwy krzyk, potem, odrzucony do tyłu, jakby został porażony piorunem, ześlizgnął się po łańcuchu, którego uchwycił się wiedziony jakimś ostatnim instynktem, i stoczył się na dno fosi.

— Głos mówił prawdę, że zdarzy mi się nieszczęście! — wyszeptał i stracił przytomność.

VII

Jak opisać niepokój, który trapił wioskę Werst od chwili wyjścia młodego leśniczego i doktora Pataka? Powiększał się z godziny na godzinę, a z upływem czasu każda z nich wydawała się nie mieć końca.

Sędzia Koltz, oberzysta Jonasz, nauczyciel Hermod i kilku innych nie przestawało dyżurować na terasie. Każdy z nich uparcie obserwował odległą bryłę fortecy, próbował dostrzec, czy nad basztą nie pojawi się jakaś smuga. Żaden dym nie pokazywał się jednak — co można było stwierdzić za pomocą lunety niezmiennie wycelowanej w tym kierunku. Doprawdy, dwa floreny zużyte na zakup tego aparatu były pieniędzmi dobrze ulokowanymi. Nigdy sędzia, szczególnie zainteresowany, a strzegący dobrze swej sakiewki, nie żałował mniej wydatku, niż na ten cel.

Gdy minęło południe i jeszcze pół godziny i wrócił z pastwiska Frik, oczywiście zaczęto go wypytywać, czy spostrzegł coś nowego, nadzwyczajnego, nadprzyrodzonego...

Frik wyjaśnił, że przebył całą dolinę Silu wołoskiego i nic podejrzanego nie dostrzegł.

Po obiedzie, gdzieś koło drugiej godziny, wszyscy wrócili na swe posterunki obserwacyjne. Nikt nie pomyślał, żeby pozostać w domu, a szczególnie nikomu nie przyszło do głowy przekroczyć progu „Króla Macieja”, gdzie usłyszano onegdaj pogroźki. Żeby ściany miały uszy, dałoby się to jeszcze znieść, wszak mówi się tak często w języku potocznym... ale żeby miały usta!...

Czcigodny karczmarz miał prawo się martwić, że jego oberża może być omijana; niepokój nie opuszczał go ani przez chwilę.

Czyżby trzeba było ją zamknąć i z braku gości samemu zjadać własne zapasy? A przecież dla uspokojenia ludności Werstu przedsięwziął był dokładne przeszukanie „Króla Macieja”: sprawdził pokoje, zaglądając nawet pod łóżka, przetrząsnął szafy i kredens, zbadał skrupulatnie kąty i zakamarki głównej sali, obszukał cały dom od piwnic aż po strych, gdzie jakiś złośliwy dowcipniś mógłby zorganizować tę mistyfikację. Nic!... Nie więcej wskórał sprawdzając tylną stronę, wznoszącą się nad Nyadem. Okna były umieszczone zbyt wysoko, aby ktoś mógł wdrapać się po murze, wznoszącym się pionowo a swymi fundamentami zanurzonym w rwącym nurcie strumienia. Wszystko na próżno. Strach nie kieruje się rozsądkiem i dużo czasu musi upłynąć, to pewne, zanim stali goście Jonasza ponownie zaufają swej oberży, swym sznapsom i rakii.

Dużo czasu?... Sami zobaczymy, że te fałszywe prognozy wcale nie musiały się sprawdzić.

Rzeczywiście, w kilka dni później w następstwie zupełnie nieprzewidzianych okoliczności notable wioski podejmują swe codzienne konferencje, przeplatane solidnymi kielichami, przy stołach „Króla Macieja”.

Lecz wróćmy do młodego leśniczego i jego towarzysza, doktora Pataka.

Przypomnijmy, że w chwili opuszczenia wioski Werst Nik Deck obiecał zrozpaczonej Miriocie nie przedłużać swej wizyty w zamku Karpaty. Jeśli nie przydarzy mu się nieszczęście, jeśli groźby nie sprawdzą się, liczył, że będzie z powrotem wczesnym wieczorem. Oczekiwano go więc i to z jaką niecierpliwością!

Przecież ani dziewczyna, ani jej ojciec, ani nauczyciel nie mogli przewidzieć przeszkód na drodze, które nie pozwoliły leśniczemu osiągnąć szczytu płaskowyżu Orgall przed zapadnięciem nocy. W następstwie czego niepokój, tak żywy już w czasie dnia, przekroczył wszelką miarę, gdy dzwon Wulkanu wydzwonił ósmą, co usłyszano bardzo wyraźnie we wsi Werst. Cóż to się mogło stać, że Nik Deck i doktor po całym dniu nieobecności jeszcze się nie pokazali? Nikt z oczekujących nie pomyślał nawet o udaniu się do domu przed ich powrotem. W każdej chwili spodziewano się ujrzeć ich na zakręcie drogi z przełęczy.

Sędziego Koltza i jego córkę poniosło aż na skraj ulicy, do miejsca, gdzie pastuch trzymał wartę. Wiele razy wydawało im się, że widzą cienie rysujące się w oddali, w prześwitach między drzewami... Zwykle złudzenie! Przełęcz była opustoszała, jak zwykle zresztą, gdyż bardzo rzadko po nocy odważał się ktoś zapuszczać tędy od granicy. Poza tym był to wieczór wtorkowy, wieczór złych duchów i tego dnia Transylwańczycy niezbyt chętnie opuszczają domy po zachodzie słońca. Jakimż szałem okazał się Nik Deck, wybierając podobny dzień na odwiedzin w zamku! Prawda jest taka, że młody leśniczy wcale się nad tym nie zastanawiał, lecz co dziwniejsze, również nikt w całej wsi o tym nie pomyślał.

Dopiero teraz Miriota sobie przypominała. A jakie straszne obrazy przychodziły jej do głowy! W wyobraźni towarzyszyła narzeczonemu godzina po godzinie przez gęste bory Plesy, w czasie gdy wdrapywał się na płaskowyż. Orgall... Teraz, gdy nadeszła noc, wydawało się jej, że widzi go za murami, próbującego się wyrwać Juchom osiadłym w zamku Karpaty... Stał się zabawką ich czarów... Został ofiarą ich zemsty... Jest uwięziony na dnie podziemnych lochów... być może martwy...

Biedna dziewczyna, nic pozwolono jej puścić się siadami Mika! A ponieważ nie mogła tego uczynić, chciała przynajmniej oczekiwać go całą noc w tym miejscu. Lecz ojciec rozkazał jej wrócić, i więc zostawiwszy na posterunku pasterza, oboje skierowali się do domu.

Od kiedy została sama w swoim pokoiku, dłużej już nie wstrzymywała potoku łez. Kochała z całej duszy dzielnego Nika i to miłością o tyle bardziej wdzięczną, że miody leśniczy starał się o nią wcale nie według zasad normalnie decydujących o małżeństwach na wsiach transylwańskich, i w tak dziwny sposób.

Co za smutną noc przeżyła Miriota wśród łąków i płaczu! Wcale się nie kładła. Wychylonej z okna, ze wzrokiem wbitym we wznoszącą się ulicę, wydawało się, że słyszy szepczący głos: „Mikołaj Deck nie posłuchał ostrzeżeń!... Miriota nic ma już narzeczonego!”

Jej stargane nerwy powodowały złudzenia. W nocnej ciszy nie było słychać żadnego głosu. Niewytłumaczalne zjawisko z oberży „Król Maciej” nie powtórzyło się w domu sędziego Koltza.

Nazajutrz o świcie cała ludność Werstu wyległa z domów. Od skarpy aż do zakrętu przełęczy jedni wchodzili, drudzy schodzili główną ulicą; ci pierwsi — aby pytać o nowiny, ci drudzy, aby je przekazywać. Mówiono, że pasterz Frik poszedł naprzód dobrą milę od wioski, nie przez lasy Plesy, lecz ich skrajem, i że nie uczynił, tego bez powodu.

Teraz trzeba na niego czekać i żeby móc się z nim jak najrychlej zobaczyć, sędzia Koltz, Miriota i Jonasz udali się na skraj wioski.

Pół godziny później Frik został dostrzeżony kilkaset metrów w górę drogi.

To, że nie przyspieszał kroku, przyjmowano jako złą zapowiedź.

— No, więc, Frik, co zobaczyłeś? Czego się dowiedziałeś? — wypytywał go z niecierpliwością sędzia Koltz, gdy pasterz zbliżył się do nich.

— Niczego nie widziałem, niczego się nie dowiedziałem — odrzekł Frik.

— Niczego! — wyszeptała dziewczyna, a oczy jej wypełniły się łzami.

— Z rana — podjął pasterz — dostrzegłem dwóch ludzi o milę stąd. Myślałem na początku, że to — Nik Deck w towarzystwie doktora... lecz to nie był on!

— A wiesz, co to byli za ludzie? — spytał Jonasz.

— Dwaj cudzoziemscy podróżni, którzy szli od granicy wołoskiej.

— Czy rozmawiałeś z nimi?

— Tak.

— Czy zejdą do wioski?

— Nie, poszli drogą w kierunku na Retezat, na którego szczyt chcą się dostać.

— Czy to turyści?...

— Takie sprawiali wrażenie, panie sędzio.

— A tej nocy, przechodząc przełęcz Vulkan, czy nic nie widzieli od strony fortecy?...

— Nie... ponieważ znajdowali się jeszcze po tamtej stronie granicy — odpowiedział Frik.

— A więc nie ma żadnej wiadomości o Niku Decku?

— Żadnej.

— Mój Boże!... — westchnęła biedna Miriota.

— Zresztą za kilka dni będziecie mogli jeszcze zapytać tych podróżnych — dodał Frik — gdyż mają zamiar zatrzymać się w Werscie przed powrotem do Kolosvaru.

Jeśli tylko nie dowiedzą się o zdarzeniach w mojej oberży! — pomyślał niepocieszony Jonasz. — Mogą wcale nie zechcieć tu zamieszkać. — Od trzydziestu sześciu godzin nasz wspaniały oberżysta prześladowany był obawą, że żaden podróżny nie ośmieli się odtąd jeść lub spać w „Królu Macieju”.

W sumie te pytania i odpowiedzi, wymiana zdań między pasterzem i jego panem, w niczym nie wyjaśniły sytuacji. Czyż na podstawie tego, że o godzinie ósmej rano nie pojawił się ani młody leśniczy, ani doktor Patak, należy sądzić, że już nigdy nie wrócą? Czyżby nie można było bezkarnie zbliżyć się do zamku Karpaty?

Wyczerpana emocjami tej bezsennej nocy, Miriota nie miała już więcej siły tego znosić. Całkiem osłabła, ledwie mogła utrzymać się na nogach. Ojciec musiał ją zabrać do domu. Tam potoki łez jeszcze przybrały... Wzywała Nika rozziewającym głosem... Chciała biec na poszukiwanie... Wzbudzała litość i obawy, że może postradać zmysły.

Tymczasem trzeba było pilnie coś postanowić. Należało biec na pomoc leśniczemu i doktorowi bez straty nawet chwili. To nieważne, że znaczyłoby to pójść naprzeciw niebezpieczeństwu, wystawiając się na szykany jakichś istot, ludzkich lub innych, które zajęły fortecę. Ten obowiązek spoczywał zarówno na ich przyjaciółach, jak i na pozostałych mieszkańcach wioski. Najodważniejsi nie zawahają się chyba zapuścić w głąb przepastnych borów Plesy i wdrapać aż do zamku Karpaty.

Tak zdecydowano po wielu dyskusjach i zabiegach. Najodważniejsi znaleźli się w liczbie trzech. Byli to: sędzia Koltz, pasterz Frik i oberżysta Jonasz — nikt więcej. Gdy nogę nauczyciela Hermoda chwyciła nagle podagra i musiał się położyć na dwóch zestawionych krzesłach w klasie swej szkoły.

Okolo godziny dziewiątej sędzia Koltz i współtowarzysze, na wszelki wypadek dobrze uzbrojeni, udali się drogą ku przełęczy Vulkan. Potem w tym samym miejscu gdzie Nik Deck opuścili ją i zagłębili się w gęsty masyw leśny.

Przypuszczali, zresztą nie bez racji, że jeśli leśniczy i doktor wracaliby do wioski, obraliby ścieżkę prowadzącą przez Plese. I że w ten sposób można będzie łatwiej odnaleźć ich ślady, co się zaraz potwierdziło, gdy tylko przekroczyli brzeg lasu.

Pozostawmy ich teraz, żeby opowiedzieć, co działo się w Werscie, od kiedy stracono ich z oczu. Jeśli poprzednio wydawało się konieczne, żeby ludzie dobrej woli stanęli w obronie Nika Decka i Pataka, teraz gdy już poszli stwierdzono, że była to niesłychana lekkomyślność. Byłby to piękny wynik, gdyby pierwsza katastrofa pociągnęła za sobą następną! Gdyż w to, że leśniczy i doktor stali się ofiarami swych pokus, nikt już nie wątpił; ale czemu miałyby

służyć poświęcenie sędziego Koltza, Frika i Jonasza? Mimo to byłoby zbyt dużą przesadą, gdyby dziewczyna już opłakiwała ojca, tak jak opłakuje narzeczonego, lub gdyby przyjaciele pastucha i oberżysty wyrzucali sobie ich stratę!

Jednak ogólny smutek zapanował w Werscie i nie było widoku, żeby mógł się wkrótce skończyć. Zakładając, że nie przytrafi się im żadne nieszczęście, nie można liczyć na powrót sędziego Koltza i jego dwóch towarzyszy wcześniej, zanim noc nie okryje okolicznych gór.

Jakież więc było zaskoczenie, gdy dostrzeżono ich w oddali na drodze gdzieś około drugiej godziny po południu! Z jaką skwapliwością Miriota, natychmiast zawiadomiona, wybiegła im na spotkanie.

Było ich czterech, a nie trzech, i czwarty przypominał kształtem doktora.

— Nik... Mój biedny Nik! — krzyczała dziewczyna. — Czy nie ma z wami Nika?

Tak... Nik Deck był z nimi, rozciągnięty na noszach uplecionych z gałęzi, które z trudem dźwigali Jonasz i pasterz.

Miriota podbiegła do narzeczonego, pochyliła się nad nim i wzięła go w ramiona.

— Nie żyje! — krzyknęła. — On jest martwy.

— Nie... nie jest martwy — odrzekł doktor Patak. — Lecz powinien nim być... tak samo jak i ja!

Prawda była taka, że młody leśniczy stracił przytomność. Członki zeszywniały, twarz bezkrwista, oddech ledwo unosił pierś. Jeśli twarz doktora nie była tak martwa jak współtowarzysza, to tylko dzięki marszowi, który przywrócił jej normalny kolor różowej cegły.

Głos Mirioty, tak czuły, tak rozdzierający, nie mógł jednak wyrwać Nika Decka z letargu, w którym był pogrążony. Gdy przyniesiono go do wsi i położono w pokoju sędziego Koltza, nie wyrzekł w dalszym ciągu ani słowa. Jednakże w jakiś czas potem otworzył oczy, a gdy zobaczył dziewczynę pochyloną nad wezgiem, nikły uśmiech ukazał się na jego ustach: lecz próba powstania nie powiodła się. Jedna połowa jego ciała była sparaliżowana, jakby porażona. Chcąc za wszelką cenę pocieszyć Miriotę, powiedział doń, co prawda słabym głosem:

— Wszystko będzie dobrze... Wszystko będzie dobrze!

— Nik... mój biedny Nik! — powtarzała dziewczyna.

— To tylko trochę zmęczenia, droga Mirioto, i trochę emocji. To przejdzie szybko... z twoją pomocą.

Choremu potrzebny był spokój i odpoczynek, więc sędzia Koltz opuścił pokój, zostawiając Miriotę z młodym leśniczym, który nie mógłby sobie życzyć bardziej troskliwej pielęgniarki. Wkrótce usnął.

W tym czasie oberżysta Jonasz opowiadał licznie zgromadzonym słuchaczom i na tyle głośno, by być słyszany przez wszystkich, co się było zdarzyło po ich wyjściu.

Sędzia Koltz, pasterz i on po odnalezieniu pod lasem ścieżki, którą przetarli Nik Deck i doktor, obrali kierunek na zamek Karpaty. Od dwóch godzin wdrapywali się po zboczach Plesy i skraj lasu był już nie dalej niż pół mili przed nimi, gdy dostrzegli dwóch ludzi. Był to doktor z leśniczym: pierwszemu nogi odmówiły posłuszeństwa, drugi, u krańca sił, upadł u stóp drzewa.

Dobiec do doktora, zapytać go, lecz bez powodzenia, gdyż był zbyt oglupiały, by móc odpowiedzieć choć słowo, sporządzić nosze z gałęzi i położyć tam Nika, postawić Pataka na nogi — oto co przyszło wykonać w okamgnieniu. Następnie sędzia Koltz i pasterz, którego zmieniał czasami Jonasz, zawrócili z noszami na drogę do Werstu.

Jednakże ani oberżysta, ani sędzia Koltz, ani pasterz Frik nie umiał powiedzieć, dlaczego Nik Deck znalazł się w podobnym stanie oraz czy zbadał ruiny fortecy. Doktor, — jeszcze nie w pełni władz nad umysłem, nie mógł zaspokoić ich ciekawości.

Lecz jeśli Patak milczał do tej pory, teraz powinien już zacząć mówić. Do diabła! Był przecież bezpieczny w swej wiosce, otoczony przyjaciółmi, wśród swoich pacjentów!... Mógł się już nie obawiać tamtych istot!... Nawet jeśli wymusiły na nim przysięgę milczenia, żeby nikomu nie opowiadał co widział w zamku Karpaty! Dobro publiczne nakazywało mu złamać tę przysięgę.

— Weź się w garść, doktorze — nakazał mu sędzia Koltz — i przypomnij sobie wasze przygody!

— Chcecie... żebym opowiedział?

— W imieniu mieszkańców Werstu i dla zapewnienia bezpieczeństwa wiosce, nakazuję ci to!

Solidny kieliszek rakii przyniesionej przez Jońasza miał przywrócić doktorowi mowę, co też się stało, gdyż zaczął opowiadanie, co” prawda urywanymi zdaniami:

— Wyruszyliśmy obaj... Nik i ja... Szaleńcy... szaleńcy!... Trzeba było prawie całego dnia, by przejść te przekłete lasy... Dopiero wieczorem znaleźliśmy się przed fortecą... Dotąd jeszcze się trzęsę... Co ja mówię, będę się trząsał przez całe życie!... Nik chciał tam wejść... Tak! Chciał spędzić noc w baszcie... inaczej mówiąc, w sypialni Belzebuba!...

Doktor Patak mówił to takim grobowym głosem, że słuchacze bardziej drżeli — ze strachu, niż go słuchali.

— Nie zgodziłem się na to... — podjął. — Tak... nie zgodziłem się na to!... A co by się stało... gdybym ustąpił żądaniom Nika Decka?... Włosy mi stają dęba, gdy o tym pomyślę!

Włosy na czaszce doktora jeżyły się rzeczywiście, ale raczej dlatego, że wicherzył je odruchowo ręką.

— Nik zgodził się więc obozować na płaskowyżu Orgall... Co za noc... przyjaciele, co za noc!... Spróbujcie odpocząć, gdy duchy nie pozwalają zasnąć ani na godzinę... gdzie tam na godzinę!... Bo oto nagle ogniste monstra pokazały się między chmurami, prawdziwe chimery!... Rzuciły się na płaskowyż, aby nas pożreć...

Wszystkie spojrzenia podniosły się ku niebu, żeby sprawdzić, czy nie zasnęło się galopującymi widmami.

— A w kilka chwil potem — podjął doktor — rozkołysał się dzwon w kaplicy!

Wszystkie uszy nadstawiły się ku horyzontowi i usłyszano kilka oddalonych uderzeń — takie wrażenie wywarło na słuchaczach opowiadanie doktora.

— Wkrótce — krzyczał zduszonym głosem — straszliwe ryki wypełniły przestrzeń... lub raczej wycie dzikiego zwierza... Następnie, jakieś światło wytrysnęło z okien baszty... Piękny płomień oświetlił cały płaskowyż aż do świerkowego boru... Spojrzeliśmy na siebie... Ach! Co za przerażający obraz!... Byliśmy podobni do dwóch trupów... dwóch trupów, zdających się stroić do siebie miny w błędnych smugach światła!...

Patrząc na doktora Pataka z wykrzywioną twarzą i oczyma szaleńca, można było naprawdę zastanawiać się, czy rzeczywiście nie wraca on z tamtego świata, gdzie wysłał był niemałą liczbę swych bliźnich!

Trzeba mu było pozwolić nabrać tchu, gdyż był niezdolny do dalszego opowiadania. Kosztowało to Jonasza następny kieliszek rakii, który zdawał się przywracać doktorowi część rozumu straconego za sprawą duchów.

— Lecz w końcu co zdarzyło się biednemu Nikowi? — zapytał sędzia Koltz.

Nie bez racji sędzia przywiązywał nadzwyczajną uwagę do odpowiedzi doktora, gdyż to młody leśniczy osobiście był przestrzegany głosem duchów w oberży pod „Królem Maciejem”.

— Oto co pozostało w mej pamięci — odrzekł doktor. — Uczynił się dzień... Błagałem Nika, aby poniechał swych zamiarów... lecz znacie go... nic nie można zrobić z podobnym uparciuchem... Zszedł do fosy... byłem zmuszony podążyć za nim, gdyż mnie ciągnął, nie byłem już świadomy tego, co robię... Nik zbliżył się aż pod bramę... Schwycił łańcuch od zwodzonego mostu i z jego pomocą wspinał się wydłuż muru... Wraca mi teraz pamięć tego zdarzenia... Był jeszcze czas zatrzymać tego ryzykanta... powiem więcej, tego świętokradcę!... Po raz ostatni rozkazałem mu, zejść, cofnąć się z powrotem i zawrócić wraz ze mną na drogę do Werstu... — Nie! — odkrzyknął mi... Chciałem uciekać... tak... moi przyjaciele... przyznaję to, chciałem uciec i każdy z was miałby taki sam zamiar na moim miejscu!... Lecz nadaremnie próbowałem oderwać się od ziemi... moje stopy zostały przykute... przyśrubowane... wrosły w ziemię... Próbowałem je stamtąd wyrwać... było to niemożliwe... Próbowałem się szarpać... bezskutecznie.

I doktor Patak naśladował rozpaczliwe ruchy człowieka przytrzymywanego za nogi, podobnego do lisa złapanego w potrzask.

Następnie wrócił do swego opowiadania:

— W tym momencie dał się słyszeć krzyk... ale co za krzyk!... Wydał go Nik Deck... Jego ręce zaczezione o łańcuch zwolniły uchwyt i spadł na dno fosi, jakby otrzymał cios jakiejś niewidzialnej pięści!

Niewątpliwie doktor przedstawił wypadki zgodnie z prawdą, a jego żona wyobraźnia nic nie dodała. Tak je opisał, jak się kolejno rozgrywały te nadzwyczajne zjawiska w teatrze na płaskowyżu Orgall podczas ostatniej nocy.

A oto co działo się po upadku Nika Decka.

Leśniczy stracił przytomność, lecz doktor Patak nie mógł mu przyjść z pomocą, gdyż jego buty były przytwierdzone do ziemi, a spuchniętych stóp nie dało się z nich wyjąć... Wkrótce niewidzialna siła, przytrzymująca go, nagle ustąpiła... Nogi zostały uwolnione... Zbliżył się do swego towarzysza i co z jego strony było znakiem niesłychanej odwagi — zwilżył twarz Nika swą chusteczką umoczoną w wodzie na dnie fosi... Leśniczy odzyskał przytomność, lecz jego lewe ramię i cała lewa połowa ciała były bezwładne od strasznego uderzenia, jakiego doznał... Jednakże z pomocą doktora udało mu się podnieść, wdrapać na kontrskarpe, osiągnąć płaskowyż... Następnie udali się w drogę do wioski... Po godzinie marszu ból ramienia i boku był tak silny, że zmusił Nika do zatrzymania się... Wreszcie, w chwili gdy doktor sposobił się do wyruszenia na poszukiwanie pomocy w Werscie, sędzia Koltz, Jonasz i Frik zjawili się w samą porę.

Doktor Patak unikał stawiania diagnozy, czy młody leśniczy był ciężko ranny — wykazywał zresztą zwykle ogromną ostrożność, jeśli coś tyczyło się przypadków medycznych.

— Jeśli jego choroba jest chorobą naturalną — odpowiedział jedynie tonem nie dopuszczającym wątpliwości — to jest już groźna! Lecz jeśli mamy do czynienia z chorobą nadprzyrodzoną, jaką Czort nasyla ciało, tylko Czort może ją wyleczyć!

Mimo braku jednoznacznej diagnozy prognoza dla Nika Decka nie była pocieszająca. Szczyście słowa te nie pochodziły z ewangelii; zresztą ilu już lekarzy, począwszy od Hipokratesa i Galena, pomyliło się, a ilu myli się codziennie i to lepszych od doktora Pataka. i Młody leśniczy był chłopakiem mocnym; przy jego sile witalnej można było mieć nadzieję — nawet bez żadnej diabelskiej pomocy — jedynie pod warunkiem, że nie będzie się stosował zbyt dokładnie i zaleceń i recept byłego sanitariusza kwarantanny. ...

VIII

Tego rodzaju wydarzenia nie mogły pozostać bez wpływu na przerażoną ludność Werstu. Nikt już teraz nie wątpił w prawdziwość przestrogi, którą „usta cienia”, jak powiedziałyby poeta, wygłosiły do gości „Króla Macieja”. Nik Deck, ugodzony w sposób niewytłumaczalny, został ukarany za swe nieposłuszeństwo i zuchwałość. Czyż nie było to ostrzeżenie pod adresem tych wszystkich, którzy usiłowaliby pójść za jego przykładem? Kategoryczny zakaz próby dostania się do zamku Karpaty — oto jaki wniosek należało wyciągnąć z tej żalostnej przygody. Ktokolwiek by ją ponowił, zaryzykuje tym swe życie. Jest pewne, że gdyby leśniczemu udało się przekroczyć mury, nigdy nie wróciłby do wioski.

W czasie pierwszego tygodnia czerwca nikt nie odważył się wychylić nosa poza wieś, nawet żeby zająć się pracą na roli. Bo czyż najsłabsze uderzenie motyki nie mogłoby spowodować pojawienia się ducha ukrytego we wnętrzu ziemi?... A nuż ostrze pługa krojącego skibę spłoszyłoby wzlatujące upiory lub strzygi?... Czy tam, gdzie posiane zostanie ziarno zboża, nie wszędzie przypadkiem plon w postaci demonów?

— Mogłoby się tak stać, bez wątpienia! — potwierdzał pasterza Frik przekonującym tonem.

I we własnym interesie bardzo się odżegnywał od powrotu ze swymi owcami na pastwiska nad Silem.

Takim oto sposobem wioska była zupełnie sterroryzowana. Poniechano całkowicie prac na polach. Nie opuszczano domostw, a drzwi i okna solidnie zamykano. Sędzia Koltz nic wiedział, w jaki sposób mógłby dodać swym podwładnym odrobinę otuchy, gdy sam był jej pozbawiony. Ostatecznie jedynym wyjściem było udać się do Kolosvaru i wezwać na pomoc władze.

Czy dym ukazywał się jeszcze u wierzchołka komina baszty? Owszem, wiele razy udało się go dostrzec za pomocą lunety pośród mgieł opadających na powierzchnię płaskowyżu Orgall.

A czy chmury nadciągające nocą nie barwiły się na czerwono, jakby odbijał się w nich pożar?... Tak, i mówiono, że płonące kłęby wirują ponad zamkiem.

I te ryki, które przerażały doktora Pataka, czyż nie rozlegały się poprzez masywy leśne Plesy, ku trwodze mieszkańców Werstu?... Tak właśnie było i mimo dużej odległości wiatr południowo-zachodni przynosił straszliwe pomruki, zwielokrotnione przez echa na przełęczy.

Powielano krążące wieści, że to ziemia podlega podziemnym „wstrząsom, jakby w łańcuchu Karpat obudził się stary wulkan. Lecz na pewno było dużo przesady w tym, co wydawało się, że widzą, słyszą i czują mieszkańcy Werstu. Jakby tego jednak nie osądzać, pewne rzeczy wydarzyły się niewątpliwie, namacalnie; potwierdzono je i nie dało się już współistnieć z nimi w okolicy tak upośledzonej.

Rozumie się samo przez się, że oberża „Król Maciej” była ciągle pusta. Bardziej omijany nie mógłby być lazaret w czasie epidemii. Nikt nie miał odwagi przekroczyć jej progów, a Jonasz zastanawiał się już, czy nie zamknąć interesu z braku klientów — gdy przybycie dwóch podróżnych nagle odmieniło ten stan rzeczy.

Dziewiątego czerwca wieczorem, gdzieś koło ósmej, ktoś poruszył klamką drzwi od zewnątrz, lecz drzwi, zaryglowane od środka, nie dały się otworzyć.

Jonasz, który znajdował się już na swym poddaszu, pośpiesznie schodził na dół. Nadzieja, że wreszcie znajdzie się naprzeciw oczekiwanego gościa, mieszała się z obawą, że może to być gość zza świątów, któremu niepotrzebny będzie ani posiłek, ani nocleg. Jonasz wdał się więc ostrożnie w rokowania poprzez drzwi, których nie otwierał.

— Kto tam? — zapytał.

— Dwaj podróżni.

— Żywi?...

— Jak najbardziej żywi.

— Jesteście tego pewni?...

— Tak żywi, jak tylko można być, panie oberżysto, lecz nie omieszkamy umrzeć z głodu, jeśli będziecie tak okrutni, żeby nas trzymać pod drzwiami.

Jonasz zdecydował się odsunąć rygle i dwaj mężczyźni przekroczyli próg oberży.

Gdy tylko weszli, ich pierwszą czynnością było zamówienie dla każdego po jednym pokoju, z zamiarem spędzenia w Werscie dwudziestu czterech godzin.

W świetle lampy Jonasz bardzo dokładnie przyjrzał się nowo przybyłym, po czym nabrał pewności, że ma do czynienia niewątpliwie z istotami ludzkimi. Co za szczęście dla „Króla Macieja”!

Młodszy z podróżnych wydawał się mieć około trzydziestu dwóch lat. Wzrostu słusznego, twarz szlachetna i piękna, oczy czarne, włosy ciemnokasztanowe, ciemna broda starannie przycięta, wyraz twarzy nieco smutny, lecz dumny. Wszystko to świadczyło, że był szlachetnie urodzony, a tak dobry obserwator, jak oberżysta Jonasz, nie mógł się mylić.

Co więcej, gdy zapytał, pod jakim nazwiskiem ma zapisać podróżnych, usłyszał:

— Hrabia Franciszek de Telek — przedstawił się młody człowiek — i mój hajduk Rotzko.

— Skąd?

— Z Krajowej.

Krajowa jest jednym z głównych miasteczek Państwa Rumuńskiego, które graniczy z prowincjami transylwańskimi na południe od łańcucha Karpat. Franciszek de Telek był więc Rumunem, co zresztą Jonasz rozpoznał na pierwszy rzut oka.

Tymczasem Rotzko. mężczyzna około czterdziestki, wysoki, mocno zbudowany, z obfitymi, wąsami, gęstymi, twardymi włosami, miał postawę dobrego żołnierza. Na plecach jego zwieszał się żołnierski tornister, a w rękę trzymał niezbyt dużą walizki.

Był to cały bagaż młodego hrabiego, który podróżował jako turysta, najczęściej pieszo. Widać to było po jego ubraniu, po płaszczu zrolowanym przez ramię, wełnianej czapce na głowie, bluzie ściągniętej w tali pasem, u którego zwisała skórzana pochwa wołoskiego noża, po getrach dopasowanych ściśle do szerokich butów o grubych podeszwach.

Musieli to być właśnie ci dwaj podróżni, których dziesięć dni wcześniej spotkał Frik na drodze do przełęczy, gdy podążali ku Retezatowi. Po zwiedzeniu okolicy aż do granic Maros i po sforsowaniu góry przybyli do Werstu trochę odpocząć, aby następnie udać się do doliny dwóch Siłów.

— Czy znajdują się dla nas pokoje? — zapytał Franciszek de Telek.

— Dwa... trzy... cztery... Ile tylko pan hrabia sobie życzy — odrzekł Jonasz.

— Dwa wystarczą — odpowiedział Rotzko. — Tylko żeby były obok siebie.

— Czy te będą panom odpowiadały? — spytał Jonasz otwierając dwoje drzwi na końcu sali.

— Bardzo dobre — zdecydował Franciszek de Telek. Jak widać, Jonasz nie musiał obawiać się swych gości. Nie wyglądali wcale na istoty nadprzyrodzone, na duchy, co przybrały ludzką postać. Nie, ów szlachcic okazał się osobą z wyższych sfer, a przyjmowanie takich gości każdy oberżysta poczytuje sobie za szczególny zaszczyt. Oto szczęśliwe zdarzenie, które przysporzy popularności „Królowi Maciejowi”.

— Jak daleko stąd do Kolosvaru? — zapytał młody hrabia.

— Pięćdziesiąt mil, gdy trzymać się drogi przechodzącej przez Petrosani i Karlsburg — odpowiedział Jonasz.

— Czy to męcząca trasa?

— Dla pieszych bardzo męcząca i jeśli wolno mi zwrócić uwagę panu hrabiemu, radziłbym przed tym kilka dni odpocząć.

— Czy możemy zjeść kolację? — zapytał Franciszek de Telek ucinając krótko zaproszenie oberżysty.

— Pół godziny cierpliwości i będę miał zaszczyt podać panu hrabiemu posiłek godny jego podniebienia...

— Chleb, wino, jajka i zimne mięso wystarczą nam na dzisiejszy wieczór.

— Zaraz panu służę.

— Najszybciej, jak to możliwe.

— Jedną chwilę.

I Jonasz już skierował się do kuchni, gdy zatrzymało go pytanie.

— Nie wydaje mi się, żebyście mieli dużo gości w oberży?... — zauważył Franciszek de Telek.

— Rzeczywiście... obecnie nie ma nikogo, panie hrabio.

— Czyżby to nie była pora, kiedy wieśniacy przychodzą napić się i wypalić fajkę?

— Pora ta już minęła... panie hrabio... w naszej wiosce chodzi się spać z kurami.

Za nic nie chciał się przyznać, dlaczego w „Królu Macieju” nie ma ani jednego klienta.

— Zdaje się, że wasza wioska liczy co najmniej czterystu do pięciuset mieszkańców?

— Coś koło tego, panie hrabio.

— Dziwne... Nie spotkaliśmy żywej duszy, gdy schodziliśmy główną ulicą...

— Bo... dzisiaj... mamy sobotę... i przed niedzielą... Franciszek de Telek nic nalegał dłużej, szczęściem dla Jonasza, który nie wiedziałby, co mu odpowiadać. Za nic na świecie nie zdecydowałby się wyjawić prawdy. Cudzoziemcy poznaliby ją za wcześnie i kto wie, czy nie opuściliby w pośpiechu niewątpliwie podejrzaną wioskę!

— Oby tylko głos nie zaczął paplać, gdy będą jeść kolację! — martwił się Jonasz rozstawiając stół na środku sali.

W chwilę później nader proste posiłki, zamówione przez młodego hrabiego, zostały starannie podane na stół przykryty śnieżnobiałym obrusem. Franciszek de Telek usiadł, a Rotzko zajął miejsce naprzeciw niego, jak to było w zwyczaju wprowadzonym na czas podróży. Obaj jedli z wielkim apetytem, a po skończonym posiłku każdy z nich udał się do swego pokoju.

Ponieważ młody hrabia i Rotzko nie zamienili więcej niż dziesięć słów, Jonasz, ku swemu wyraźnemu niezadowoleniu, pozbawiony był możliwości włączenia się do ich rozmowy. Zresztą Franciszek de Telek wydawał się raczej małomówny. Po obserwacji Rotzki

natomiast oberżysta wywnioskował, że nie będzie mógł z niego nic wyciągnąć, co by się tyczyło rodziny jego pana.

Jonasz musiał się więc zadowolić życzeniem gościom dobrej nocy. Zanim jednak wdrapał się na swą mansardę, przeszukał wzrokiem całą izbę; wsłuchiwał się też z niepokojem w najmniejszy szmer wewnątrz i na zewnątrz, powtarzając sobie:

— Oby tylko ten okropny głos nie obudził ich ze snu!

Noc jednak upłynęła spokojnie.

Nazajutrz już od świtu rozeszła się wieść, że dwaj podróżni przybyli do „Króla Macieja”, i liczni mieszkańcy przybiegli przed oberżę.

Mocno zmęczeni wczorajszą podróżą, Franciszek de Telek i Rotzko jeszcze spali. Prawdopodobnie nie mieli zamiaru wstać wcześniej niż przed godziną siódma, a może ósmą.

Z tego powodu ciekawscy bardzo się niecierpliwiili, a nie mieli na tyle odwagi, aby wejść do karczmy zanim podróżni nie opuszczą swych pokoi.

W końcu obaj ukazali się z wybiciem ósmej.

Nic przykrego im się nie przydarzyło! Widziano ich chodzących po oberży. Potem zasiedli do śniadania. Nie mogło być nic bardziej uspokajającego.

Jonasz, stojąc w progu oberży, uśmiechał się przymilnie na powitanie swych dawnych klientów, którym, jak widać, wracało zaufanie. Przecież podróżny, który zaszczyił swą obecnością „Króla Macieja”, był arystokratą — rumuńskim arystokratą. Co więcej, był członkiem jednej z najstarszych rumuńskich rodzin! Czegóż można się obawiać w tak zaszczytnym towarzystwie?

Tak więc sędzia Koltz, poczytując za swój obowiązek dać innym przykład, odważył się dokonać aktu prezentacji.

Okolo dziewiątej, jeszcze trochę się wahając, sędzia wszedł do gospody. Wkrótce po nim nauczyciel Hermod, trzech lub czterech innych stałych bywalców i pasterz Frik. Tylko doktor Patak za nic nie mógł się zdecydować, aby im towarzyszyć.

— Nie postawię stopy u Jonasza — powiadał. — Nawet gdyby chciał mi zapłacić za wizytę dziesięć florenów!

Tu należy zwrócić uwagę na fakt nie bez znaczenia. Jeśli sędzia Koltz zgodził się wrócić do „Króla Macieja”, to nie tylko po to żeby zaspokoić ciekawość lub z chęci nawiązania kontaktów z hrabią Franciszkiem de Telek. Nie! Głównym powodem jego postanowienia był interes.

Otóż młody hrabia, występujący w charakterze podróżnego, zobowiązany był zapłacić podatek drogowy za siebie i swego hajduka. A nie należy zapominać, że opłaty te szły bezpośrednio do kieszeni pierwszego urzędnika Werstu.

Sędzia zgłosił więc swoje roszczenia w słowach bardzo grzecznych, a Franciszek de Telek, co prawda nieco zdziwiony tą prośbą, pospieszył zadośćuczynić prawu.

Zaprosił również sędziego Koltza i nauczyciela, aby przysiedli się na chwilę do jego stołu. Obaj przyjęli zaproszenie, nie chcąc okazać się nieuprzejmymi czy źle wychowanymi.

Jonasz pospiesznie podał do stołu różne likiery, najlepsze, jakie miał w swej piwnicy. Kilku innych mieszkańców Werstu zamówiło również kolejkę dla siebie. Wydawało się więc, że dawna klientela, przez moment rozproszona, odnajdzie swą drogę do „Króla Macieja”.

Po uiszczeniu opłaty drogowej Franciszek de Telek chciał się dowiedzieć, czy daje ona znaczące dochody.

— Nie na tyle, ile byśmy sobie życzyli, panie hrabio — odpowiedział sędzia Koltz.

— Czyżby cudzoziemcy rzadko odwiedzali tę część Transylwanii?

— Niezbyt często. to prawda — odrzekł sędzia. — A przecież okolice zasługują na zwiedzanie.

— Ja też tak uważam — powiedział młody hrabia. — To, co tu zobaczyłem, wydaje mi się, że powinno przyciągać uwagę podróżnych. Ze szczytu Retezatu podziwiałem wspaniałe doliny Silu, miasteczka ukazujące się na wschodzie i ten amfiteatr gór, zamknięty z tyłu masywem Karpat.

— To wszystko jest bardzo piękne, panie hrabio, bardzo piękne — potwierdził nauczyciel Hcrmod. — A dla uzupełnienia pańskiej wycieczki radzilibyśmy jeszcze wejść na Paring.

— Obawiam się, że nie będę miał wystarczająco dużo czasu — odrzekł Franciszek de Telek.

— Jeden dzień wystarczy.

— Pewnie tak, lecz udaję się do Karlsburga i mam zamiar wyruszyć tam jutro rano.

— Czemuż to pan hrabia zamierza opuścić nas tak szybko? — zapytał Jonasz najuprzejmiejszym tonem.

Nie miałby nic przeciwko temu, aby dwaj jego goście przedłużyli swój postój w „Królu Macieju”.

— Tak trzeba — odparł hrabia de Telek. — Zresztą, co robiłbym w czasie pobytu w waszej wiosce?... Wydaje mi się, że jest rzadko odwiedzana — zauważył — i prawdopodobnie dlatego, że jej okolice nie mają do zaoferowania nic ciekawego...

— Rzeczywiście, nic ciekawego... — powiedział sędzia, myśląc o fortecy.

— Tak... nic ciekawego... — powtórzył nauczyciel.

— Ejże! Ejże! — bezwiednie wyrwał się okrzyk pasterzowi Frikowi.

Co za spojrzenie rzucił mu sędzia Koltz i pozostali, a szczególnie oberżysta! Czyż trzeba tak pilnie uświadamiać cudzoziemca o sekretach tego regionu? Odkryć mu, co wydarzyło się

na płaskowyżu Orgall, zwrócić uwagę na zamek Karpaty? Nic ma potrzeby zachęcać go do opuszczenia wioski! Na przyszłość nie znajdzie się żaden podróżny, który zechciałby wybrać drogę przez przełęcz Vulkan, aby dotrzeć do Transylwanii!

Doprawdy ten pastuch nie okazał więcej rozumu niż ostatni z jego baranów.

— Zamilcz no, durniu, zamilcz! — powiedział półgłosem sędzia Koltz.

Tak czy inaczej ciekawość młodego hrabiego została już rozbudzona. Zwrócił się więc bezpośrednio do Frika z pytaniem, co znaczą te wykrzykniki.

Pasterz Frik nie był wcale człowiekiem, który się łatwo wycofuje; poza tym być może miał istotnie nadzieję, że Franciszek de Telek może dać dobrą radę, z której wioska będzie miała pożytek.

— Powiedziałem: „Ejże! Ejże!”, panie hrabio — odparł — i wcale się z tego nie wycofuję.

— Byłaby w okolicach Werstu jakiś cud do zobaczenia? — podjął młody hrabia.

— Jakis cud... — powtórzył sędzia Koltz.

— Nie!... Nie!... — zakrzyknęli pozostali.

Przestraszyli się na samą myśl, że powtórna próba dostania się do fortecy pociągnie za sobą nowe nieszczęścia.

Franciszek de Telek nie bez odrobiny zdziwienia obserwował tych dzielnych ludzi, których twarze — rozmaicie, lecz w sposób bardzo wyraźny — wyrażały strach.

— Cóż to więc jest?... — zapytał.

— Cóż to jest, mój panie? — odparł Rotzko. — Mam wrażenie... Wydaje mi się, że chodzi tu o zamek Karpaty.

— Zamek Karpaty?

— Tak!... Taką nazwę ten pasterz szepnął mi do ucha.

Mówiąc to Rotzko wskazał na Frika, który kiwnął głową, ale nie ośmielił się spojrzeć na sędziego.

Tak więc w murze chroniącym życie prywatne zabobonnej wioski dokonał się wyłom i przez ten otwór cała historia nie omieszka się wydostać.

Sędzia Koltz czuł się wobec tego zobowiązany przejąć inicjatywę. Chciał osobiście zapoznać hrabiego z sytuacją i opowiedział mu wszystko, co dotyczyło zamku Karpaty.

Nie trzeba dodawać, że, Franciszek de Telek nie krył zdziwienia, jakie wywołało to opowiadanie, oraz uczuć, jakim się poddawał. Mimo że niezbyt zaawansowany w naukach, jak zresztą większość młodych ludzi podobnego stanu żyjących w swych zamkach

w odległych prowincjach wołoskich, był jednak człowiekiem posiadającym zdrowy rozsądek. Niezbyt wierzył w widma i śmiał się chętnie z niesamowitych opowieści. Forteca nawiedzana przez duchy — to wystarczyło, aby wzbudzić jego nieufność. I zdaniem hrabiego, w tym, co opowiedział mu sędzia Koltz, nie było nic cudownego, lecz jedynie kilka lepiej lub gorzej ustalonych faktów, którym ludzie z Werstu przypisywali pochodzenie nadprzyrodzone. Dym z baszty, dzwon bijący z całej siły — można to wytłumaczyć bardzo prosto. Natomiast błyski i ryki pochodzące zza muru, wszystko to było czystym wytworem wyobraźni.

Franciszek de Telek wcale się nie kępował, mówiąc to i żartując sobie, ku wielkiemu zgorszeniu swych słuchaczy.

— Ależ panie hrabio — zwrócił mu uwagę sędzia Koltz — istnieje jeszcze inna sprawa.

— Inna sprawa?

— Tak! Nie ma możliwości wejścia do wnętrza zamku Karpaty.

— Naprawdę?

— Nasz leśniczy i doktor chcieli przed kilkoma dniami przekroczyć mury, poświęcając się dla dobra wioski, lecz drogo zapłacili za tę próbę.

— A cóż takiego im się stało?... — zapytał Franciszek de Telek tonem trochę ironicznym.

Sędzia Koltz opowiedział dokładnie przygody Nika Decka i doktora Pataka.

— Więc — rzekł młody hrabia — gdy doktor chciał wydostać się z fosy, jego stopy były tak mocno przytwierdzone do ziemi, że nie mógł zrobić ani kroku?

— Ani kroku do przodu, ani kroku do tyłu! — dorzucił nauczyciel Hermod.

— On tak pewnie sądził — zaproponował Franciszek de Telek — ale to strach go paraliżował... aż do pięt!

— Być może, panie hrabio — podjął sędzia Koltz. — Lecz jak wytłumaczyć to, że Nik Deck doznał tak strasznego wstrząsu, gdy dotknął ręką okucia zwodzonego mostu...

— Stał się ofiarą jakiegoś złego czynu...

— Tak złego — dodał sędzia — że leży w łóżku do dzisiejszego dnia...

— Mam nadzieję, że jego życie nie jest zagrożone? — pośpieszył zapytać młody hrabia.

— Na szczęście, nie.

Rzeczywiście, to co przytrafiło się leśniczemu, było faktem bezspornym, namacalnym. Sędzia Koltz ciekaw był więc, jak może go wyjaśnić Franciszek de Telek.

Oto co odpowiedział hrabia, a brzmiało to przekonująco:

— We wszystkim, co dotychczas usłyszałem, nie ma niczego. Podkreślam niczego, czego nie dałoby się w prosty sposób wyjaśnić. Nie mam żadnych wątpliwości, że zamek Karpaty jest obecnie zamieszkały. Przez kogo?... Tego nie wiem. W każdym razie nie są to duchy! To ludzie, którzy mają w tym interes, aby się ukrywać, gdyż znaleźli tam schronienie... Bez wątplenia są to złoczyńcy...

— Złoczyńcy! — wykrzyknął sędzia Koltz.

— Prawdopodobnie. A ponieważ nie chcą, by ich tam niepokoić, robią wszystko, aby uwierzono, że forteca została nawiedzona przez istoty nadprzyrodzone.

— Tak pan sądzi, panie hrabio? — zapytał nauczyciel Hermod.

— Myślę, że ten region jest bardzo zabobonny, że goście zamku o tym wiedzą i że w ten sposób chcą zapobiec nieproszonym wizytom..

Było bardzo prawdopodobne, iż rzeczy tak się właśnie miały, lecz także trudno się dziwić, że w Werscie nikt nie chciał przyjąć takiego wyjaśnienia.

Młody hrabia wiedział dobrze, że nie da się przekonać słuchaczy, którzy nie chcą być przekonani. Poprzestał więc na dodaniu:

— Ale ponieważ i tak nie zechcecie przyznać mi racji, myślcie sobie o zamku Karpaty, co tylko wam się podoba.

— My wierzymy w to, co widzieliśmy, panie hrabio — oświadczył sędzia Koltz.

— I w to, co jest taktem — dodał nauczyciel.

— Powiedzmy! Naprawdę żałuję, że nie możemy poświęcić dwudziestu czterech godzin, gdyż razem z Rotzkiem odwiedziłbym waszą sławną fortecę, a zapewniam was, że rychło odkrylibyśmy, co to wszystko znaczy...

— Odwiedzić fortecę! — krzyknął wystraszony sędzia Koltz.

— Bez wahania! I sam diabeł nie przeszkodziłby nam w przekroczeniu jej muru.

Wszystkich obecnych, słuchających Franciszka de Telek, który wyrażał się tak pewnie i kpiąco, zaczęło ogarniać przerażenie. Czy takie bezceremonialne traktowanie duchów z zamku nie ściągnie przypadkiem jakiejś katastrofy na wioskę?... czy owe istoty czasem nie słyszą teraz wszystkiego, co się mówi w oberży „Król Maciej”? Czy ich głos nie odezwie się ponownie?

A propos głosu, sędzia Koltz uświadomił młodego hrabiego, w jakich warunkach leśniczemu imiennie zagrożono straszną karą, gdyby chciał odkryć tajemnicę fortecy.

Franciszek de Telek wzruszył jedynie ramionami i podniósł się mówiąc, że żaden głos nie mógł być słyszany w tej izbie, tak jak im się wydaje. Wszystko to, dodał, istnieje tylko

w wyobraźni klientów nader naiwnych i trochę widać zbyt skłonnych do sznapsów w „Królu Macieju”.

Kilku z nich właśnie skierowało się do drzwi w obawie przed pobytem przez dłuższy czas w gospodzie. Ten młody sceptyk ośmielał się wypowiadać podobne rzeczy!

Franciszek de Telek zatrzymał ich jednym gestem.

— Widzę wyraźnie, moi panowie, że wioska Werst jest owładnięta strachem.

— I nie bez powodu, panie hrabio — odpowiedział sędzia Koltz.

— No więc jedynym sposobem skończenia z tym jest wyjaśnienie wszystkich tych zagadkowych zdarzeń, które według was zachodzą w zamku Karpaty. Pojutrze będę w Karlsburgu i jeśli chcecie, powiadomię władze miasta. Wyślą do was oddział żandarmerii lub policjantów i zapewniam was, że ci odważni ludzie wnet zdobędą fortecę, żeby wypędzić żartownisiów wykorzystujących waszą naiwność lub aresztować złoczyńców, którzy być może przygotowują jakieś łotrstwo.

Nic nie mogło być przyjęte z większą aprobatą niż ta propozycja, choć nie była wcale w guście notabli Werstu. Gdyby im wierzyć ani żandarmeria, ani policja, ani cała armia nie miałyby czego szukać w starciu z tymi istotami, które w swej obronie stosują metody nadprzyrodzone.

— Lecz sądę, panowie — podjął młody hrabia — że byłoby dobrze, gdybyście mi powiedzieli, do kogo należy lub należał zamek Karpaty?

— Do pewnego starego miejscowego rodu, rodu baronów de Gortz — odrzekł sędzia Koltz.

— Do rodu de Gortz?... — wykrzyknął Franciszek de Telek.

— Do nich właśnie.

— Czy z tej rodziny pochodził baron Rudolf?

— Tak, panie hrabio.

— A czy wiecie, co się z nim stało?

— Nie. Od wielu lat barona de Gortz nie widziano w zamku. Franciszek de Telek zbłądł i machinalnie powtarzał zmienionym głosem:

— Rudolf de Gortz! Rudolf de Gortz!

IX

Hrabiowski ród de Telek, jeden z najstarszych i najświetniejszych w Rumunii, zajmował już znaczącą pozycję, zanim kraj uzyskał niepodległość w początkach XVI wieku. Związane z wszystkimi wydarzeniami politycznymi, które zachodziły w historii tych ziem, nazwisko tej rodziny zapisało się chwalebnie.

Obecnie, mniej faworyzowany niż sławny buk na zamku Karpaty, któremu pozostały jeszcze trzy gałęzie, ród de Telek został ograniczony do jedynej gałęzi de Telek z Krajowej. Ostatnią latoroślą rodu był młody arystokrata, który właśnie przybył do wsi Werst.

W dzieciństwie Franciszek nigdy nie opuszczał rodzinnego zamku, który zamieszkiwali hrabia i hrabina de Telek. Potomkowie starej rodziny cieszyli się wielkim poważaniem i używali swej fortuny na szlachetne cele. Prowadząc na szerokiej stopie wygodne życie wiejskiej szlachty, najwyżej raz w roku opuszczali dobra Krajowa — gdy interesy wzywały ich do miasteczka o tej samej nazwie, odległego jedynie o kilka mil.

Ich tryb życia wpływał bez wątpienia na wychowanie jedynego syna. Franciszek za nauczyciela miał starego włoskiego księdza, który nie mógł go więcej nauczyć, niż sam umiał, a umiał niezbyt wiele. Z dziecka stawszy się młodzieńcem, posiadał więc młody hrabia zupełnie niewystarczającą znajomość nauk, sztuki i literatury współczesnej. Był za to namiętnym myśliwym: w dzień i w nocy przebiegał lasy i knieje, tropił jelenie lub dziki, atakował z nożem w ręku górską zwierzynę. Oto w jaki sposób zwykle spędzał czas młody hrabia, który będąc bardzo dzielnym i śmiałym, dokonywał prawdziwie bohaterskich czynów w trakcie tych prymitywnych zabaw.

Hrabina de Telek zmarła, gdy syn jej miał zaledwie piętnaście lat, a sięgał dwudziestu, gdy w wypadku na polowaniu zginął hrabia.

Ból młodego Franciszka był straszliwy. Ledwie opłakał swą matkę, już przyszło opłakiwać ojca. Obojga został pozbawiony zbyt wcześnie. Cała jego czułość, wszystkie tkliwe porwy, którymi wypełnione było serce, do tej pory skupiały się w miłości synowskiej. Lecz gdy zabrakło obiektu tej miłości, bez przyjaciół i kiedy w dodatku zmarł jego nauczyciel, znalazł się sam na świecie.

Młody hrabia jeszcze trzy lata pozostał w zamku Krajowa, którego w ogóle nie myślał opuszczać. Żył, nie próbując nawiązać jakichkolwiek stosunków z otaczającym go światem. Zaledwie raz lub dwa wyjeżdżał do Bukaresztu, do czego zmusiły go pewne interesy. Były to jedynie krótkie pobyty, gdyż spieszył się z powrotem do swych włości.

Jednakże taki sposób życia nie mógł trwać wiecznie i Franciszek zaczął odczuwać potrzebę poszerzenia ciasnych dotąd horyzontów, ograniczonych rumuńskimi górami, i wzniesienia się ponad nie.

Młody hrabia miał około dwudziestu trzech lat, gdy postanowił udać się w podróż. Majątek, jaki posiadał, mógł zabezpieczyć w pełni jego nowe upodobania. Pewnego dnia

pozostawił więc zamek w Krajowej pod opieką starych sług i opuścił Wołoszczyznę. Zabrał ze sobą dawnego żołnierza rumuńskiego Rotzkę, towarzysza wszystkich wypraw łowieckich, już od dziesięciu lat na służbie rodu de Telek. Był to człowiek odważny i śmiały, i całkowicie oddany swemu panu.

Zamiarem młodego hrabiego było zwiedzić Europę, spędzając po kilka miesięcy w stolicach i ważniejszych miastach kontynentu. Przypuszczał nie bez racji, że swe wykształcenie, którego zaledwie początki otrzymał w rodzinnym zamku, będzie mógł uzupełnić w czasie podróży, której plan starannie przygotował.

Na początek Franciszek de Telek chciał zwiedzić Italię, a mówił dość biegle po włosku, gdyż tego języka nauczył go stary ksiądz. Uroki tej ziemi, tak bogatej w zabytki, do której poza tym czuł się nadzwyczaj przywiązany, sprawiły, że przebywał tu już od czterech lat. Jeśli opuszczał Wenecję, to tylko po to, by udać się do Florencji lub Neapolu. Wracał nieustannie do tych ośrodków artystycznego życia, z których trudno było mu się wyrwać. Francja, Niemcy, Hiszpania, Rosja, Anglia — cóż, zobaczy je później. Będzie poznawał je z większą korzyścią, tak mu się wydawało, gdy z wiekiem dojrzeje jego umysł. Natomiast wszelkie uniesienia młodości należy wykorzystać dla smakowania uroków wielkich miast włoskich.

Franciszek de Telek liczył więc lat dwadzieścia siedem, gdy ponownie przybył do Neapolu. Zamierzał spędzić tu jedynie kilka dni przed udaniem się na Sycylię. Bo właśnie poznaniem dawnej Trinacrii* chciał zakończyć swą podróż. Potem miał wrócić do zamku Krajowa, by przez rok odpocząć.

Nieoczekiwane wydarzenie zmieniło nie tylko jego plany, lecz zdecydowało o dalszym życiu, przekształcając jego bieg.

Podczas tych kilku lat spędzonych we Włoszech młody hrabia przejawiał bardzo skromne zainteresowania i uzdolnienia do nauk ścisłych. Natomiast objawiła się u niego szczególna wrażliwość na piękno; stało się to tak, jakby niewidomy nagle ujrzał światło. Mając umysł szeroko otwarty na wspaniałości sztuki, zachwycał się arcydziełami malarstwa: zwiedzał muzea Neapolu, Wenecji, Rzymu i Florencji. Równocześnie dzięki teatrom poznał dzieła muzyczne tej epoki i pasjonował się ich wykonaniem przez największych artystów. A podczas ostatniego pobytu w Neapolu, w okolicznościach szczególnych, które za chwilę opiszemy, zdarzyło się tak, że uczucie najgłębsze, przenikające całe jestestwo, zawładnęło jego sercem.

W owym czasie w teatrze San Carlo występowała pewna sławna śpiewaczka, której czysty głos, skończona perfekcja wykonania, umiejętności dramatyczne wprawiały w podziw miłośników muzyki. Do tej pory Stilla nigdy nie szukała sławy i oklasków za granicą i śpiewała jedynie muzykę włoską, która zresztą miała pierwszą pozycję w świecie opery. Teatr de Carignan w Turynie, La Scala w Mediolanie. Le Fenice w Wenecji, teatr Alfieri we Florencji, teatr Apollo w Rzymie, San Carlo w Neapolu — gościły ją kolejno, a święcąc wszędzie triumfy, nie żałowała wcale, że nie znały jej jeszcze pozostałe sceny Europy.

Dwudziestopięcioletnia Stilla była kobietą o niezwyklej urodzie: długie włosy w kolorze złota, oczy czarne i przepastne, w których zapalały się płomyki, nieskazitelność rysów twarzy, ciepła karnacja, kibić taka, że nawet dłuto Praksytelesa* nie byłoby w stanie wyrzeźbić doskonalszej.

I w takiej to kobiecie objawiła się na dodatek artystka czystej wody, druga Malibran, o której Musset mógłby napisać również:

„A twój niebiański śpiew przynosi ból!” Lecz tym razem głos, przedmiot uwielbienia poetów — „...ten serca głos, co wprost do serca trafia”, był głosem Stilli, w całej swej niewysłowionej wspaniałości.

Aliści serce tej wielkiej artystki, oddającej w sposób doskonały ogrom czułości i najszczerze porywy duszy, jak mówiono, nigdy nie zaznało uczuć. Nigdy nie kochała, nigdy jej oczy nie odpowiedziały na tysiące spojrzeń rzucanych na scenę. Wydawało się, że chce żyć jedynie swoją sztuką, i wyłącznie dla sztuki.

Franciszek, gdy tylko ujrzał Stillę, poznał smak uniesień pierwszej miłości. Zrezygnował z zamiaru opuszczenia Italii po wycieczce na Sycylię, postanowił pozostać w Neapolu do końca sezonu. Jakby jakieś niewidzialne więzy łączyły go ze śpiewaczką. Zerwać ich nie chciał, nie miałby siły; bywał na wszystkich przedstawieniach, które entuzjazm publiczności przekształcał w prawdziwy triumf artystki. Wiele razy, nie mogąc poskromić swej namiętności, próbował zbliżyć się do niej, lecz drzwi do Stilli pozostawały dla niego zamknięte, tak jak i dla innych jej fanatycznych wielbicieli.

W następstwie tego młody hrabia stał się wkrótce człowiekiem najbardziej godnym pożałowania. Myślał jedynie o Stilli, żył tylko po to, by ją oglądać i słyszeć, nie próbował nawiązać żadnych stosunków ze światem, dokąd wzywało go nazwisko i pozycja. Od tego napięcia serca i umysłu zdrowie hrabiego zaczęło poważnie szwankować. Można się spodziewać, że o wiele bardziej by cierpiał, gdyby wiedział, że ma rywala. A jednak Franciszek wiedział o nim, lecz nic nie było w stanie wzbudzić w nim uczucia zazdrości — nawet pewna tajemniczość osoby, której udział w tej historii wymaga, abyśmy poznali jej wygląd i charakter.

Był to mężczyzna w wieku pięćdziesięciu lub pięćdziesięciu pięciu lat, na tyle przynajmniej wyglądał w czasie ostatniej podróży Franciszka de Telek do Neapolu. Ten tajemniczy i skryty osobnik sprawiał wrażenie, że stara się trzymać poza konwenansami towarzyskimi przyjętymi przez wyższe sfery. Nic wiedziano nic o jego rodzinie, sytuacji majątkowej, przeszłości. Można go było spotkać dziś w Rzymie, jutro we Florencji, a należy dodać — pod warunkiem, że Stilla przebywała właśnie we Florencji lub Rzymie. Doprawdy, znano tylko jedną jego namiętność: słuchanie primadonny o wielkiej sławie, która zajmowała obecnie czołowe miejsce na scenach operowych Italii.

Jeśli Franciszek de Telek żył jedynie dla Stilli, odkąd zobaczył ją w teatrze neapolitańskim, to minęło już sześć lat, odkąd tamten przedziwny miłośnik muzyki żył tylko po to, aby słuchać jej głosu. Wydawało się, że jej śpiew był mu niezbędny do życia, jak

powietrze, którym oddychał. Nigdy nie próbował spotkać się z nią poza sceną, nigdy nie przedstawił się jej ani do niej nie napisał. Lecz za każdym razem, gdy Stilla miała występować, obojętnie w jakim teatrze włoskim, widziano wysokiego mężczyznę, odzianego w długi, ciemny płaszcz, w szerokim kapeluszu zakrywającym twarz, wchodzącego do opery. Człowiek ten pospiesznie zajmował miejsce w głębi zasłoniętej łoży, prawdopodobnie specjalnie dla niego wynajętej. Pozostawał tam w zamknięciu, nieruchomy i milczący, podczas całego występu. Gdy tylko Stilla kończyła swą ostatnią arię, opuszczał niepostrzeżenie łożę i żaden inny śpiewak, żadna inna śpiewaczka nie byli w stanie go zatrzymać; po prostu nie słuchał nikogo innego.

Kim był ten widz tak wytrwały? Stilla nadaremnie próbowała się tego dowiedzieć. Ponieważ miała naturę bardzo wrażliwą, obecność owego dziwnego człowieka zaczęła ją w końcu przerażać — trwoga irracjonalna, lecz w istocie bardzo dotkliwa. Mimo że nie mogła go dostrzec w głębi łoży, której kraty nigdy nie opuszczał, wiedziała, że tam jest, czuła utkwione w niej jego władcze spojrzenie. Tak to ją wytręcało z równowagi, że nie słyszała nawet braw, jakimi witała ją publiczność, gdy wchodziła na scenę.

Powiedzieliśmy wcześniej, że osobnik ten nigdy nie przedstawił się Stilli. Lecz mimo iż nie próbował poznać tej kobiety — zwracamy szczególną uwagę na ten punkt — wszystko, co mogło mu ją przypominać, było przedmiotem jego ciągłego zainteresowania. Między innymi posiadał najpiękniejszy z jej portretów, który namalował sławny malarz Michel Gregorio. Była na nim żarliwa, wzniosła, namiętna, w jednej ze swych najpiękniejszych ról. Portret ten, nabyty na wagę złota, wart był ceny, którą zapłacił jej wielbiciel.

Z tego, że ten oryginał zawsze samotnie zajmował łożę w czasie występów Stilli, że opuszczał dom tylko po to, by się udać do teatru, nie należy wyciągać wniosku, że żył w całkowitej izolacji. Pewien współtowarzysz, nie mniej dziwny niż on, dzielił z nim egzystencję.

Osobnik ten nazywał się Orfanik. W jakim był wieku, skąd przybył, gdzie się urodził? — nikt nie potrafiłby odpowiedzieć na te pytania. Według tego, co mówił — a rozmawiał chętnie — był jednym z tych zapoznanych uczonych, których genialne wynalazki nie mogły ujrzeć światła dziennego, wobec czego obraził się na cały świat. Przypuszczano nie bez racji, że ów nieszczęśnik żył dzięki wsparciu bogatego melomana.

Orfanik był średniego wzrostu, szczupły, wątły, mizerny, o wyblakłym obliczu, które dawniej określano „ściągnięta twarz”. Miał znak szczególny — nosił czarną opaskę na prawym oku, które stracił w przy jakimś doświadczeniu fizycznym lub chemicznym, a na nosie grube okulary, których jedyne szkło krótkowidza pobłyskiwało zielonym spojrzeniem. W czasie swych samotnych spacerów gestykulował, jakby prowadził dialog z jakąś niewidzialną istotą, która go słuchała, nigdy nie dając odpowiedzi.

Te dwie postacie — dziwny miłośnik muzyki i nie mniej dziwny Orfanik — były powszechnie znane (na tyle, na ile mogły nimi być w tych miastach włoskich, do których wzywał sezon teatralny). Obaj posiadali jak gdyby przywilej budzenia publicznej ciekawości, więc mimo że admirator Stilli nie zgadzał się nigdy na żaden wywiad niedyskretnych

reporterów, w końcu dowiedziano się, kim jest. Ów wielbiciel śpiewaczki z pochodzenia był Rumunem i gdy Franciszek de Telek zapytał o to, jak się nazywa, odpowiedziano mu:

— Baron Rudolf de Gortz.

Tak przedstawiały się sprawy, w czasie gdy młody hrabia przybył właśnie do Neapolu. Od dwóch miesięcy teatr San Carlo był ciągle pełny, a sukces Stilli rósł z każdym wieczorem. Nigdy dotąd w żadnej z ról swego repertuaru nie była tak wspaniała, nigdy nie wzbudziła bardziej entuzjastycznych owacji.

Na każdym z tych przedstawień, podczas gdy Franciszek zajmował fotel na parterze, baron de Gortz, ukryty w głębi swej łoży, pogrążał się w tym czarownym śpiewie, napawał się przejmującym do głębi głosem, bez którego, wydawało się, nie mógłby żyć.

Niespodziewanie pewna pogłoska zaczęła krążyć po Neapolu — wieść, w którą publiczność Stilli nie chciała uwierzyć, a która zaalarmowała cały świat melomanów.

Mówiono, że po skończonym sezonie Stilla zamierza porzucić teatr. Coś podobnego! W pełnym rozkwicie swego talentu, w pełni urody, u szczytu artystycznej kariery, byłoby to możliwe, że myślała o odejściu ze sceny?

To, co wydawało się tak nieprawdopodobne, było jednak prawdą. W dodatku bez wątpienia miał swój udział w tym postanowieniu baron de Gortz.

Ten widz o tajemniczym wyglądzie, ciągle obecny, aczkolwiek niewidoczny za kratą swej łoży, spowodował w końcu u Stilli uporczywy rozstrój nerwowy, przed którym nie mogła się dłużej bronić. Przy każdym swym wejściu na scenę czuła na sobie spojrzenie barona i była tym wzburzona do tego stopnia — co nie uszło uwadze publiczności — że stopniowo zaczęła zapadać na zdrowiu. Wiedziała, że nie wystarczy opuścić Neapol, zagubić się w Rzymie czy Wenecji, lub w jakimkolwiek innym mieście półwyspu, aby uwolnić się od obecności barona de Gortz. Nie pozbyłaby się go również, opuszczając Włochy i udając się do Niemiec, Rosji lub Francji. Podążyłby za nią wszędzie. Był więc tylko jeden sposób na uwolnienie się od tego obsesyjnego natręctwa — porzucić scenę.

Dwa miesiące wcześniej, nim rozeszły się pogłoski o jej odejściu, Franciszek de Telek postanowił poczynić kroki, których następstwa miały doprowadzić, na nieszczęście, do najbardziej nieprzewidzianej z katastrof. Stanu wolnego, dziedzic wielkiej fortuny, mógł się oświadczyć Stilli i zaoferować jej tytuł hrabiny de Telek.

Stilla wiedziała od dawna, jakie uczucia wzbudza w młodym hrabi. Zdawała sobie sprawę, że był arystokratą i każda kobieta, nawet z najwyższych sfer, byłaby szczęśliwa zawierając mu swój los. Ze względu również i na stan ducha, w jakim się znalazła, gdy Franciszek de Telek zaoferował jej swe nazwisko, przyjęła to życzliwie i bez obłudy. Uczyniła to z pełną wiarą w swe uczucie, a zgadzając się zostać żoną hrabiego de Telek, bez żalu zdecydowała się porzucić karierę dramatyczną.

Wiadomość była, więc prawdziwa. Gdy skończy się sezon w San Carlo, Stilla nie pokaże się już w żadnym teatrze. Jej zamążpójście, w które początkowo nie bardzo wierzono, zostało potwierdzone.

Nietrudno sobie wyobrazić, jaki straszna efekt wywołało to nie tylko w świecie artystycznym, lecz także wśród wyższych sfer Italii. Po początkowym niedowierzaniu teraz trzeba było się z tym faktem pogodzić. Nic dziwnego, że zazdrość i nienawiść otoczyły młodego hrabiego, który porywał melomanom ubóstwianą przez nich, największą śpiewaczkę epoki, z jej kunsztem i sukcesami. Zrodziły się z tego również groźby, skierowane bezpośrednio do Franciszka de Telek — groźby, którymi młody człowiek ani przez chwilę się nie przejmował.

Jeśli tak to przyjmowała publiczność, można sobie wyobrazić, co musiał czuć baron Rudolf de Gortz na myśl, że Stilla będzie mu zabrana, że wraz z nią straci wszystko, co trzymało go przy życiu. Rozeszły się pogłoski, iż ma zamiar popełnić samobójstwo. Jedno nie ulega wątpliwości — od tego dnia przestano widywać Orfanika spacerującego po ulicach Neapolu. Lecz nie opuścił on barona Rudolfa; widywano go wielokroć, jak zamykał się z nim w jego łoży teatru San Carlo. Było to zdarzenie zaskakujące, gdyż dotychczas Orfanik nigdy nie bywał na operze, ponieważ, podobnie jak wielu uczonych, był całkiem niewrażliwy na uroki muzyki.

Tymczasem dni upływały, wzburzenie rosło, a osiągnęło szczyt tego wieczoru, gdy Stilla dawała swój ostatni występ w teatrze. A występowała we wspaniałej roli Angeliki w „Orlandzie”, arcydziele mistrza Arconatego, w której chciała przekazać publiczności swoje pożegnanie.

Tego wieczoru San Carlo był dziesięć razy za mały, aby pomieścić widzów cisnących się do jego drzwi, od których zresztą większość odeszła z kwitkiem. Obawiano się wystąpień przeciwko hrabiemu de Telek, zarówno wtedy gdy Stilla będzie na scenie, jak również gdy kurtyna opadnie po piątym akcie opery.

Baron de Gortz zajął miejsce w swej łoży. I tym razem Orfanik, również znajdował się u jego boku.

Ukazała się Stilla, tak wzruszona, jaką nigdy jeszcze nie była. Starła się szczególnie, cała poddała się natchnieniu, nie da się wyrazić, z jaką śpiewała perfekcją, z jakim niezrównanym talentem. Nieopisany entuzjizm widzów przechodził w istne szaleństwo.

Młody hrabia w czasie występu znajdował się za kulisami. Był niespokojny, zdenerwowany, rozgorączkowany; w zniecierpliwieniu przeklinał przedłużające się sceny. Irytowało go opóźnienie spowodowane owacjami i wymuszonymi bisami. Ach, jakże mu było pilno porwać z teatru tę, która miała zostać hrabiną de Telek, i zabrać ją daleko, bardzo daleko; tak daleko, aby była tylko jego niczyja więcej!

Nadeszła wreszcie ta dramatyczna scena, kiedy umiera bohaterka „Orlanda”. Nigdy cudowna muzyka Arconatego nie wydawała się bardziej przejmująca, nigdy Stilla nie

oddawała jej bardziej namiętnie. Wydawało się, że cała jej dusza wypływa wraz z głosem. I tego głosu, tego porywającego głosu nie będzie można już więcej usłyszeć!

W tym momencie krata łoży barona de Gortz opadła. Ukazała się dziwaczna głowa o długich siwiejących włosach, płonących oczach, ekstatycznej, przeraźliwie bladej twarzy i z głębi kulis Franciszek dostrzegł w pełnym świetle coś, czego dotąd nie zdarzyło mu się jeszcze zobaczyć.

Stilla wzięła właśnie w pełnym uniesieniu podniosła frazę końcowej pieśni... Powtórzyła tę frazę z niezwykłym uczuciem:

Innamorata, mio cuore tremante,

Voglio morire...*

Nagle umilkła...

Przeraziło ją oblicze barona de Gortz... Sparaliżowało ją niepojęte przerażenie... Podniosła gwałtownie rękę do ust, które zaczerwieniły się od krwi... Zachwiała się i upadła...

Publiczność zerwała się z miejsc drżąc, wstrząśnięta, u szczytu trwogi...

Przeraźliwy krzyk rozległ się z łoży barona.

Franciszek wybiegł na scenę, pochwycił Stillę w ramiona, podniósł ją, przyjrzał się jej, przywoływał jej imię...

— Nie żyje!... nie żyje!... — krzyczał — nie żyje!...

Stilla była martwa... Serce nieszczęsnej nie wytrzymało przerażenia... Jej śpiew ucichł z ostatnim tchnieniem!

Młodego hrabiego zaniesiono do hotelu, a był w takim stanie, iż obawiano się o jego zmysły. Nie mógł nawet wziąć udziału w pogrzebie Stilli, w którym uczestniczyły nieprzebrane tłumy neapolitańczyków.

Na cmentarzu Campo Santo Nuovo, gdzie śpiewaczka została pochowana, na białym marmurze widnieje jedynie napis: STILLA.

Wieczorem po pogrzebie jakiś człowiek pojawił się na Campo Santo Nuovo. Z nieprzytomnym wzrokiem, z pochyloną głową, wargami zaciśniętymi, jakby były już opieczęto wane przez śmierć, długo oglądał miejsce, gdzie została pogrzebana Stilla. Wydawał się nadśluchiwać, jak gdyby głos wielkiej artystki miał się wydobyć po raz ostatni z tego grobu...

Był to Rudolf de Gortz.

Tej samej nocy baron de Gortz w towarzystwie Orfanika opuścił Neapol i odtąd nikt nie wiedział, co się z nim stało. A nazajutrz na adres młodego hrabiego nadszedł list. List ten zawierał jedynie następujące słowa, groźne w swym lakonizmie:

„To pan ją zabił!... Bądź przeklęty, hrabio de Telek.

Rudolf de Gortz.”

X

Tak oto przedstawiała się ta smutna historia.

Przez cały miesiąc życie Franciszka de Telek wisiało na włosku. Nie rozpoznawał nikogo, nawet swojego hajduka Rotzki. W czasie największej gorączki jego usta, zdające się wydawać ostatnie tchnienie, wymawiały jedyne słowo: było to imię Stilla.

Młody hrabia uniknął śmierci. Umiejętności lekarzy, nieustanna opieka Rotzki, a także młodość i sama natura zrobiły swoje — Franciszek de Telek został uratowany. Jego umysł wyszedł na szczęście bez szwanku z tego strasznego wstrząsu. Lecz gdy tylko wracała mu pamięć, gdy przypominał sobie tragiczną scenę końcową z „Orlanda”, w czasie której pękło serce artystki, krzyczał: — Stilla!... Moja Stilla! — I wyciągał ręce, jakby chciał ją jeszcze okłaskiwać.

Odkąd jego pan mógł już opuszczać łóżko. Rotzko nalegał nań, by porzucili to przeklęte miasto, by wrócili do zamku w Krajowej. Jednakże przed opuszczeniem Neapolu młody hrabia chciał pomodlić się na grobie zmarłej i pożegnać ją po raz ostatni i na zawsze.

Rotzko towarzyszył mu na Campo Santo Nuovo. Franciszek rzucił się na okrutną ziemię, zaczął ją drapać rękoma, by samemu się w niej zagrzebać. Rotzkowi z trudem udało się odciągnąć go od grobu, w którym spoczywało całe jego szczęście.

Kilka dni później Franciszek de Telek wrócił do Krajowej, w głąb kraju włoskiego, do starej posiadłości swej rodziny. W zamku tym przeżył pięć długich lat w całkowitym odosobnieniu, odrzucając jakąkolwiek propozycję wyjazdu. Ani czas, ani odległość nie mogły przynieść ukojenia jego bólowi. Nie ulegało wątpliwości, że potrzeba mu było zapomnienia. Pamięć o Stilli, żywa jak pierwszego dnia, decydowała o całym jego życiu. Była jedną z tych ran, które nie zablźniają się aż do śmierci.

Jednakże w czasie gdy zaczyna się ta historia, młody hrabia opuścił był zamek przed kilkoma tygodniami. Jakże długo i usilnie musiał nalegać Rotzko, aby nakłonić swego pana do zerwania z samotnością, w której stopniowo zamierał. Franciszek wiedział, że nie znajdzie w tym pocieszenia, niemniej trzeba było spróbować odwrócić uwagę od swego bólu.

Został więc ustalony plan podróży; na początek postanowili zwiedzić prowincje transylwańskie. Potem — Rotzko miał taką nadzieję — młody hrabia być może zgodzi się podjąć podróż po Europie, którą przerwały smutne wydarzenia w Neapolu.

Franciszek de Telek wyruszył więc tym razem jako wędrowiec i jedynie na wyprawę krótkotrwałą. Rotzko i hrabia przebyli równiny wołoskie aż po majestatyczny masyw Karpat, następnie zagłębili się między przełomy przełęczy Vulkan, potem — po zdobyciu Retezatu i wyprawie poprzez dolinę Maros — przybyli odpocząć do wioski Werst, do oberży pod „Królem Maciejem”.

Wiemy już, jaki był stan umysłów w momencie przybycia Franciszka de Telek i w jaki sposób uświadomiono go o niepojętych wydarzeniach, których sceną była forteca. Wiemy także, w jaki sposób przed chwilą dowiedział się, że zamek należał do Rudolfa de Gortz.

Wrażenie, jakie wywarło to nazwisko na młodym hrabi, było zbyt wielkie, aby nie dostrzegł tego sędzia Koltz i pozostali notable. Natomiast Rotzko najchętniej wysłałby do diabła sędziego Koltza, który tak nie w porę opowiedział te nedorzeczne historie. Że też miał ten nieszczęśliwy pomysł, żeby przyprowadzić Franciszka właśnie do wioski Werst, w pobliże zamku Karpaty!

Młody hrabia zachowywał milczenie. Jego spojrzenie, błądzące po obecnych, wskazywało na dołębne wzburzenie duszy, które nadaremnie próbował opanować.

Sędzia Koltz i jego przyjaciele zrozumieli, że jakieś tajemnicze związki musiały łączyć hrabiego de Telek z baronem de Gortz, lecz mimo że byli z natury ciekawi, zachowali należytą powściągliwość i nie nalegali, aby dowiedzieć się czegoś więcej. Później zobaczy się, co z tym fantem zrobić.

W kilka chwil potem wszyscy opuścili „Króla Macieja”, zaintrygowani bardzo tym przedziwnym łańcuchem tajemniczych zdarzeń, które nie wróżyły nic dobrego dla wioski.

Czy teraz, gdy młody hrabia wie, do kogo należał zamek Karpaty, dotrzyma swej obietnicy? Czy gdy przybędzie do Karlsburga, zawiadomi władze i wezwie je do interwencji? Oto nad czym zastanawiał się sędzia, nauczyciel, doktor Patak i inni. W przypadku gdyby hrabia tego nie uczynił, sędzia Koltz był zdecydowany sam podjąć właściwe kroki. Policja zostanie powiadomiona, przybędzie, aby przeszukać zamek, sprawdzi, czy był nawiedzony przez duchy, czy zamieszkały przez złoczyńców. Wioska nie może dłużej pozostawać pod tego rodzaju obsesją.

Co prawda, zdaniem większości mieszkańców, byłby to wysiłek daremny, a sposób nieskuteczny, Wystąpić przeciwko duchom! Przecież szable żandarmów pokruszą się jak szkło, a ich karabiny spudłują za każdym razem!

Tymczasem Franciszek de Telek, pozostawiony sam w głównej sali „Króla Macieja”, pogrążył się we wspomnieniach, które tak boleśnie przywołało nazwisko barona de Gortz.

Po jakiejś godzinie, w czasie której pozostawał w fotelu jakby nieobecny, podniósł się, wyszedł z oberży i skierował się na skraj terasy, spoglądając w dal.

Na grzbiecie Plesy, pośrodku płaskowyżu Orgall, panował zamek Karpaty. Tam zatem żył ten dziwny osobnik, uczestnik spektaklu w San Carlo, człowiek, który wywołał ten nie do przecięcia przestrach u nieszczęsnej Stilli. Lecz obecnie forteca była opuszczona, a baron nie pokazał się tu, odkąd opuścił Neapol. Nie wiadomo również, co się z nim stało; nie można wykluczyć, że po śmierci wielkiej artystki położył kres swemu istnieniu.

Franciszek błędził więc pośród rozmaitych domysłów, nie wiedząc, przy którym się zatrzymać.

Z drugiej strony — przygoda leśniczego Nika Decka skłaniała go, aby zająć się tym w jakiś sposób, i byłoby dobrze, gdyby wyjaśnił tajemnicę; szczególnie dla uspokojenia ludności Werstu.

Młody hrabia nie wątpił, że to złoczyńcy obrali sobie zamek na schronisko. Postanowił więc dotrzymać obietnicy, jaką poczynił, i udaremnić machinacje tych fałszywych upiórów, zawiadamiając policję w Karlsburgu.

W każdym razie, aby móc działać Franciszek chciał poznać więcej szczegółów dotyczących tej sprawy. Lepiej będzie udać się osobiście do leśniczego. Dlatego więc około trzeciej po południu, przed powrotem do „Króla Macieja”, zjawił się w domu sędziego.

Sędzia Koltz poczuł się bardzo zaszczycony tą wizytą. Takiego arystokraty jak pan. hrabia de Telek... potomka tak sławnej rodziny rumuńskiej... któremu wioska Werst będzie zawdzięczać odzyskanie spokoju... a także pomyślności... ponieważ turyści znowu będą odwiedzać ten rejon... i opłacać myto, nie obawiając się już złośliwych duchów z zamku Karpaty... et cetera.

Franciszek de Telek podziękował sędziemu Koltzowi za jego uprzejmość i zapytał, czy nie będzie w tym nic niewłaściwego, jeśli sędzia zaprowadzi go do Nika Decka.

— Nie ma żadnej przeszkody, panie hrabio — odpowiedział sędzia. — Ten dzielny chłopak czuje się tak dobrze, jak tylko to jest możliwe, i wkrótce podejmie swą służbę.

— Czyż nie jest tak, Miriota? — dorzucił zwracając się do swej córki, która właśnie weszła do izby.

— Dziękowałabym Bogu, gdyby tak było, mój ojczu! — odrzekła Miriota wzruszonym głosem.

Franciszkowi spodobał się wdzięczny ukłon, jaki skierowała w jego stronę dziewczyna. Widząc ją jeszcze zaniepokojoną stanem swego narzeczonego, poprosił o kilka wyjaśnień w tym względzie.

— Według tego, co słyszałem — powiedział — Nik Deck nie był ciężko ranny...

— Nie, panie hrabio — odpowiedziała Miriota — i Niebu niech będą dzięki!

— Czy macie dobrego lekarza we wsi?

— Hm! — była to cała odpowiedź sędziego Koltza, a ton jej raczej mało korzystny dla dawnego sanitariusza kwarantanny.

— Mamy doktora Pataka — odrzekła Miriota.

— Tego, który towarzyszył Nikowi Deckowi do zamku Karpaty?

— Tak, panie hrabio.

— Panno Mirioto — rzekł następnie Franciszek — chciałbym zobaczyć pani narzeczonego i otrzymać bardziej dokładne informacje o tej przygodzie.

— Będzie wzruszony, mogąc panu je dostarczyć; nawet jeśli go to trochę zmęczy...

— Och! Nie potrwa to zbyt długo, panno Mirioto, i nie zrobię nic, co mogłoby zaszkodzić Nikowi Deckowi.

— Wiem o tym, panie hrabio.

— Kiedy odbędzie się wasz ślub?...

— Za dwa tygodnie — odpowiedział sędzia.

— A więc będę miał przyjemność wziąć w nim udział, jeśli oczywiście sędzia Koltz zechce mnie zaprosić...

— Panie hrabio, taki zaszczyt...

— Za dwa tygodnie, to już postanowione. Jestem pewien, że Nik Deck wyzdrowieje od razu, gdy będzie mógł przespacerować się ze swą piękną narzeczoną.

— Niech go Bóg ma w swej opiece, panie hrabio! — dodała dziewczyna rumieniąc się przy tym.

A twarz jej wyrażała w tym momencie tak widoczny niepokój, że Franciszek zapytał o przyczynę.

— Tak, niech Bóg ma go w opiece — odrzekła Miriota. — Gdyż próbując dostać się do zamku mimo ich ostrzeżeń, Nik obraził złośliwe duchy!... I kto wie, czy nie uwezmą się one, by dręczyć go przez całe życie...

— Och! Jeśli o to chodzi, panno Mirioto — odpowiedział Franciszek — zrobimy z tym porządek, obiecuję to pani.

— I nic nie przydarzy się mojemu biednemu Nikowi?...

— Nic, a to dzięki policjantom; za kilka dni będzie można przekraczać mury fortecy tak samo bezpiecznie, jak ulicę w Werscie! Młody hrabia czując, że dyskutować o tych

nadprzyrodzonych wydarzeniach z ludźmi tak uprzedzonymi byłby to daremny trud poprosił Miriotę, by zaprowadziła go do pokoju leśniczego.

Dziewczyna uczyniła to bezzwłocznie i zostawiła Franciszka ze swym narzeczoną.

Nik Deck wiedział już o przybyciu dwóch podróżnych do oberży „Król Maciej”. Siedział teraz w głębi szerokiego jak budka wartownicza, starego fotela; podniósł się na powitanie gościa. Już prawie nie odczuwał paraliżu, który tylko chwilowo brał go jeszcze we władanie, i był w stanie odpowiadać na pytania hrabiego.

— Panie Deck — rozpoczął Franciszek po przyjacielskim uściśnięciu ręki młodego leśniczego. — Chciałbym najpierw zapytać, czy wierzy pan w istnienie istot nadprzyrodzonych w zamku Karpaty?

— Zostałem zmuszony w to uwierzyć, panie hrabio — odpowiedział Nik Deck.

— I to one przeszkodziły, panu przekroczyć mury fortecy?

— Jestem tego pewien.

— A dlaczego, jeśli łaska?...

— Jakże inaczej wytłumaczyć to, co mi się przydarzyło?

— Czy byłby pan tak uprzejmy i opowiedział mi o tej sprawie wszystko ze szczegółami?

— Chętnie, panie hrabio.

Nik Deck opowiedział dokładnie — szczegół po szczególe. Było to tylko potwierdzenie faktów, które dotarły już do świadomości Franciszka podczas rozmowy z gośćmi „Króla Macieja” — faktów, które młody hrabia, o czym już wiemy, wyjaśnił jako zupełnie naturalne.

W sumie wydarzenia tej nocy pełnej przygód dałoby się wyjaśnić dosyć łatwo, gdyby istoty ludzkie, złoczyńcy lub inni, którzy zajmowali fortecę, posiadały odpowiednią maszynę zdolną produkować te fantasmagoryczne efekty. Jeśli chodzi o niebывały przypadek doktora Pataka, czyli to, że czuł się przytwierdzony do ziemi przez jakąś niewidzialną siłę, można przypuszczać, że wspomniany doktor padł ofiarą wyobraźni. Całkiem prawdopodobne, że nogi odmówiły mu posłuszeństwa — po prostu był obłąkany z przerażenia. Tak właśnie tłumaczył Franciszek młodemu leśniczemu.

— Dlaczego, panie hrabio, właśnie w chwili, gdy ten tchórz chciał uciekać, nogi odmówiły mu posłuszeństwa? — zapytał Nik Deck. — To przecież niemożliwe, przyzna pan...

— No, dobrze — podjął Franciszek. — Przypuśćmy, że jego nogi utkwiły w jakiejś pułapce ukrytej w krzakach na dnie fosy...

— W takim przypadku — odrzekł leśniczy — gdy pułapka się zatrzaśnie, powoduje bolesne zranienie, kaleczy ciało, a na nogach doktora Pataka nie ma nawet śladu rany.

— Pana uwaga, Niku, jest słuszna, jeśli to prawda, że doktor nie mógł się uwolnić, że jego nogi były uwięzione w taki właśnie sposób...

— Pytam więc pana, panie hrabio, jak mogłaby się otworzyć sama pułapka i uwolnić doktora?

Franciszek nie bardzo umiał odpowiedzieć na to pytanie.

— Jednakże, panie hrabio — podjął leśniczy — pomińmy to, co dotyczy doktora Pataka. Lecz ja sam nie mogę wytłumaczyć sobie mej przygody.

— Dobrze... zostawmy naszego dzielnego doktora i pomówmy o tym, co się przydarzyło panu.

— To, co mnie się zdarzyło, jest bardzo proste. Nie ma wątpliwości, że otrzymałem straszliwe uderzenie i to w sposób, który wcale nie jest naturalny.

— A czy nie ma żadnego śladu zranienia na pańskim ciele? — zapytał Franciszek.

— Żadnego, panie hrabio, a przecież zostałem uderzony tak gwałtownie...

— Czy było to w chwili, gdy pańska ręka spoczęła na żelaznym okuciu zwodzonego mostu?...

— Tak, panie hrabio, i zaledwie go dotknąłem, zostałem natychmiast jakby sparaliżowany. Na szczęście moja druga ręka, którą trzymałem się łańcucha, nie zwolniła: uchwytu i ześlizgnąłem się aż na dno fosy, gdzie doktor znalazł mnie bez przytomności.

Franciszek pokiwał głową, jak człowiek, któremu wyjaśnienia te wydają się niewiarygodne.

— Proszę zwrócić uwagę, panie hrabio — podjął Nik Deck. — Wszystko, co panu opowiedziałem, to nie był sen i jeżeli od ośmiu dni leżę rozciągnięty jak długi na łóżku, bez władzy w ręce i nodze, to nie można powiedzieć, że wszystko to sobie wyobraziłem!

— Ja tak tego nie przyjmuję i na pewno ulegliście okrutnemu wstrząsowi...

— Okrutnemu i szatańskiemu!

— Nie, tu się właśnie różnimy, drogi Niku — odrzekł młody hrabia. — Pan sądzi, że został uderzony przez istotę nadprzyrodzoną, a ja w to nie wierzę po prostu dlatego, że nie ma istot nadprzyrodzonych — ani złośliwych, ani dobroczynnych.

— Czy może więc pan, panie hrabio, uwierzyć w to, co mi się „przydarzyło”?

— Jeszcze nie mogę, lecz proszę być pewnym, że wszystko wyjaśni się i to w sposób zupełnie prosty.

— Dałby Bóg! — odpowiedział leśniczy.

— Niech mi pan powie... — podjął Franciszek — czy ten zamek należał zawsze do rodziny de Gortz?

— Tak, panie hrabio, i dalej należy, mimo że ostatni potomek z rodziny, baron Rudolf, zniknął bez wieści.

— A kiedy nastąpiło to zniknięcie?

— Około dwudziestu lat temu.

— Dwadzieścia lat?

— Tak, panie hrabio. Pewnego dnia baron Rudolf opuścił zamek, a ostatni służący zmarł kilka miesięcy po jego wyjeździe. Od tego czasu nie widziano go więcej.

— I odtąd nikt nie postawił stopy w fortecy?

— Nikt.

— A co sądzi się o tym w okolicy?...

— Mówią, że baron Rudolf musiał umrzeć za granicą i że ta śmierć nastąpiła niedługo po jego zniknięciu.

— To się myłono, Niku Deck. Baron żył jeszcze przed pięciu laty.

— Naprawdę żył, panie hrabio?...

— Tak... We Włoszech, w Neapolu.

— Czy widział go pan?...

— Widziałem go.

— A od pięciu lat?...

— Więcej o nim nie słyszałem.

Leśniczy zamyślił się. Przyszła mu do głowy pewna myśl — myśl, którą wahał się określić. W końcu zdecydował się i podnosząc głowę, marszcząc brwi, rzekł:

— A przypuścmy, panie hrabio, że baron Rudolf de Gortz wrócił do swego kraju z zamiarem zamknięcia się w fortecy?...

— Nie, to nieprawdopodobne. Niku.

— Rzeczywiście, cóż za interes miałby, żeby tam się skryć... i nie pozwalać, aby ktokolwiek zbliżył się do zamku?

— Nie widzę w tym żadnego sensu — odrzekł Franciszek de Telek.

Jednakże myśl ta zaczęła drążyć umysł młodego hrabiego. Czyż nie było możliwe, że ten osobnik, którego egzystencja była zawsze tak zagadkowa, przybył tu, by schronić się w swym zamku po wyjeździe z Neapolu? I tutaj dzięki zabobonnym wierzeniom zręcznie podtrzymywanym — co nie było zbyt trudne, gdy znało się stan umysłów w okolicy — chciał żyć w całkowitym odosobnieniu i bronić się przeciwko nieproszonym gościom?

W każdym razie Franciszek uznał, że bezużyteczne byłoby przekazanie tej hipotezy mieszkańcom wsi.

Opuścił więc Nika Decka, życząc mu, by wyzdrowiał jak najszybciej i aby nie odwlekał ślubu z piękną Miriotą, w której to uroczystości obiecał wziąć udział.

Zaabsorbowany swymi rozmyślaniami Franciszek wrócił do „Króla Macieja”, skąd nie wyszedł już do końca dnia.

O szóstej godzinie Jonasz podał kolację w głównej sali, gdzie z godną pochwałą powściągliwością ani sędziego Koltz, ani nikt z wioski nie zakłócał spokoju Franciszka.

Koło ósmej Rotzko zapytał hrabiego:

— Czy potrzebuje mnie pan jeszcze, panie hrabio?

— Nie. Rotzko.

— W takim razie wypalę sobie fajkę na tarasie.

— Wypal, Rotzko, wypal.

Póллеżąc w fotelu, Franciszek zagłębił się w rozpamiętywaniu niezapomnianych zdarzeń z przeszłości. Był znowu w Neapolu. podczas ostatniego występu w teatrze San Carlo... Widział ponownie barona de Gortz w momencie, gdy ten człowiek wychylił głowę ze swej łoży, ze spojrzeniem żarliwie utkwionym w artystce, jakby chciał ją zahipnotyzować... Potem myśli hrabiego zatrzymały się na liście podpisanym przez tego dziwnego osobnika, który oskarżał jego, Franciszka de Telek, że zabił Stillę...

Gubiąc się cały we wspomnieniach, Franciszek czuł, że ogarnia go stopniowo sen. Lecz był jeszcze, w tym pośrednim stanie, w którym można odbierać najcichsze odgłosy, gdy wydarzył się przedziwny fenomen.

Wydało mu się, że jakiś głos, łagodny i modulowany, przedostał się do sali oberży, gdzie Franciszek był sam, zupełnie sam.

Nie zastanawiając się, czy śni, czy nie, Franciszek podniósł się i słuchał.

Taks! Można by rzec, że jakieś usta zbliżyły się do jego uszu, że jakieś wargi pozwoliły wymknąć się pełnej wyrazu melodii de Stefano, natchnionej słowami:

Nel giardino de mille fiori,

Andiamo, mio cuore...*

Franciszek znał tę romancę... Tę romancę z niewysłowioną słodyczą śpiewała Stitla na koncercie w teatrze San Carlo w dzień przed swym pożegnalnym występem... .

Jakby ukołysany melodią, Franciszek bezwolnie poddał się urokowi słuchając jej raz jeszcze...

Następnie fraza skończyła się, a głos, cichnąc stopniowo, zgasł wraz z łagodnym drżeniem powietrza.

Franciszek otrząsnął się z odrętwienia... Podniósł się gwałtownie... Zaczerpnął tchu, próbował schwytać choć jakieś odległe echo głosu, który zapadł mu w serce...

Wewnątrz i na zewnątrz panowała zupełna cisza.

— To jej głos!... — wyszeptał. — Tak! To był na pewno jej głos, głos który tak bardzo kochałem!

Później, wracając od sentymentów do rzeczywistości, stwierdził:

— Widocznie spałem... i śniłem!

XI

Nazajutrz hrabia obudził się o świcie, z umysłem jeszcze wzburzonym wizjami ostatniej nocy.

Tego ranka powinien opuścić wioskę Werst i udać się w drogę do Kolosvaru.

Po zwiedzeniu przemysłowych miasteczek Petrosani i Livadzeli Franciszek zamierzał zatrzymać się jeden dzień w Karlsburgu, przed udaniem się na kilkudniowy pobyt w stolicy Transylwanii. Stąd już miał go powieźć pociąg przez prowincje Węgier centralnych, ostatni etap podróży.

Franciszek wyszedł z oberży i spacerując po tarasie z lornetką przy oczach, oglądał z głębokim wzruszeniem kontury fortecy, które wschodzące słońce rysowało dość wyraźnie na płaskowyżu Orgall.

Rozmyślania jego skupiały się na problemie; Czy po przybyciu do Karlsburga winien dotrzymać obietnicy danej mieszkańcom Werstu? Czy powiadomić policję o tym, co się wydarzyło w zamku Karpaty?

Gdy młody hrabia podejmował zamiar przywrócenia spokoju we wsi, czynił to z najgłębszym przekonaniem, że forteca służy za schronienie bandzie złoczyńców lub co najmniej ludziom podejrzanym, zainteresowanym w tym, aby nie zostali odkryci, i czyniącym wszystko, by uniemożliwić dostęp do fortecy.

Lecz tej nocy Franciszek dużo o tym rozmyślał i nastąpił zwrot w jego przypuszczeniach. Teraz wahał się, co zrobić.

To prawda, że przed pięciu laty ostatni potomek rodziny de Gortz zniknął i nikt nie wiedział, co mu się przydarzyło. Prawdą jest też, że rozeszła się pogłoska o jego śmierci w jakiś czas po wyjeździe z Neapolu. Ale czy tak było rzeczywiście? Czy istniał jakikolwiek dowód jego śmierci? Być może baron de Gortz żył, a jeśli żył, dlaczegoż by nie miał wrócić do zamku swych przodków? Dlaczego Orfanik, jedyna bliska mu osoba, jaką znano, nie miałby mu towarzyszyć i czy dziwaczny fizyk nie mógł być autorem i reżyserem zjawisk, które wprawiały w przerażenie okoliczną ludność? To właśnie było przedmiotem rozmyślań Franciszka.

Nie da się zaprzeczyć, hipoteza ta wydaje się dość prawdopodobna i jeśli to baron Rudolf de Gortz i Orfanik szukali schronienia w fortecy, staje się jasnym, że chcieli ją uczynić niedostępną, aby tam wieść życie samotne, odpowiadające ich zwyczajom i charakterom.

A jeśli tak było, jaką linię postępowania powinien przyjąć młody hrabia? Oby go nie posądzano, że chce mieszać się w prywatne sprawy barona de Gortz! Nad tym właśnie się zastanawiał, wążąc za i przeciw, gdy przybył doń na taras Rotzko.

Hrabia ocenił, że winien go zapoznać ze swymi przypuszczeniami w tej materii.

— Mój panie — odrzekł Rotzko — jest bardzo prawdopodobne, że to baron de Gortz poświęcił się wszystkim tym diabolicznym fantazjom. W takim razie, jeśli tak jest, uważam, że nie powinniśmy wcale się w to mieszać. Zabobonni tchórze z Werstu wybrną z tego, jak potrafią, to ich sprawa. Nie mamy przecież obowiązku przywracania spokoju tej wiosce.

— Niech tak będzie — zdecydował Franciszek — i przyznaję, że masz zupełną rację, mój dzielny Rotzko.

— Też tak myślę — krótko odpowiedział hajduk.

— Jeśli chodzi o sędziego Koltza i pozostałych, widzę już teraz, co powinni robić, aby skończyć z rzekomymi duchami z fortecy.

— Rzeczywiście, proszę pana, pozostało im tylko zawiadomić policję w Karlsburgu.

— A więc udamy się w drogę zaraz po obiedzie, Rotzko.

— Wszystko będzie gotowe na czas.

— Lecz zanim zejdziemy do doliny nad Silem, zboczymy w kierunku Plesy.

— A to dlaczego, proszę pana?

— Chciałbym zobaczyć z bliska ten osobliwy zamek Karpaty.

— A po co?

— Ot, kaprys, Rotzko, kaprys, który nie zabierze nam nawet pół dnia.

Rotzko był bardzo przeciwny temu postanowieniu, które wydawało mu się co najmniej bezsensowne. Chciał uniknąć wszystkiego, co mogłoby przypomnieć zbyt żywo młodemu hrabiemu wydarzenia z przeszłości. Tym razem było to daremne, gdyż napotkał niezłomne postanowienie swego pana.

Okolo południa, po uregulowaniu bez uwag nieco rozdętego rachunku, jaki przedstawił Jonasz ze swym najmilszym uśmiechem, Franciszek był gotów do wymarszu.

Sędzia Koltz, piękna Miriota, nauczyciel Hermod, doktor Patak, pasterz Frik i liczni pozostali mieszkańcy przybyli ich pożegnać.

Nawet leśniczy był w stanie opuścić swój pokój; widać było jasno, że wkrótce stanie całkowicie na nogach — z czego cały zaszczyt przypisywał sobie eks-pielęgniarsz.

— Cieszę się z pańskiego powrotu do zdrowia, Niku, i życzę panu i jego narzeczonej dużo szczęścia.

— Przyjmujemy te życzenia z wdzięcznością — odpowiedziała dziewczyna, promieniejąc szczęściem.

— Życzymy szczęśliwej podróży, panie hrabio — dodał leśniczy.

— Tak... oby taką była! — odrzekł Franciszek, którego twarz zasepiła się.

— Panie hrabio — wtrącił teraz sędzia Koltz — prosimy nie zapomnieć o obiecanej interwencji w Karlsburgu.

— Nie zapomnę o tym, sędzio Koltz — odpowiedział Franciszek. — Lecz w przypadku gdyby nastąpiło w mej podróży pewne opóźnienie, znacie już bardzo prosty sposób, aby uwolnić się od tego kłopotliwego sąsiedztwa i zamek wkrótce nie będzie stanowił żadnego niebezpieczeństwa dla dzielnej ludności Werstu.

— Łatwo to mówić... — wyszeptał nauczyciel.

— I uczynić — odrzekł Franciszek. — Nie minie nawet czterdzieści osiem godzin, jeśli zechcecie, i żandarmi będą wiedzieli, co za istoty ukrywają się w fortecy...

— Z wyjątkiem przypadku, bardzo prawdopodobnego zresztą, że będą to duchy — zauważył pasterz Frik.

— Nawet w tym przypadku — odpowiedział Franciszek z nieznacznym wzruszeniem ramion.

— Panie hrabio — odezwał się doktor Patak — gdyby pan towarzyszył nam. Nikowi Deckowi i mnie, być może nie mówiłby pan w ten sposób!

— Na pewno by mnie to zdziwiło, doktorze — odrzekł Franciszek — gdybym, podobnie jak pan, został przytrzymywany tak dziwnie za nogi w fosie fortecy...

— Tak, panie hrabio, za nogi... lub raczej za buty! I mimo że pan sądzi, że... w etanie umysłu... w jakim się znalazłem... że ja... śniłem...

— Ja nic nie sądzę, mój drogi — odrzekł Franciszek. — I nie próbuję wcale wytłumaczyć tego, co wydaje się wam niewytłumaczalnym. Lecz na pewno, jeśli żandarmi złożą wizytę w zamku Karpaty, ich buty, przyzwyczajone do posłuszeństwa, nie zapuszczą korzeni tak jak wasze.

Było to powiedziane pod adresem doktora; a tymczasem hrabia odbierał ostatnie hołdy od oberżysty „Króla Macieja”, „tak uhonorowanego, mającego taki zaszczyt, że czcigodny Franciszek de Telek”... etc. Pożegnawszy sędziego Koltza, Nika Decka, jego narzeczoną i mieszkańców zebranych na placu, hrabia dał znak Rotzkowi, następnie obaj poczęli schodzić różnym krokiem drogą ku przełęczy.

Nie minęła godzina, gdy Franciszek ze swym hajdukiem osiągnął prawy brzeg rzeki, którym obaj zaczęli się wspinać wzdłuż, południowej strony podnóża Retezatu

Rotzko zrezygnował z robienia jakichkolwiek uwag pod adresem swego pana: byłoby to zupełnie bezcelowe. Był przyzwyczajony słuchać jego poleceń niczym rozkazów wojskowych; jeśli młody hrabia rzuca się w jakąś niebezpieczną awanturę, jego zadaniem będzie go z niej wyciągać.

Po dwóch godzinach marszu Franciszek i Rotzko zatrzymali się, aby chwilę odpocząć.

Sil wołoski, który odchyłał się lekko w prawo, w tej okolicy zbliżał się do drogi widocznym kolaniem. Po drugiej stronie, na wyniesieniu Plesy, wypukła się płaskowyz Orgall, w odległości jakiejś pół mili angielskiej lub prawie mili francuskiej. Należało więc porzucić Sil, gdyż Franciszek chciał przebyć przełęcz, aby skierować się ku zamkowi.

Oczywiście to obejście podwajało odległość dzielącą zamek i wioskę. Niemniej powinien być jeszcze pełny dzień, gdy Franciszek i Rotzko przybędą na wierzchołek płaskowyzu Orgall. Hrabia będzie więc miał czas obejrzeć z zewnątrz zamek. Jeśli zaś poczeka aż do wieczora z zejściem na drogę do Werstu, z pewnością będzie mu łatwo przebyć ją niepostrzeżenie. Zamiarem Franciszka było spędzić noc w Livadzelu, małym miasteczku położonym u spływu dwóch Silów, i nazajutrz udać się w drogę do Karlsburga.

Postój trwał pół godziny. Franciszek, pogrążony we wspomnieniach, bardzo poruszony także myślą, że baron de Gortz być może ukrywa swe istnienie w głębi tego zamku, nie odzywał się ani słowem...

Rotzko musiał nakazać sobie wielką powściągliwość, aby nie rzec mu:

— Nie ma sensu iść dalej, mój panie!... Pokażmy plecy przekłętemu zamkowi i wracajmy!

Obaj puścili się dnem doliny. Najprzód musieli przebyć gmatwaninę drzew, przez którą nie biegła żadna ścieżka. Ziemia była tu dość głęboko wydrążona, gdyż w okresie deszczów Sil wylewał kilkakrotnie, a nadmiar wód płynął rwącymi strumieniami i tereny te zmieniał w trzęsawiska. Stwarzało to trudności w marszu i trochę go opóźniło. Całej godziny potrzebowali, by osiągnąć drogę do przełęczy Vulkan, którą pokonali około godziny piątej.

Prawe zbocze Plesy nie było wcale najeżone lasami podobnymi do tych, które Nik Deck mógł przebyć jedynie torując sobie drogę siekierą; ale tutaj należało się liczyć z trudnościami innego rodzaju. Były to rumowiska moren, wśród których można się poruszać tylko z największą ostrożnością: gwałtowne uskoki, głębokie wyrwy, bloki skalne trzymające się niezbyt pewnie na swych podstawach i wznoszące się jak seraki w okolicach alpejskich, całe stosy bezładnie nagromadzonych ogromnych kamieni, strąconych ze szczytu góry przez lawiny — prawdziwy chaos w całej swej grozie.

Pokonanie zbocza w takich warunkach wymagało jeszcze dobrej godziny bardzo męczącego wysiłku. Naprawdę wydawało się, że zamek Karpaty byłby w stanie się obronić wyłącznie wskutek swej niedostępności, a Rotzko niewątpliwie miał nadzieję, że takie przeszkody okażą się nie do pokonania. Wszystko na próżno.

Po minięciu strefy skał i rozpadlin przedni grzbiet płaskowyżu Orgall został w końcu osiągnięty. Z tego miejsca profil zamku rysował się wyraźnie pośród posepnego pustkowiecia, do którego od tyłu już lat strach nie pozwalał zbliżyć się okolicznym mieszkańcom.

Należy zauważyć, że Franciszek i Rotzko podeszli do fortecy z północnej strony wałów obronnych. Nik Deck i doktor Patak przybyli pod mury od wschodu, gdyż okrążali Plese z lewej strony i pozostawili na prawo strumień Nyad i drogę na przełęcz. Oba kierunki wykreślały kąt rozwarty, którego wierzchołek tworzyła środkowa baszta. Jednakże od północy przekroczenie wałów było niemożliwe, nie tylko ze względu na brak bramy i zwodzonego mostu, lecz dlatego, że mury obronne, dostosowane do nierówności płaskowyżu, wznosiły się na znaczną wysokość.

W tym jednak przypadku bez znaczenia był fakt, że brakowało jakiegokolwiek dostępu z tej strony zamku, gdyż hrabia nie myślał wcale przekraczać jego murów.

Było wpół do ósmej, gdy Franciszek de Telek i Rotzko zatrzymali się na najdalej wysuniętej granicy płaskowyżu Orgall. Przed nimi rozpościerało się dzikie rumowisko zamku, pogrążone w cieniu i swą barwą upodabniające się do wiekowego kolorytu skał Plesy. Z lewej strony mur gwałtownie się załamywał, a flankował go narożny bastion. Tam właśnie, na tarasie ponad jego balustradą, wykrzywił się buk, którego pokręcone konary poddawały się gwałtownym na tej wysokości podmuchom z południowego zachodu.

Rzeczywiście, pasterz Frik wcale się nie pomylił. Jeśliby wierzyć legendzie, to forteca baronów de Gortz miała przed sobą nie więcej niż trzy lata istnienia.

Franciszek w milczeniu oglądał zespół budowli, zdominowany wznoszącą się pośrodku masywną basztą. Bez wątplenia tam, pod tym bezładnym stosem kamieni, mogły się zachować jeszcze sklepienie sale, rozległe i akustyczne, długie i kręte korytarze, nisze wykute w skale, takie jakie posiadają jeszcze fortece dawnych Madziarów. Czyż można znaleźć coś bardziej odpowiedniego niż ta starożytna siedziba, aby móc pograć się w samotności, której tajemnicy nikomu nie wolno zgłębić? Im młody hrabia dłużej o tym myślał, tym bardziej był przekonany, że to Rudolf de Gortz musiał się schronić za szaniami swego zamku Karpaty.

Jednakże nic nie wskazywało na obecność kogokolwiek wewnątrz baszty. Ani dym nie wydobywał się z jej kominów, ani żaden dźwięk nie wychodził z za szczelnie zamkniętych okien. Nic — nawet krzyk ptaka — nie zakłócało tajemnicy ponurej siedziby.

Przez kilka chwil Franciszek obejmował pożądlivym wzrokiem ten dziedziniec, który dawniej wypełniony był zgiełkiem turniejów i szcękami oręża. Lecz milczał, gdyż umysł jego dręczyły przytłaczające myśli, a serce wypełniały wspomnienia.

Rotzko chciał pozostawić hrabiego samego z sobą i trzymał się w oddaleniu. Nie pozwolił sobie na przerwanie mu rozmyślań jakąkolwiek uwagą. Lecz gdy słońce zniżyło się poza masyw Plesy, a dolina dwóch Silów zaczęła wypełniać się cieniem, dłużej nie mógł się wahać.

— Mój panie — powiedział — nadszedł wieczór... Wkrótce będzie godzina ósma.

Franciszek wydawał się go nie słyszeć.

— Pora wyruszyć... — podjął Rotzko — jeśli chcemy być w Livadzelu, zanim zamkną oberżę.

— Za chwilę... Rotzko... za chwilę przyjdę do ciebie — odrzekł Franciszek.

— Potrzebujemy dobrej godziny, mój panie, aby dotrzeć do drogi z przełęczy, zapadnie już ciemność, więc nie będzie ryzyka, że nas na niej zobaczą.

— Jeszcze kilka minut — odpowiedział Franciszek — i zejdziemy ku wiosce.

Jednakże hrabia nie ruszał się z miejsca, w którym się zatrzymał po przybyciu na płaskowyż Orgall.

— Niech pan nie zapomina, że w nocy będzie trudno przebyć te skały... — ponownie ostrzegł Rotzko. — Przecież przyszliśmy tutaj, gdy był jeszcze pełny dzień... Proszę mi wybaczyć, że nalegam...

— Tak... chodźmy... Rotzko... Pójdę za tobą...

Wydawało się, że Franciszka coś nieodparcie zatrzymywało przed fortecą, być może jedno z tych tajemniczych przeczuc, z którego serce nie jest zdolne zdać sobie sprawy. Czyżby był przytwierdzony do ziemi tak jak doktor Patak, gdy znajdował się w fosie u stóp murów?...

Nie, nóg jego nie krępowały żadne pęta, żadne sidła... Mógł chodzić tam i z powrotem po powierzchni płaskowyzu i gdyby tylko zechciał, nic nie przeszkodziłoby mu okrążyć mury idąc obrzeżem kontrskarpy...

I pewnie chciał tak zrobić.

Tak samo myślał Rotzko, który zdecydował się powiedzieć po raz ostatni:

— Proszę, chodźmy już, mój panie...

— Tak... tak... — odrzekł Franciszek.

Lecz pozostał bez ruchu.

Na płaskowyzu było już mroczno. Cień, przesuając się na południe, przebył masyw i zakrywał zespół budowli, których kontury przedstawiały jedynie niewyraźne zarysy. Wkrótce wszystko pokryje i ciemność, jeśli jakieś światło nie rozjaśni szerokich okien baszty.

— Mój panie... chodźmy więc! — powtórzył Rotzko.

I Franciszek w końcu podążył doń, gdy wtem na poziomie bastionu, gdzie wznosił się legendarny buk, ujrzał niewyraźny kształt...

Franciszek zatrzymał się, patrząc na tę postać, której profil stał się nieco wyraźniejszy.

Była to jakaś kobieta, z rozpuszczonymi włosami, rękoma wyciągniętymi, odziana w długą białą szatę.

Lecz czy jej strój nie był tym, który nosiła Stilla w końcowej scenie „Orlanda”, kiedy Franciszek widział ją po raz ostatni?

Tak, to była Stilla, nieruchoma, ramiona skierowane ku hrabiemu, a jej przenikliwe spojrzenie spoczywało na nim...

— Ona!... Ona!... — wykrzyknął.

I rzucając się, potoczyłby się aż do stóp muru, gdyby go Rotzko nie zatrzymał...

Zjawa zniknęła gwałtownie. Stilla ukazała się zaledwie na minutę...

Nieważne! Jedna sekunda wystarczyła Franciszkowi, żeby ją rozpoznać, a z jego ust wyrwały się słowa:

— Ona... ona... żywa!

XII

Byłoby to możliwe? Stilla, której Franciszek de Telek nie miał wcale nadziei zobaczyć żywą, ukazała mu się na tarasie bastionu!... Wszakże nie stał się igraszką złudzenia — Rotzko widział ją tak samo jak on!... To była naprawdę ona, wielka artystka, ubrana w kostium Angeliki, w którym ukazała się publiczności na swym pożegnalnym występie w teatrze San Carlo!

Straszliwa prawda objawiła się oczom hrabiego. Więc ta uwielbiana kobieta, która miała zostać hrabiną de Telek, od pięciu lat pozostaje zamknięta wśród tych transylwańskich gór! Więc ta, którą Franciszek widział martwą na scenie, przeżyła! Więc wtedy gdy przeniesiono go umierającego do hotelu, baron Rudolf niewątpliwie dostał się do Stilli, porwał ją i przewiózł do zamku Karpaty, i nazajutrz cała ludność Neapolu postępowała na Campo Santo Nuovo za pustą trumną!

Wszystko to wydawało się niewiarygodne, nie do przyjęcia, pozbawione sensu. Wyglądało na cud, było nieprawdopodobne i Franciszek musiał sobie to uporczywie powtarzać... Tak!... Lecz fakty były niepodważalne: Stilla bez wątpienia została porwana przez barona de Gortz, ponieważ teraz znajdowała się w fortecy!...

Była żywa, gdyż przed chwilą widział ją na murach!... Tego był pewien absolutnie.

Młody hrabia próbował uporządkować swe myśli i skoncentrował się na jednej: trzeba wyrwać Rudolfowi de Gortz Stillę, od pięciu lat więzioną w zamku Karpaty!

— Rotzko — powiedział Franciszek zdławionym głosem — posłuchaj mnie... zrozum mnie przede wszystkim... gdyż wydaje mi się, że tracę rozum...

— Mój panie... Mój drogi panie!

— Za każdą cenę muszę do niej dotrzeć!... tegoż wieczoru...

— Nie... jutro...

— Tego wieczoru, powiedziałem ci!... Ona tam jest... Ona widziała mnie, tak jak ja widziałem ją... Czekaj na mnie...

— No, dobrze... będę panu towarzyszył...

— Nie!... Pójdę sam.

— Sam?...

— Tak.

— Lecz w jaki sposób dostanie się pan do fortecy, gdy nie udało się to Nikowi Deckowi?...

— Mówię ci, że tam wejdę.

- Brama jest zamknięta...
- Nie dla mnie... Poszukam... znajdę wyłom... i przejdę tamtędy...
- Nie chce pan, abym mu towarzyszył, naprawdę nie chce pan?...
- Nie!... Bardziej mi pomożesz, gdy się rozdzielimy.
- Mam więc tutaj czekać na pana?...
- Nie, Rotzko.
- Dokąd wobec tego mam pójść?...

— Do Werstu... lub raczej... Nie, nie do Werstu... — odrzekł Franciszek. — Nie trzeba, aby ci ludzie wiedzieli... Zejdź do wsi Vulkan, gdzie przenocujesz... Jeśli nie ujrysz mnie nazajutrz, opuść Vulkan z rana... to znaczy... nie... poczekaj jeszcze kilka godzin... Potem udaj się do Karlsburga... Tam zawiadom szefa policji... Opowiedz mu wszystko... Potem wracaj z policjantami... Jeśli będzie trzeba, niech zaatakują fortecę!... Przyprowadź ich tu!... Ach! Wielki Boże... ona... żywa... we władzy Rudolfa de Gortz!

W czasie gdy hrabia wyrzucał z siebie te urywane zdania, Rotzko widział, że ogromne podniecenie jego pana jeszcze rośnie i objawia się chaotycznymi zamiarami człowieka, który nie panuje już nad sobą.

- Idź... Rotzko! — krzyknął po raz ostatni.
- Naprawdę chce pan tego?...
- Tak, chcę!

Wobec tego stanowczego nakazu Rotzkowi nie pozostało nic innego, jak go posłuchać. Poza tym Franciszek oddalił się i ciemności zasłoniły go już przed wzrokiem hajduka.

Rotzko pozostał jeszcze jakiś czas na tym samym miejscu niezdecydowany. Sądził, że wysiłki Franciszka będą bezskuteczne, że nie uda mu się sforsować murów, że będzie zmuszony wrócić do wioski Vulkan... Być może nazajutrz... Być może tej nocy... Obaj pójdą więc do Karlsburga i to, czego ani Franciszek, ani leśniczy nie mogli dokonać, zrobią przedstawiciele władzy... Wymierzy się sprawiedliwość Rudolfowi de Gortz... Odbierze mu się nieszczęsną Stille... Rozkopie się ten zamek Karpaty... nie zostanie nawet kamień, choćby... wszystkie diabły z piekła zebrały się dla jego obrony!

I Rotzko począł schodzić ze stoków płaskowyżu Orgall, by dotrzeć do drogi wiodącej z przełęczy Vulkan.

Tymczasem Franciszek posuwał się ciągle wzdłuż zakosów kontrskarpy, macając rękoma i nogami, zacieśniając koło, jak tylko to możliwe, aby nie oddalić się zbyt od murów. Podtrzymywała go jakaś nadludzka siła, a czuł, że wiedzie go również niezawodny instynkt.

Za bastionem ciągnęły się wały południowe, w których zwodzony most stanowił jedyne połączenie ze światem, pod warunkiem, że nie był podniesiony.

Począwszy od tego bastionu, trudności zdawały się mnożyć. Posuwanie się dalej wzdłuż kontrskarpy, wśród ogromnych głazów, którymi najeżony był płaskowyż, stawało się niemożliwością i trzeba się było od niej oddalić. Postarajmy się wyobrazić sobie człowieka próbującego rozeznąć się pośród ruin Karnaku*, gdzie grobowce i kamienne pomniki zostały bezładnie rozrzucone. I żadnego drogowskazu, żadnego światła wśród ciemnej nocy, która kryła zamek aż po wierzchołek jego środkowej baszty!

Mimo to Franciszek brnął dalej, wspinając się na olbrzymie głazy zagradzające mu przejście, czołgając się między skałami, kalecząc ręce o osty i zarośla. O jego głowę raz po raz obijały się puszczyki, które w przestrachu wydawały przeraźliwe krzyki trwogi.

Ach! Dlaczego dzwon starej kaplicy nie dzwonił teraz, tak jak dzwonił Nikowi Deckowi i doktorowi? Dlaczego to silne światło, które rozblyskiwało wokół nich, nie zapala się teraz nad blankami baszty? Szedłby wtedy w kierunku dźwięku, szedłby w kierunku światła, jak marynarz prowadzony dźwiękiem syreny ostrzegawczej lub błyskami latarni!

A tu nic!... Jedynie głęboka noc ograniczająca widoczność do kilku kroków.

Trwało to prawie godzinę. Nachylenie stoku, jakie stwierdził po swej lewej stronie, uświadomiło Franciszkowi, że zabłądził. Może zszedł poniżej bramy? A może przedostał się ponad zwodzonym mostem?

Zatrzymał się, kopiąc gniewnie ziemię nogami, załamując ręce. W którą stronę powinien się udać? Jakże był wściekły na myśl, że przyjdzie mu tu oczekiwać dnia!... Lecz wtedy dostrzegą go ludzie z fortecy... Nie będzie mógł ich zaskoczyć... Rudolfa de Gortz obronią jego strażę...

Wokół była noc, noc, w czasie której za wszelką cenę musiał dostać się za mury, a tymczasem Franciszek zgubił się wśród ciemności!

Wyrwał mu się krzyk... krzyk rozpaczny.

— Stilla... — krzyczał rozdzierająco. — Moja Stilla!...

Czyżby sądził, że uwięziona może go usłyszeć, że może mu odpowiedzieć?...

Ze dwadzieścia razy wykrzyczał to imię, które wracało echem odbitym od masywu Plesy.

Po chwili oczy Franciszka dostrzegły światło przebijające się przez mrok — światło dość silne, którego źródło musiało mieścić się na znacznej wysokości.

Tam jest forteca... Właśnie tam! — pomyślał sobie.

Rzeczywiście, według pozycji, z której rozchodziło się światło, mogła to być jedynie środkowa baszta.

W podnieceniu umysłu, w jakim się znajdował, Franciszek nie zawahał się uwierzyć, że to Stilla wysłała mu pomoc. Nie wątpił, że go rozpoznała w tym samym momencie, gdy on dostrzegł ją na tarasie bastionu.

A teraz wysłała mu ten sygnał, to ona wskazuje drogę, którą może dotrzeć do bramy...

Franciszek skierował się ku temu światłu, którego jasność potęgowała się, w miarę gdy się doń przybliżał. Ponieważ oddalił się zbyt na lewą stronę płaskowyzu Orgall, zmuszony był wrócić kilkadziesiąt kroków na prawo i po kilku próbach odnalazł obrzeże kontrskarpy.

Światło błyszczało naprzeciw niego, a jego położenie wskazywało, że pochodzi z jednego z okien baszty.

Franciszek znalazł się więc naprzeciw ostatniej przeszkody — być może nie do przezwyciężenia!

Rzeczywiście, gdyby brama była zamknięta, most zwodzony podniesiony, musiałby się ześlizgnąć aż do stóp muru... A potem? Co mógłby zrobić wobec muru wznoszącego się na pięćdziesiąt stóp ponad nim?...

Franciszek posunął się w stronę miejsca, gdzie opierałby się most, gdyby brama była otwarta...

Zwodzony most był opuszczony.

Nie zastanawiając się ani chwili, Franciszek przekroczył kołyszący się pomost i dotknął ręką bramy.

Brama się otworzyła.

Franciszek rzucił się do ciemnego tunelu. Lecz gdy tylko zrobił kilka kroków, most zwodzony podniósł się ze zgrzytem i oparł o bramę...

Hrabia Franciszek de Telek został więźniem zamku Karpaty.

XIII

Mieszkańcy Transylwanii i podróżni wchodzący lub schodzący z przełęczy Vulkan widywali jedynie zamek Karpaty z zewnątrz. Z pełnej szacunku odległości, w jakiej lęk zatrzymywał najważniejszych z wioski Werst i okolic, przedstawiał się on jedynie jako ogromna kupa kamieni z fortecy w stanie ruiny.

Lecz czy wewnątrz murów forteca była tak zrujnowana, jak można było przypuszczać? Nie. Osłonięte solidnymi murami budynki starej feudalnej fortecy pozostały nienaruszone i mogły jeszcze pomieścić niemały garnizon.

Szerokie, łukowato sklepione sale, głębokie piwnice, liczne korytarze, promenady o nawierzchniach z tłucznią ginące pod wyrośniętymi pnączami ostrokrzewów, podziemne nisze, gdzie nie dociera nigdy światło dnia, schody ukryte w grubych murach, kazamaty o wąskich otworach strzelniczych, środkowa baszta z pomieszczeniami nadającymi się do zamieszkania, zwieńczona ząbkowaną platformą; a między różnorodnymi konstrukcjami wałów obronnych — nie kończące się korytarze, kapryśnie poplątane, wznoszące się aż po tarasy bastionów i schodzące do wnętrza podziemi. Tu i ówdzie kilka zbiorników, gdzie gromadziła się woda deszczowa, której nadmiar wypływał do strumienia Nyad, wreszcie długie tunele, nie zasypane, jak można by sądzić, lecz dające wyjścia na drogę z przełęczy Vulkan. Tak wyglądała całość zamku Karpaty, którego plan geometryczny przedstawiał system tak skomplikowany, jak labirynty Posenny*, na Lemnos* lub na Krecie.

Jak Tezeusza, pragnącego zdobyć córkę Minosa, tak samo hrabiego wiodło uczucie silne i nie do pokonania, gdy przebywał nieskończone meandry tej fortecy. Ale gdzież miał znaleźć nić Ariadny, która wyprowadziła z labiryntu greckiego bohatera?

Franciszek miał dotąd tylko jeden cel — przekroczyć mury, i osiągnął go. Być może powinno go zastanowić, że zwodzony most, dotąd podniesiony, wydawał się teraz opuszczony specjalnie po to, by umożliwić mu wejście!... Pewnie, powinien się też zaniepokoić, gdy brama natychmiast zawarła się za nim!... Lecz hrabia wcale o tym nie myślał. Był wreszcie w tym zamku, gdzie Rudolf de Gortz przetrzymywał Stillę, i poświęcił swe życie, aby się do niej dostać.

Galeria, w której znalazł się Franciszek — szeroka, wysoka, o spłaszczonym sklepieniu — pogrążona była w kompletnej ciemności, a jej zniszczona posadzka nie pozwalała na pewny krok.

Franciszek dotarł do lewej ściany i podążył wzdłuż niej, opierając się o jej pokrytą liszajami saletry powierzchnię, która kruszyła się pod ręką. Nie słyszał żadnego dźwięku oprócz swych kroków wywołujących odległy rezonans. Ciepły powiew z odorem stęchlizny dmuchał mu w plecy, jakby ciąg powietrza wydostawał się z drugiego krańca galerii.

Po przekroczeniu kamiennego filaru, który podpierał ostatni i lewy narożnik, Franciszek znalazł się u wejścia do znacznie węższego korytarza. Nie musiał wcale wyciągać rąk, aby móc dotykać obu ścian.

Wciąż posuwał się naprzód, pochylony, rękoma i nogami po omacku próbując rozeznąć, czy korytarz zachowuje kierunek linii prostej.

Okolo dwustu kroków od narożnego słupa Franciszek wyczuł, że korytarz zakręca w lewo, aby po pięćdziesięciu krokach przyjąć kierunek zupełnie przeciwny. Więc ten korytarz przywiedzie go z powrotem do wałów fortecy i nie doprowadzi do stóp baszty?

Franciszek próbował przyspieszyć kroku, lecz co chwila był zatrzymywany — to przez nierówności ziemi, o które się potykał, to przez zakręty zmieniające kierunek marszu. Od czasu do czasu trafiał na jakieś otwory, dziury w ścianach, łączące korytarz z bocznymi odnogami. Lecz wszystko to było zupełnie ciemne, nieprzeniknione i na próżno starał się zorientować pośród tego labiryntu — prawdziwie krecia praca.

Franciszek musiał wiele razy zawracać z drogi, gdy tylko rozpoznał, że znalazł się w ślepych zaułku. Jednak najbardziej obawiał się, żeby nie wpaść w jakąś odkrytą zapadnię, na dno lochu, z którego nie byłby w stanie się wydostać. Toteż gdy następował na dźwięczące pusto płyty, starał się trzymać blisko murów, lecz posuwał się ciągle z taką zaciętością, że nie pozostawało mu czasu na zbyt długie zastanawianie się.

W każdym razie, ponieważ Franciszek dotąd nie schodził na dół ani nie wchodził do góry, wyglądało na to, że znajdował się ciągle na tym samym poziomie — przejść wewnętrznych między różnymi i pomieszczeniami wałów — i może mieć nadzieję, iż korytarz ten zakończy się w baszcie środkowej, u podnóża schodów.

Niewątpliwie musiało istnieć jakieś prostsze połączenie między bramą i budynkami fortecy. W czasach gdy zamieszkiwała ją rodzina de Gortz, nie było potrzeby korzystania z tych nie kończących się przejść. Rzeczywiście istniały jeszcze jedne drzwi — naprzeciw bramy, z przeciwnej strony pierwszej galerii — i otwierały się na dziedziniec turniejowy, pośrodku którego wznosiła się baszta. Lecz teraz były one zamurowane i Franciszek nie domyślił się nawet ich położenia.

Minęła prawie godzina, podczas której hrabia przemierzał na oślep różne zakamarki, nasłuchując, czy nie dojdą go jakieś dalekie odgłosy, nie ośmielając się wołać Stilli, której imię echo mogłoby donieść do pięter baszty. Jednakże nie czuł wcale lęku, poruszał się tak, jakby miał niewyczerpane siły, jakby największe nawet przeszkody nie były w stanie go zatrzymać.

Tymczasem, nie zdawszy sobie nawet z tego sprawy, Franciszek był już wyczerpany. Od wyruszenia z Werstu nic nie jadł. Odczuwał więc głód i pragnienie. Jego krok nie był już tak pewny, nogi się uginały. W tym wilgotnym i ciepłym powietrzu, przenikającym przez ubranie, oddychał ciężko, a serce jego biło gwałtownie.

Musiał być około dziewiątej, gdy Franciszek, wysunąwszy lewą nogę, nie natrafił na podłogę.

Pochylił się i ręką wymacał poniżej stopień, a potem drugi.

To były schody.

Może zagłębiały się one w podwaliny zamku i nie miały wyjścia? Franciszek nie wahał się jednak przed zejściem nimi i liczył stopnie. Schody kierowały się skośnie w stosunku do korytarza.

Musiał zejść siedemdziesiąt siedem stopni, aby osiągnąć następny poziomy korytarz, ginący w licznych i ciemnych odnogach.

Franciszek szedł jeszcze pół godziny, aż półżywy ze zmęczenia musiał się zatrzymać. Nagle, dwieście lub trzysta kroków z przodu, zauważył jakiś świecący punkt.

Skąd mogło pochodzić to światło? Może było to zjawisko naturalne, wodór błędnego ognika, zapalający się na tej głębokości? A może raczej latarnia niesiona przez jednego z mieszkańców fortecy?

— A może to ona?... — wyszeptał Franciszek.

I przypomniał sobie, że już raz mu się ukazało światło — aby pozwolić ujrzeć wejście do zamku, gdy był zagubiony wśród skał płaskowyżu Orgall. Jeśli to Stilla zapaliła światło w oknie baszty, czyż nie mogła również próbować poprowadzić go przez kręte podziemia?

Ledwie panując nad sobą, Franciszek skulił się i chciwie wpatrywał, nie robiąc najmniejszego ruchu.

Światło, raczej rozproszone niż świecący punkt, zdawało się wypełniać rodzaj grobowca na końcu korytarza.

Franciszek postanowił pospieszyć w tym kierunku. Czołgał się prawie, gdyż nogi nie mogły go utrzymać. Po przebyciu wąskiego otworu upadł na progu krypty.

Owa kolista krypta, wysoka na dwanaście stóp, o podobnej średnicy, zachowana była w dobrym stanie. Żebra jej sklepienia, wspierające się na głowicach ośmiu brzuchatych kolumn, zbiegały się u środkowego zwornika, w którym osadzona została szklana kula wypełniona żółtawym światłem.

Naprzeciwno wejścia, między dwoma słupami, istniały, jeszcze inne drzwi, które były zamknięte, i tylko grube gwoździe o zardzewiałych łbach wskazywały miejsce, gdzie na zewnątrz zamocowany był rygiel.

Franciszek podniósł się, dowłókł do tych drugich drzwi, spróbował poruszyć ciężkimi zasuwami...

Jego wysiłki pozostały daremne.

Kilka zniszczonych mebli zapełniało kryptę: jakieś łóżko lub raczej wyrko ze starych dębowych desek, na które była rzucona pościel, taboret na kręconych nogach, stół zamocowany w murze żelaznymi czopami. Na stoliku znajdowały się różne przedmioty: pękata konew napełniona wodą, półmisek z kawałkiem zimnej dziczyzny, duży bochen chleba, przypominający marynarski suchar. W kącie szumiała muszla, zasilana stróżką wody, której nadmiar wypływał przez otwór umieszczony u dołu jednego ze słupów.

Urządzenie pomieszczenia wskazywało, że krypta ta oczekiwała jakiegoś gościa lub raczej więźnia w tym więzieniu! Czyżby tym więźniem miał być, zwabiony tu podstępnie, Franciszek?

Zatopiony w chaosie swych myśli, Franciszek nawet tego nie podejrzewał. Wyczerpany głodem, zmęczeniem, pochłoniął żywność pozostawioną na stole, zaspokoił pragnienie zawartością konwi; potem padł w poprzek prymitywne łóżka, by kilkuminutowy odpoczynek przywrócił mu trochę sił.

Lecz gdy spróbował zebrać myśli, odniósł wrażenie, że uchodzą zeń jak woda, którą chciałby zatrzymać ręką.

Czyżby więc został zmuszony raczej poczekać nadejścia dnia, by móc zacząć poszukiwania? Czyżby jego wola stępiała do tego stopnia, że nie był już panem swych poczynań?

— Nie! — powiedział sobie — nie będę czekał!... Do baszty... Muszę dotrzeć do baszty jeszcze tej nocy!...

Nagle zgasło sztuczne światło, wysyłane przez lampę zamocowaną u zwornika sklepienia, i krypta pograżyła się w całkowitej ciemności.

Franciszek chciał się podnieść... lecz nie udało mu się to, a jego myśli jakby zasnęły lub, dokładniej mówiąc, zatrzymały się gwałtownie, jak wskazówka zegara, w którym pękła sprężyna. Był to dziwny sen albo raczej przygniatająca ośpiłość, całkowite osłabienie woli, które jednak nie było skutkiem uspokojenia umysłu. Gdy się obudził, Franciszek nie mógł określić, jak długo trwał ten sen. Jego stojący zegarek nie wskazywał już czasu. Lecz krypta znów była skąpana w sztucznym świetle.

Franciszek wstał z łóżka, zrobił kilka kroków w kierunku pierwszych drzwi — były nadal otwarte; ruszył w kierunku drugich drzwi — były nadal zamknięte.

Musiał się zastanowić i miał ku temu powody.

Jeśli jego ciało opuściło poprzednie zmęczenie, to czuł, że jego głowa jest jednocześnie i pusta, i ciężka mu.

— Ile czasu mogłem spać? — zastanawiał się. — Czy to jeszcze noc, czy już dzień?

Wewnątrz krypty nic się nie zmieniło poza tym, że ponownie płonęło światło, przyniesiono nową żywność i konwię napełniono świeżą wodą.

A więc ktoś musiał wejść w czasie gdy Franciszek pograżony był w tym obojętnym odrętwieniu? Zatem wiadano o tym, że dostał się do podziemi forticy? Znalazł się w mocy barona Rudolfa de Gortz... Czyżby nie było mu dane nigdy więcej móc porozumieć się ze swymi bliźnimi?

To niemożliwe, poza tym przecież może stąd uciec, a ponieważ jeszcze ma czas to uczynić, odnajdzie galerię prowadzącą do bramy i opuści zamek...

Opuści? Przypomniał sobie, że brama zawarła się za nim.

Nie szkodzi! Spróbuje dostać się na wały i przez otwór w murze obronnym spuści się na dół... Za wszelką cenę przed upływem godziny musi wydostać się z fortecy...

Lecz Stilla... Zrezygnować z dotarcia do niej? Odejść, nie wyrwawszy jej Rudolfowi de Gortz?...

Nie! Jeśli sam tego nie będzie mógł dokonać, zrobi to wspólnie z policjantami, których Rotzko pewnie już sprowadził z Karlsburga do wsi Werst... Weźmie się szturmem stare mury... Przeszuka fortecę od piwnic po strych!...

Decyzja została powzięta, teraz bez chwili zwłoki należało ją wprowadzić w czyn.

Franciszek podniósł się i skierował ku korytarzowi, którym przybył, gdy wtem dało się słyszeć jakby szuranie za drugimi drzwiami.

Był to niewątpliwie odgłos kroków, które się wolno zbliżały.

Franciszek przystawił ucho do skrzydeł drzwi i słuchał wstrzymując oddech...

Wydawało się, że kroki stawiane są w regularnych odstępach, jakby ktoś wchodził po stopniach. Nie ma wątpliwości, że muszą tam być drugie schody, łączące kryptę z wewnętrznymi przejściami.

Aby być gotowym na wszelką ewentualność, Franciszek wyciągnął z pochwy nóż, który nosił u pasa, i silnie zacisnął go w rękę.

Jeśli wejdzie jeden ze służących barona de Gortz, rzuci się na niego, obezwładni go, zabierze mu klucze, wydostanie się przez to nowe wyjście i spróbuje dostać się do baszty.

Jeśli będzie to baron Rudolf de Gortz — a rozpozna łatwo, człowieka, którego zobaczył w momencie gdy Stilla padła na scenę San Carlo — zabije go bez litości.

Tymczasem kroki zatrzymały się przy słupie tworzącym zewnętrzną framugę.

Franciszek, nie czyniąc żadnego ruchu, oczekiwał, aż drzwi się otworzą...

Nie otworzyły się jednak, a do hrabiego dotarł głos nieskończenie łagodny.

Był to głos Stilli... Tak!... Mimo że nieco osłabiony, posiadał wszystkie charakterystyczne intonacje, niewypowiedziany czar, pieszczotliwą modulację — zachwycający instrument cudownej sztuki, który, wydawało się, umarł wraz z artystką.

A Stilla powtarzała żalną melodię, która łudziła marzenia Franciszka, gdy drzemał w głównej sali oberży w Werscie:

Nel giardino de' mille fiori,

Andiamo, mio cuore...

Ten śpiew przenikał Franciszka do dna duszy... Wchłaniał go, pił jak przedziwny likier, podczas gdy Stilla zdawała się go zapraszać, by szedł za nią, powtarzając:

Andiamo, mio cuore... andiamo...

Jednakże drzwi nie otworzyły się, by dać mu przejść!... Nie będzie mógł więc dotrzeć do Stilli, wziąć ją w ramiona, wyprowadzić poza fortecę?

— Stilla... Moja Stilla... — krzyczał.

I rzucił się na drzwi, które powstrzymały jego wysiłki.

Śpiew wydawał się słabnąć... Głos przygasał... Kroki oddalały się...

Franciszek na klęczkach usiłował obruszyć deski w drzwiach, raniąc sobie ręce o żelazne zawiasy; wzywał ciągle Stillę, której głosu prawie już nie słyszał.

Wtedy pewna straszna myśl niczym błyskawica przeszła mu umysł.

— Obląkana!... — krzyczał. — Ona nie rozpoznała mnie, gdyż jest obląkana. Dlatego nie odpowiedziała mi!... Zamknięta tu od pięciu lat... We władzy tego człowieka... Moja biedna Stilla... Rozum jej się pomieszał...

Podniósł się z nieprzytomnym wzrokiem, ruchami bezładnymi, głową w gorączce...

— Ja także... czuję, że rozum mi się mąci!... — powtarzał. — Czuję, że wkrótce zwariuję... tak jak ona...

Chodził w tę i z powrotem po krypcie, jak dzikie zwierzę w klatce..

— Nie! — powtarzał — nie!... Nie wolno mi stracić głowy!... Muszę wydostać się z fortecy... I wydostanę się z niej!

I skierował się ku pierwszym drzwiom...

Przed chwilą zamknęły się one bezgłośnie.

Franciszek tego nie spostrzegł, gdyż zasluchany był w pieśń Stilli....

Dotąd uwięziony w murach fortecy, teraz został więźniem w krypcie.

XIV

Franciszek był załamany. Gdyby zachował zdolność zrozumienia sytuacji, jasność umysłu konieczną dla przewidywania skutków — ogarnęłoby go przerażenie. Lecz jedyne, co go przepełniało, to wspomnienie Stilli — wrażenie wywołane jej śpiewem, którego echa ta ciemna krypta już nie powtarzała.

Czyżby padł igraszką wyobraźni? Nie, po tysiącokroć nie! To na pewno Stillę słyszał przed chwilą, to na pewno ją widział na bastionie zamku.

Jednakże wróciło podejrzenie, podejrzenie, od którego mącił się rozum i które uderzyło go jak straszliwy cios — podejrzenie, że stracił ją po raz wtóry.

— Obląkana! — powtarzał. — Tak! Jest obląkana... Dlatego nie rozpoznała mego głosu... Dlatego nie mogła mi odpowiedzieć... Obląkana... Obląkana!

I było to bardzo prawdopodobne!

Ach, gdyby mógł ją wyrwać z tej fortecy, zabrać do zamku w Krajowej, poświęcić się jej całkowicie. Jego opieka, jego miłość na pewno przywróciłyby Stilli zdrowie!

Oto o czym rozmyślał Franciszek trapiiony strasznym szaleństwem i upłynęło wiele godzin, zanim wrócił nieco do siebie.

Próbował teraz rozumować trzeźwo, rozeznac się w chaosie swych myśli.

— Muszę stąd uciec... — powtarzał sobie... — Ale jak?... Gdy otworzą się ponownie te drzwi!... Tak!... Przecież w czasie gdy spałem, przyniesiono pożywienie. Poczekam... udam, że śpię.

Naszło go pewne podejrzenie: woda w dzbanie musiała zawierać jakiś środek nasenny... Zapadł w tak ciężki sen, w całkowitą nieświadomość, której trwania nie mógł określić, ponieważ pił tę wodę... No, więc nie będzie jej już pił... Nie dotknie także żywności, którą pozostawiono na stole... Jeden z ludzi mieszkających w fortecy niechybnie wejdzie i wkrótce...

Wkrótce?... Skąd miał to wiedzieć?... Czy słońce zbliża się teraz do zamku, czy zachodzi za horyzont?... Jest dzień czy noc?

Franciszek wyęczał słuch, chcąc w porę dosłyszeć odgłosy kroków, gdyby ktoś zbliżył się do jednych lub drugich drzwi... Lecz żaden odgłos doń nie docierał. Czołgał się wzdłuż murów krypty, z płonąca głową, błędnym wzrokiem, szumem w uszach, z przyspieszonym oddechem wywołanym przez zaduch, którego nie odświeżało powietrze przedostające się przez nieszczelności drzwi.

Wkrótce jednak przy krawędzi jednego z filarów po prawej stronie poczuł, że wargi owiewa mu nieco świeższy podmuch.

Czyżby w tym miejscu istniał jakiś otwór, przez który przedostaje się powietrze z zewnątrz?

Ależ tak... Istniało tu przejście, niezauważalne w cieniu filaru.

Młody hrabia w jednej chwili przecisnął się między dwiema ścianami, kierując się ku niewyraźnemu światłu, które wydawało się dochodzić gdzieś z góry.

Dalej przejście rozszerzało się w maleńkie podwórze, szerokie na pięć lub sześć kroków, którego mury wznosiły się na setkę stóp. Można by rzec, że było to dno studni służącej za dziedziniec tej podziemnej celi, przez której otwór wchodziło nieco powietrza i światła.

Franciszek mógł teraz stwierdzić, że jest jeszcze dzień. W górnym otworze studni światło rysowało skośny kąt na poziomie obrzeża.

Słońce przeszło co najmniej połowę swej dziennej drogi, gdyż ten jaśniejący kąt stopniowo się zwiężał.

Musiałoby być około piątej po południu.

Wynikało z tego, że sen Franciszka trwał co najmniej czterdzieści godzin i niewątpliwie został wywołany przez napój ze środkiem nasennym.

A więc, ponieważ hrabia i Rotzko opuścili wioskę Werst przedwczoraj, 11 czerwca, teraz właśnie kończył się trzynasty...

Franciszek nabierał pełną piersią nieco wilgotnego powietrza, stojąc na dnie owej studni, co przyniosło mu pewną ulgę. Lecz szybko stracił nadzieję, że możliwa będzie ucieczka przez ten wysoki kamienny komin. Próba wdrapania się po ścianach, pozbawionych jakichkolwiek występow, okazała się bezskuteczna.

Franciszek wrócił więc do wnętrza krypty. Ponieważ nie było innej drogi ucieczki, jak tylko przez jedne drzwi, postanowił zbadać ich stan.

Pierwsze, przez które dostał się tutaj, były bardzo masywne, grube i niewątpliwie z zewnątrz wzmocnione przez rygle i żelazne blachy — a więc próba sforsowania ich skrzydeł byłaby nieskuteczna. Drugie drzwi, zza których słyszał głos Stilli, wydawały się znajdować w gorszym stanie. Ich powierzchnia była miejscami spróchniała... Może nie byłoby zbyt trudnym utorować sobie przejście z tej strony.

— Tak... jedynie tędy... jedynie tędy!... — powiedział sobie Franciszek, który odzyskał już zimną krew.

Nie było czasu do stracenia — w każdej chwili ktoś mógł wejść do krypty w mniemaniu, że podziały już środki nasenne.

Praca postępowała szybciej, niż można było się tego spodziewać; pleśń stoczyła drewno dokoła metalowych okuć podtrzymujących zawiasy we framugach. Działającemu prawie

bezgłośnie, czasami zatrzymującemu się i nadstawiającemu uszu, czy nie słyhać czegoś na zewnątrz, Franciszkowi udało się oderwać nożem środkową część okucia.

W trzy godziny później rygle zostały usunięte i drzwi otworzyły się ze skrzypieniem zawiasów.

Franciszek udał się ponownie na mały dziedziniec, by odetchnąć nieco świeższym powietrzem.

Obecnie w otworze studni nie było już jaśniejszego kąta — znak, że słońce zaszło za Retezat. Dziedziniec pogrążony był w całkowitej ciemności. Kilka gwiazd błyszczało w owalu obramowania, widocznych jakby przez długą tubę teleskopu. Niewielkie obłoczki przesuwały się powoli w chwilowych podmuchach wietrzyku, słabnącego nocą. Charakterystyczne zabarwienie powietrza wskazywało także, że księżyc, dopiero w połowie pierwszej kwadry, zaszedł już za górzysty horyzont na wschodzie.

Musiało być około dziewiątej wieczór.

Franciszek wrócił, by wziąć nieco pożywienia i ugasić pragnienie wodą z muszli, wylawszy uprzednio tę z konwi. Następnie, mocując nóż do pasa, przekroczył drzwi i zamknął je za sobą.

Teraz być może uda mu się wreszcie dotrzeć do nieszczęsnej Stilli? Na tę myśl serce zabiło mu tak żywo, jakby chciało wyskoczyć z piersi.

Po zrobieniu kilku kroków natrafił na stopień. Tak jak sądził, zaczynały się tu schody. Wchodząc liczył stopnie — było ich jedynie sześćdziesiąt zamiast siedemdziesięciu siedmiu, po których musiał zejść, by dostać się do progu krypty. Prawdopodobnie więc do poziomu ziemi brakowało jakichś ośmiu stóp.

Nie pozostało mu nic lepszego do zrobienia, jak posuwać się dalej ciemnym korytarzem; czynił to dotykając ścian wyciągniętymi rękoma.

Upłynęło jakieś pół godziny; nie zatrzymały go żadne drzwi ani żadna krata. Ale liczne zakręty nie pozwoliły mu rozeznaczyć się w kierunku swej drogi w stosunku do muru leżącego naprzeciw płaskowyzu Orgall.

Po kilkuminutowym odpoczynku, w czasie którego zaczerpnął oddechu, Franciszek podążył dalej i już wydawało mu się, że ten korytarz nigdy się nie skończy, gdy nagle zatrzymała go przeszkoda.

Była to ściana z ceglanego muru.

Jego ręka obmacująca mur na różnych wysokościach nie natrafiła na najmniejszy otwór.

Od tej strony nie było żadnego wyjścia.

Franciszek nie mógł powstrzymać krzyku. Cała jego nadzieja rozbiła się o tę przeszkodę. Kolana ugięły się pod nim, nogi odmówiły posłuszeństwa i upadł pod murem.

I oto w ścianie, na poziomie podłogi, znalazła się wąziutka szczelina, a cegły nad nią trzymały się słabo i poruszały się pod palcami.

— Tędy... tak!... tędy!... — wykrzyknął Franciszek.

Już zaczął kolejno usuwać cegły, gdy z drugiej strony dały się słyszeć jakieś odgłosy.

Franciszek znieruchomiał.

Słyszał nadal hałas, a teraz przez poszerzoną szczelinę zauważył także promień światła.

Franciszek przyjrzał się wnętrzu.

Była to stara kaplica zamkowa. Do jakiegoż pożałowania godnego stanu doprowadził ją upływ czasu i opuszczenie! Na poły zawalone sklepienie, którego kilka żeber trzymało się jeszcze na garbatych kolumnach, dwa lub trzy łuki gotyckie grożące runięciem; rozpadające się okna z ledwo rysującymi się ramami w stylu płomienistego gotyku; tu i ówdzie zakurzona marmurowa płyta, pod którą spoczywał jakiś przodek rodziny de Gortz; na końcu nawy fragment ołtarza, którego retabulum przedstawiało się jako uszkodzone płaskorzeźby, wreszcie oszczędzone przez burze pozostałości dachu okrywającego absydę i w końcu, u szczytu portalu, chwiejąca się dzwonnica, skąd zwiślał sznur do samej ziemi — sznur dzwonu, odzywającego się czasami ku niewypowiedzianemu przerażeniu mieszkańców Werstu, zapóźnionych na drodze z przełęczy.

Do tej opuszczonej od tak dawna kaplicy, wystawionej na niszczący klimat Karpat, wszedł właśnie jakiś człowiek. W rękę trzymał latarnię, która oświetlała mu twarz.

Franciszek rozpoznał natychmiast tę postać.

Był to Orfanik, dziwak, którego baron uczynił swym jedynym towarzyszem podczas pobytu w miastach włoskich, ten oryginał, którego widywano spacerującego po ulicach, gestykulującego i mówiącego do siebie, ten niedoceniony uczonej, wynalazca goniący ciągle za jakimiś mrzonkami, a który niechybnie służył swymi wynalazkami baronowi Rudolfowi de Gortz!

Jeśli więc Franciszek dotąd mógł jeszcze wątpić w obecność barona w zamku Karpaty, nawet gdy ujrzał Stille, wątpliwości jego przekształciły się teraz w pewność, ponieważ przed oczyma miał Orfanika.

Cóż jednak sprowadziło go do tej zrujnowanej kaplicy o tak późnej godzinie?

Franciszek był tego ciekaw, lecz oto co zobaczył dosyć wyraźnie.

Orfanik, pochylony ku ziemi, podnosił właśnie jeden z wielu żelaznych cylindrów i przymocowywał doń drut, który rozwijał się ze szpuli umieszczonej w rogu kaplicy. Pracował z taką uwagą, że nie dostrzegłby pewnie hrabiego, nawet gdyby Franciszek znalazł się w pobliżu.

Ach, dlaczegoż szczelina, którą poszerzył Franciszek, nie była na tyle duża, żeby umożliwić mu przejście! Dostałby się do kaplicy, zbliżył do Orfanika i zmusił go, by poprowadził hrabiego do baszty...

Lecz może miał szczęście, że nie mógł tego uczynić, gdyż w przypadku niepowodzenia baron de Gortz kazałby mu zapłacić życiem za odkrycie swych tajemnic.

W kilka minut po przybyciu Orfanika inny człowiek wszedł do kaplicy.

Był to baron Rudolf de Gortz.

Niezapomniana fizjonomia tego osobnika nic się nie zmieniła. Nie wyglądało nawet, żeby się postarzał; miał wciąż tę samą twarz, bladą i pociągłą w świetle latarni, siwiejące długie włosy odrzucone do tyłu i przenikliwe spojrzenie z dna czarnych orbit.

Rudolf de Gortz zbliżył się, by sprawdzić poczynania Orfanika.

A oto lakoniczna rozmowa, jaką wiedli między sobą ci dwaj mężczyźni.

XV

— Orfaniku, czy podłączenie kaplicy wykonane?

— Właśnie je zakończyłem.

— A w kazamatach bastionu wszystko gotowe?

— A teraz, czy bastiony i kaplica są bezpośrednio połączone

— A czy potem, gdy aparat prześle prąd, będziemy mieli czas

— Będziemy mieli.

— A sprawdziłeś, czy tunel wychodzący na przełęcz Vulkan jest wolny?

— Sprawdziłem.

Nastąpiło teraz kilka chwil ciszy. W tym czasie Orfanik podniósł latarnię i rzucił snop światła w głąb kaplicy.

— Ach, moja stara forteco! — wykrzyknął baron. — Drogo zapłacisz tym, którzy ośmielą się przekroczyć twe mury!

Słowa te Rudolf de Gortz wypowiedział takim tonem, że młody hrabia zdrzął.

— Słyszałeś, co mówiono w Werscie? — zapytał Orfanika.

— Przed pięćdziesięcioma minutami przewód mi doniósł, o czym mowa w oberży „Król Maciej”.

— Czy atak przygotowują tej nocy?

— Nie, nie należy go się spodziewać przed świtem.

— Kiedy Rotzko wrócił do Werstu?

— Przed dwiema godzinami, sprowadził z Karlsburga policjantów.

— No, więc dobrze! Ponieważ zamek nie może się już dłużej bronić — powtarzał baron de Gortz — niech chociaż pogrzebie pod swymi gruzami Franciszka de Telek i wszystkich tych, którzy przybędą mu na pomoc.

Następnie po chwili milczenia podjął znowu:

— A ten przewód, Orfaniku? Nie można dopuścić, aby ktokolwiek dowiedział się, że stanowił połączenie między zamkiem i wioską Werst...

— Nikt się nie dowie, zniszczę ten przewód.

Nadszedł czas, aby wyjaśnić pewne zjawiska, które występowały w tej opowieści, a których natury dłużej nie będziemy ukrywać.

W owej epoce — chcemy szczególnie podkreślić, że ta historia działa się w ostatnich latach XIX wieku — zastosowanie elektryczności, która słusznie uważana jest za „duszę wszechświata”, zostało doprowadzone do całkowitej perfekcji. Słynny Edison i jego uczniowie dokończyli dzieła.

Pośród innych aparatów elektrycznych telefon działał już z tak cudowną dokładnością, że dźwięki przyjmowane przez płytki docierały bezpośrednio do uszu bez pomocy trąbki. Można było słyszeć wszystko to, co się mówi, co się śpiewa, nawet co się szepcze — na dowolną odległość, i dwie osoby, oddzielone tysiącem mil, mogły rozmawiać ze sobą, jakby jedna siedziała naprzeciw drugiej*

Już od wielu lat Orfanik, nieodłączny towarzysz barona Rudolfa de Gortz, był, jeśli chodzi o praktyczne zastosowanie elektryczności, wynalazcą najwyższej klasy. Lecz, jak wiadomo, jego godne podziwu odkrycia nie zostały przyjęte tak, jak na to zasługiwały. Świat nauki widział w nim jedynie szaleńca, zamiast geniusza w swej sztuce. Stąd zajażdżała mściwość, którą wynalazca, niedoceniony i zniechęcony, żywił do bliźnich.

W takiej sytuacji baron de Gortz spotkał Orfanika, dręczonego biedą. Zachęcił go do dalszych prac, otworzył mu swą sakiewkę, związał się z nim, jednakże pod warunkiem, że uczony wszelki pożytek ze swych wynalazków zachowa dla niego i tylko on będzie mógł je wykorzystać.

W ogóle ci dwaj osobnicy, każdy na swój sposób oryginał i maniak, stanowili natury zdolne się zrozumieć. Tak więc od chwili spotkania byli nierozłączni — także wtedy, gdy baron de Gortz w ślad za Stillą przemierzał wszystkie miasta Italii.

Lecz kiedy meloman upajał się śpiewem niezrównanej artystki, wynalazca poświęcił się całkowicie doskonaleniu odkrywanych w ostatnich latach przez elektryków, uzyskując nadzwyczajne osiągnięcia.

Po wypadkach, które zakończyły karierę dramatyczną Stilli, baron de Gortz zniknął, tak że nie pozostawił żadnego śladu. Opuściwszy Neapol, schronił się właśnie w zamku Karpaty, w towarzystwie Orfanika. bardzo zadowolonego, że może zamknąć się tu wraz z baronem.

Gdy baron de Gortz zdecydował ukryć się przed światem w murach starej fortecy, postanowił uczynić wszystko, by żaden okoliczny mieszkaniec nie domyślił się jego powrotu, żeby nikt nie próbował niepokoić go wizytami. Nie trzeba dodawać, że Orfanik i on mieli sposoby na wystarczające zabezpieczenie swych potrzeb materialnych w zamku. Istniało bowiem sekretne połączenie z drogą na przełęcz Vulkan i tędy pewien zaufany człowiek, dawny służący barona, nieświadom niczego przynosił w umówionym czasie wszystko, co było potrzebne do życia baronowi Rudolfowi i jego współtowarzyszowi.

W rzeczywistości to, co zostało z fortecy — a szczególnie baszta środkowa, było mniej zniszczone, niż ktokolwiek mógł sądzić, i bardziej nadające się do zamieszkania, niż wymagali tego jej goście. Także Orfanik, zaopatrzony we wszystko, co było potrzebne do jego doświadczeń, mógł zajmować się tymi zadziwiającymi pracami, w których najważniejszą rolę odgrywała fizyka i chemia. Przyszedł mu więc do głowy pomysł, aby wykorzystać je w celu odstraszenia natrętów.

Baron de Gortz przyjął jego propozycję skwapliwie i Orfanik zbudował specjalną maszynę, przeznaczoną do produkowania efektów, o których okoliczna ludność sądziła, że są wytworem piekieł.

Lecz najważniejsze dla barona de Gortz było wiedzieć, co też się mówi w najbliższej wiosce. Czy nie znalazłby się sposób, by słyszeć, o czym rozprawiają ludzie, nie będąc widzianym. Owszem, tak, jeśli udałoby się przeprowadzić połączenie telefoniczne między zamkiem i główną salą oberży „Król Maciej”, gdzie notable Werstu mieli zwyczaj zbierać się każdego wieczoru.

Dokonał tego Orfanik, równie zręcznie jak sekretnie, w sposób całkiem prosty. Miedziany drut, pokryty osłoną izolacyjną, którego jeden koniec wchodził na pierwsze piętro baszty, został przeciągnięty pod wodą Nyadu aż do wsi Werst. Po skończeniu tej pierwszej pracy Orfanik, przedstawiając się jako turysta, spędził jedną noc w „Królu Macieju” i podłączył drut do głównej sali oberży. Jak można się domyślić, przeciągnięcie końca tego drutu, zanurzonego w łożysku strumienia, na wysokość okna w tylnej ścianie, które nie otwierało się nigdy, nie przedstawiało dla niego żadnej trudności. Następnie podłączył drut do aparatu telefonicznego ukrytego w gęstwinie liści pokrywających ścianę. Aparat ten, cudownie przystosowany, by wydawać lub przyjmować dźwięki, pozwalał baronowi de Gortz słyszeć

wszystko, co mówiono w „Królu Macieju”, oraz pozwalał słyszeć gościom oberży to, co baron chciał, by słyszeli.

W pierwszych latach nic nie zakłócało spokoju fortecy. Zła reputacja, jaką się cieszyła, wystarczała, by odstraszyć mieszkańców Werstu. Poza tym wiadano, że jest opuszczona od śmierci ostatnich sług rodziny. Lecz pewnego dnia, w czasie gdy zaczyna się ta opowieść, luneta pasterza Frika pozwoliła dostrzec dym unoszący się z jednego z kominów baszty. Od tej chwili objaśnienia tego zjawiska były coraz bardziej fantastyczne i wiadomo, do czego to doprowadziło.

Połączenie telefoniczne okazało się użyteczne; baron de Gortz i Orfanik wiedzieli o wszystkim, co działo się w Werscie. Za pomocą owego przewodu poznali zamiar Nika Decka udania się do fortecy i ten sam przewód wkrótce potem przekazał do oberży „Król Maciej” głos przestrogi, by go od tego odwieść. Gdy jednak mimo tych ostrzeżeń młody leśniczy uparł się przy swym postanowieniu, baron de Gortz postanowił dać mu nauczkę, tak by odeszła mu ochota kiedykolwiek tu wracać. Tej nocy maszynaria Orfanika, zawsze gotowa do działania, wyprodukowała serię zjawisk czysto fizycznych, lecz mających wprawdzie w trwogę całą okolicę: dźwięki dzwonu z kaplicznej dzwonnicy; wystrzelenie ogni pomieszanych z morską solą, co nadaje wszystkim przedmiotom widmowy wygląd; niesamowite syreny, które wyrzucając sprężone powietrze powodowały przerażające ryki; fotografie potwornych sylwetek, wyświetlane za pomocą silnych reflektorów; płyty umieszczone w krzakach fosy dookoła muru i połączone z ogniwami, które tworząc pola magnetyczne uwięziły podkute buty doktora; wreszcie wyładowanie elektryczne, wywołane za pomocą baterii w laboratorium, które powaliło leśniczego, w momencie gdy jego ręka dotknęła okucia zwodzonego mostu.

Tak jak baron de Gortz przewidywał — po zajściu tych niesamowitych zjawisk, po próbie Nika Decka tak nieszczęśliwie zakończonej strach osiągnął takie natężenie, że nikt ani za złoto, ani za srebro, nawet gdyby były tego tysiące, nie chciał zbliżyć się do zamku Karpaty, niewątpliwie nawiedzonego przez istoty nadprzyrodzone.

Rudolf de Gortz mógł się więc już czuć bezpieczny od wszelkiej nachalnej ciekawości, kiedy do wsi Werst przybył Franciszek de Telek.

Podczas gdy wypytywał Jonasza, sędziego Koltza oraz innych, jego obecność w „Królu Macieju” została natychmiast zasygnalizowana przez przewód pod Nyadem. Nienawiść barona de Gortz do młodego hrabiego rozpalila się ponownie, wraz ze wspomnieniem wypadków zaszłych w Neapolu. I nie dość że Franciszek de Telek był w tej wiosce, kilka mil od fortecy, lecz jeszcze ośmieszał absurdałne przypuszczenia wiejskich notabli, niszczył tę fantastyczną sławę, chroniącą zamek Karpaty, obiecał również powiadomić władze w Karlsburgu, aby policja rozwiązała wszystkie te legendy!

Nic dziwnego, że baron de Gortz postanowił zwabić Franciszka de Telek do fortecy; a wiemy już, jak rozmaitymi sposobami to osiągnął. Głos Stilli, przesłany do oberży „Król Maciej” przez aparat telefoniczny, sprawił, że hrabia zawrócił ze swej drogi i zbliżył się do zamku; ukazanie się śpiewaczki na tarasie bastionu spowodowało niepowstrzymaną chęć

dostania się tam; światło, pokazane w jednym z okien baszty, przywiódło go do otwartej bramy umożliwiającej wejście. Na dnie krypty oświetlonej elektrycznie, w której słyszał również przejmujący głos Stilli, między murami celi, gdzie przyniesiono mu pożywienie, gdy spał snem letargicznym, w tym więzieniu zagubionym w podziemiach fortecy, którego drzwi zamknęły się za nim, Franciszek de Telek pozostawał w mocy właściciela zamku, a baron de Gortz był przekonany, że nigdy się stąd nie wydostanie.

Takie były wyniki tej tajemniczej współpracy Rudolfa de Gortz z jego współnikiem Orfanikiem. Lecz ku największemu swemu zmartwieniu baron dowiedział się, że Rotzko podniósł alarm i zawiadomił władze w Karlsburgu. Pluton policjantów przybył już do wioski Werst, a barona de Gortz oczekiwała rozgrywka przerastająca jego siły. W rzeczy samej, w jaki sposób we dwóch, z Orfanikiem, mogliby stawić czoła tak licznemu oddziałowi? Sposoby użyte przeciwko Mikowi Deckowi i doktorowi Patakowi nie wystarczą, gdyż policja nie da się nabrać na diabelskie sztuczki. Obaj postanowili więc doszczętnie zburzyć fortecę, i czekali jedynie na odpowiedni moment! Pod basztę, bastiony i starą kaplicę zostały podłożone ładunki dynamitu, a aparat, który ma wzbudzić prąd elektryczny, uczyni to z opóźnieniem, by dać czas baronowi de Gortz i jego współnikowi na ucieczkę tunelem do przełęczy Vulkan. Następnie gdy hrabiego i większość z tych, którzy przekroczą mury zamku, pogrzebie wybuch, obaj ukryją się tak daleko, że nigdy nikt nie znajdzie ich śladu.

To, co usłyszał z tej rozmowy Franciszek, wyjaśniło mu dotychczasowe wydarzenia. Wiedział teraz, że między zamkiem Karpaty a wioską Werst istniało połączenie telefoniczne. Było mu również wiadomym, że forteca zostanie unicestwiona w katastrofie, która będzie kosztować życie jego i policjantów sprowadzonych przez Rotzkę. Dowiedział się w końcu, że baron de Gortz i Orfanik zostawili sobie czas na ucieczkę... Ucieczkę z niczego nieświadomą Stillą!

Ach, dlaczego Franciszek nie może dostać się do kaplicy, rzucić się na tych dwóch ludzi!... Powaliłby ich na ziemię, pobił, przeszkodziłby ich zamiarom, zapobiegł straszliwej ruinie!

Lecz to, co było niewykonalne w tym momencie, być może będzie możliwe po odejściu barona. Gdy obaj opuszczą kaplicę, Franciszek pójdzie za nimi do baszty i z pomocą boską wymierzy sprawiedliwość!

Baron de Gortz i Orfanik byli już u końca nawy. Franciszek nie spuszczał z nich wzroku. Którędy pójdą? Może drzwiami wychodzącymi na jedną z promenad murów obronnych lub na jakiś korytarz wewnętrzny łączący kaplicę z basztą, gdyż wydaje się, że wszystkie budowle fortecy łączą się ze sobą. Wszystko to zresztą jest nieistotne, byleby tylko hrabia nie napotkał przeszkody nie do przebycia.

Tymczasem baron de Gortz i Orfanik wymienili jeszcze kilka słów.

— Czy wszystko tutaj zostało już zrobione?

— Tak.

— A więc rozdzielamy się.

— Czy nadal życzeniem pana jest, abym go zostawił samego w zamku?

— Tak, Orfaniku, i wychodź natychmiast przez tunel na przełęcz Vulkan.

— A pan?

— Ja opuszczę fortecę w ostatniej chwili.

— A więc uzgodnione. Mam oczekiwać pana w Bistritz?

— W Bistritz.

— A więc zostawiam pana samego, baronie, ponieważ taka jest pana wola.

— Tak... Chcę jej jeszcze raz posłuchać... Jeszcze jeden raz tej ostatniej nocy spędzonej w zamku Karpaty!

Po kilku chwilach baron de Gortz i Orfanik opuścili kaplicę. Mimo że imię Stilli nie zostało wymienione w tej rozmowie to Franciszek nie miał wątpliwości, że to o niej mówił przed chwilą Rudolf de Gortz.

XVI

Katastrofa była nieuchronna. Franciszek mógł jej zapobiec, jedynie unieszkodliwiając barona de Gortz.

Była godzina jedenasta wieczór. Nie obawiając się już, że zostanie odkryty, Franciszek podjął swą pracę. Cegły dawały się wykruszać ze ściany dość łatwo, lecz jej grubość sprawiła, że upłynęło z pół godziny, zanim otwór stał się wystarczająco szeroki, by pozwolić na przejście.

Gdy Franciszek znalazł się wewnątrz kaplicy otwartej na podmuchy ze wszystkich stron, poczuł, że świeże powietrze przywraca go do życia. Poprzez pęknięcia w nawie i otwory okienne mógł dostrzec lekkie chmury na niebie, przepędzane nocnym wiatrem. Tu i ówdzie ukazywały się gwiazdy, blednące w świetle księżyca wschodzącego nad horyzontem.

Należało teraz znaleźć drzwi w głębi kaplicy, przez które wyszedł baron de Gortz z Orfanikiem. Szukając ich, Franciszek przeszedł na ukos nawę i zbliżył się do absydy.

W tej bardzo ciemnej części pomieszczenia, gdzie nie docierały promienie księżyca, stopy hrabiego potykały się o szczątki grobów i zniszczone fragmenty sklepienia.

Wreszcie w końcu absydy, za retabulum ołtarza, przy pozostającym w mroku narożniku ścian, Franciszek wyczuł jakieś zniszczone drzwi, które ustąpiły pod naciskiem ręki.

Drzwi otwierały się na galerię, zapewne przecinając mury obronne.

Tędy właśnie baron de Gortz i Orfanik weszli do kaplicy i tędy dopiero co wyszli.

Gdy Franciszek wszedł do galerii, znalazł się ponownie wśród całkowitych ciemności. Po przebyciu wielu zakrętów, ciągle jednak na tym samym poziomie, nabrał przekonania, że został doprowadzony do wewnętrznych przejść.

W pół godziny później ciemność zdała się już nie tak głęboka jakiegoś przeblyski wydobywały się z bocznych otworów galerii.

Franciszek mógł posuwać się szybciej i znalazł się w rozległej kazamacie, pod tarasem bastionu broniącego lewy róg murów obronnych.

W kazamacie wykutych było wiele wąskich otworów strzelniczych, przez które przedostawały się promienie księżyca.

Naprzeciw znajdowały się otwarte drzwi.

Pierwszą troską Franciszka było znaleźć się przy jednym z tych otworów, by odetchnąć choć przez chwilę świeżym nocnym powietrzem.

Kiedy chciał się już wycofać, zdało mu się, że dostrzegaj dwa lub trzy cienie poruszające się na dolnym krańcu płaskowyzu Orgall, oświetlonym aż po ciemny masyw lasów świerkowych.

Franciszek rozejrzał się dokładnie.

Kilku ludzi przechadzało się w tę i z powrotem po płaskowyzu. nieco przed linią drzew — bez wątplenia byli to policjanci z Karlsburga sprowadzeni przez Rotzkę. Czyżby zdecydowali się działać nocą w nadziei zaskoczenia mieszkańców zamku? A może oczekiwali w tym miejscu na pierwsze przeblyski świtu?

Ileż wysiłku kosztowało Franciszka, aby powstrzymać wrywający mu się krzyk. Rotzko na pewno usłyszałby go i rozpoznał jego głos! Ale ten krzyk mógłby również dotrzeć do baszty i zanimby policjanci zdążyli przedostać się przez mury, Rudolf de Gortz miałby czas uruchomić swój aparat i zbiec przez tunel.

Franciszek zdołał się opanować i oddalił się od otworu. Następnie przeszedł kazamatę i przekroczywszy drzwi posuwał się wzdłuż galerii.

Pięćset kroków dalej napotkał próg schodów wydrążonych murze,

Czyżby wreszcie dotarł do baszty, wznoszącej się pośrodku dziedzińca turniejowego? Miał prawo tak sądzić.

Jednakże schody te nie mogły być głównymi, prowadzącymi na różne piętra. Przedstawały jedynie rodzaj obrotowych szczebli, ułożonych jak zwoje śruby wewnątrz wąskiej i ciemnej klatki.

Franciszek wchodził po cichu, nad słuchując. Lecz nic nie docierało do jego uszu i po jakichś dwudziestu stopniach zatrzymał się na podeście.

Tu otwierały się drzwi wychodzące na taras, którym otoczona była baszta na pierwszym piętrze.

Franciszek prześlizgnął się wzdłuż tarasu, zadbawszy o to, by być zasłoniętym parapetem. Rozejrzał się po płaskowyżu Orgall.

Można było dostrzec jeszcze wielu ludzi na brzegu lasu, lecz nic nie wskazywało na to, by mieli zamiar zbliżyć się do fortecy.

Zdecydowany dotrzeć do barona de Gortz, zanim ten zdoła uciec przez tunel na przełęcz, Franciszek okrążył piętro i znalazł się przed drugimi drzwiami, skąd ślimakowe schody prowadziły dalej do góry.

Postawił nogę na pierwszym stopniu i opierając się rękoma o ściany zaczął wchodzić.

Ciągle ta sama cisza.

Pomieszczenia na pierwszym piętrze nie były zamieszkane.

Franciszek chciał jak najszybciej osiągnąć pomost prowadzący na wyższe piętra.

Gdy znalazł się na trzecim pomoście, jego stopa nie natrafiła na stopień. Tu kończyły się schody, które prowadziły do najwyższych położonych pomieszczeń baszty. Pomieszczenia te były otoczone tarasem z blankowymi murami i tu powiewała dawniej chorągiew baronów de Gortz.

W ścianie na lewo od pomostu znajdowały się drzwi, obecnie zamknięte.

Klucz jednak tkwił w zamku, a przez szparkę obok przedostawał się wyraźny promień światła.

Franciszek nad słuchiwał. Wewnątrz pomieszczenia panowała cisza.

Gdy przyłożył oko do otworu, mógł dostrzec jedynie lewą część pokoju, jasno oświetloną, w przeciwieństwie do prawej, pograżonej w cieniu.

Przekręciwszy delikatnie klucz, Franciszek pchnął drzwi, które się otworzyły.

Przestronna sala zajmowała całe górne piętro baszty. Na jej okrągłych murach wspierało się kasetonowe sklepienie, którego i żebra schodziły się w środku, tworząc ciężki pendentyw. Grube tkaniny obiciowe, wzorzyste stare gobeliny, wielkie szafy, kredensy, fotele, taborety stwarzały nastrój artystycznego nieładu. Okna zakrywały grube zasłony, nie przepuszczające na zewnątrz żadnego promienia światła. Na posadzce rozłożony był gruby wełniany, dywan, skutecznie tłumiący kroki.

Urządzenie sali było co najmniej dziwne. Franciszka, rozglądającego się dokładnie, uderzył przede wszystkim kontrast, jaki stanowiła część sali pograżona w cieniu w stosunku

do oświetlonej. Na prawo od drzwi pomieszczenie tonęło w całkowitej ciemności. Na lewo — przeciwnie; wzniesiona tam estrada, udrapowana czarną materią, oświetlona była ostrym światłem, pochodzącym zapewne z jakiegoś aparatu skupiającego promienie, a umieszczonego w taki sposób, że był niewidoczny.

Kilkanaście stóp od estrady stał staroświecki fotel o długich poręczach, otoczony półcieniem rzucanym przez oddzielający go od estrady ekran.

Obok fotela znajdował się mały stolik pokryty dywanem, a na nim prostokątne pudło.

Pudło to, długie na dwanaście do piętnastu, szerokie na pięć do sześciu cali, którego inkrustowane klejnotami wisko było podniesione, zawierało metalowy cylinder.

Już wchodząc na salę Franciszek dostrzegł, że fotel jest zajęty.

Spoczywała tam jakaś postać, całkowicie nieruchoma, z głową wciśniętą w oparcie fotela, z zamkniętymi powiekami; prawa ręka spoczywała na stoliku, a dłoń oparta była o przednią część pudła.

Był to baron de Gortz.

Czyżby chciał spędzić tę ostatnią noc pogrążony we śnie na najwyższym piętrze starej baszty?

Nie!... Według tego, co mówił do Orfanika, a co usłyszał Franciszek — to niemożliwe.

Baron de Gortz był w pokoju sam, gdyż zgodnie z rozkazami, jakie wydał, jego towarzyszy zbiegł już przez tunel.

Ale co ze Stillą?... Rudolf de Gortz nie mówił wszakże, że to właśnie ją chciałby usłyszeć w zamku Karpaty po raz ostatni, nim fortecę zniszczy eksplozja... Lecz z jakiego innego powodu znalazłby się w tej sali, gdzie Stilla zapewne pojawiała się każdego wieczoru, by upajać go swym śpiewem?

Gdzie zatem znajdowała się Stilla?

Przepadła bez śladu...

Jednakże w tej chwili było najważniejsze, że Rudolf de Gortz znalazł się na łasce i niełasce młodego hrabiego! Franciszek będzie już wiedział, jak zmusić go do mówienia. Lecz czy w stanie silnego wzburzenia, w jakim się znajdował, nie rzuci się na tego człowieka, do którego żywił tyle nienawiści, wzajemnej zresztą, na człowieka, który porwał mu Stillę? Stillę żywą i obłąkaną... Obłąkaną z jego powodu... Czy nie zabije go?

Franciszek stanął za fotelem. Pozostał mu do zrobienia tylko jeden krok, by dopaść barona de Gortz. Z krwią przesłaniającą mu wzrok, z oszalałą głową, podniósł rękę...

Nagle ukazała się Stilla.

Franciszek upuścił nóż na dywan.

Stilla stała na estradzie w pełnym świetle, z rozpuszczonymi włosami, z wyciągniętymi rękoma, cudownie piękna w białej szacie Angeliki z „Orlanda” — taka, jaką się ukazała na bastionie fortecy. Jej oczy, utkwione w młodym hrabim, przenikały go do głębi duszy...

Niemożliwe, aby nie dostrzegła Franciszka, dlaczego więc nie czyni żadnego gestu, by go przywołać... nie przemówi doń ani słowa... Niestety! Była przecież obłąkana!

Franciszek rzucił się ku podium, by wziąć ją w ramiona i wydostać się na zewnątrz...

W tym momencie Stilla zaczęła śpiewać. Nie opuszczając swego fotela, baron de Gortz pochylił się ku niej. W paroksyzmie ekstazy wchłaniał jej głos, jak zapach perfum, pił go, niczym cudowny napój. Tak się zachowywał na wszystkich jej występach w teatrach włoskich i takim był teraz na środku tej sali, w nieskończonej samotności, na szczycie baszty górującej nad krainą transylwańską.

Tak! Stilla śpiewała!... Śpiewała dla niego... Tylko dla niego!...

Usta wydające te dźwięki zdawały się nieruchome... Lecz jeśli opuścił ją rozum, to geniusz artystki pozostał ten sam!

Franciszek także upajał się wdziękiem tego głosu, którego nie słyszał od długich pięciu lat... Pogrążył się w żarliwej kontemplacji tej kobiety, którą uważał za straconą na zawsze, a która była tu, żywa, jakby jakimś cudem przywrócona do życia na jego oczach!

Więc czy na wspomnienie śpiewu Stilli nie mogło zadrzeć serce Franciszka? Tak! Rozpoznał finał tragicznej sceny z „Orlanda”, ten finał, w którym pęka serce śpiewaczki w ostatniej frazie:

Innamorata... Voglio morire...

Voglio morire...

Franciszek słuchał tej niewysłowionej frazy nuta po nucie... Mówił sobie, że tym razem nie zostanie przerwana, jak w teatrze San Carlo!... Nie... Nie zgaśnie na wargach Stilli, jak zamarła w czasie jej pożegnalnego występu...

Franciszek wstrzymał oddech... Całe jego życie zostało związane z tym głosem... Jeszcze kilka taktów i śpiew zakończy się...

Lecz oto głos zaczął słabnąć... Można by rzec, że Stilla waha się, powtarzając te słowa z przeszywającym bólem:

Voglio morire...

Czyżby Stilla miała upaść na estradę, jak niegdyś padła na scenie?

Nie pada, lecz śpiew przerywa się na tym samym takcie; na tej samej nucie co w teatrze San Carlo... Wydaje krzyk... I jest to ten sam krzyk, który Franciszek słyszał tamtego wieczoru!

Jednakże Stilla ciągle jest tutaj, stoi nieruchoma, ze spojrzeniem zakochanej kobiety — oddaje hrabiemu całą swą czułą duszę...

Franciszek rzuca się ku niej... Chce ją zabrać z tej sali, z tego zamku...

W tym momencie staje twarzą w twarz z baronem, który właśnie się podniósł.

— Franciszek de Telek!... — krzyczy Rudolf de Gortz. — Franciszek de Telek się uwolnił...

Lecz Franciszek nie odpowiada mu i zbliża się do estrady:

— Stillo... Moja droga Stillo — powtarza. — Odnalazłem cię tutaj... żywą...

— Żywa... Stilla... żywa! — krzyczy szyderczo baron de Gortz.

I to ironiczne zdanie kończy wybuchem śmiechu, w którym słychać gwałtowną wściekłość.

— Żywa!... — powtarza Rudolf de Gortz. — No więc, Franciszku de Telek, spróbuj mi ją odebrać!

Franciszek wyciągnął ręce ku Stilli, której oczy z żarem wpatrują się w niego...

W tym momencie Rudolf de Gortz schyla się, podnosi sztylet, który wypadł z ręki Franciszka, i kieruje się ku nieruchomej postaci Stilli...

Franciszek rzuca się nań, aby odparować cios grożący nieszczęsnej obłąkanej...

Za późno... Sztylet trafia ją w serce...

W tym momencie daje się słyszeć odgłos roztrzaskiwanego lustra i wraz z tysiącem odprysków szkła, rozproszonych po całej sali, Stilla znika...

Franciszek znieruchomiał... Nic nie rozumie... Czyżby także oszalał?

Tymczasem Rudolf de Gortz krzyczy:

— Stilla jeszcze raz wymknęła się Franciszkowi de Telek!... Lecz jej głos... jej głos zostanie ze mną... Jej głos jest mój... i nigdy nie będzie należał do nikogo innego!

W chwili gdy Franciszek chce rzucić się na barona de Gortz, siły opuszczają go i pada bez przytomności u stóp estrady.

Rudolf de Gortz nie zwraca uwagi na hrabiego. Chwyta ze stołu pudło, opuszcza salę, schodzi na pierwsze piętro baszty. Następnie wydostaje się na taras, okrąża go i zbliża się do drugich drzwi, gdy rozlega się strzał.

To Rotzko stojący na obrzeżu kontrskarpy, strzelił do barona de Gortz.

Baron nie został trafiony, lecz kula Rotzki rozbiła pudło, które ściskał w ramionach...

Rudolf de Gortz wydał straszny krzyk.

— Jej głos... Jej głos!... — powtarzał. — Jej dusza... Dusza Stilli... została strzaskana... strzaskana... strzaskana!...

Widziano go, jak biega wzdłuż tarasu ze zjeżonymi włosami załamanymi rękoma, krzyczącego ciągle:

— Jej głos... Jej głos!... Zniszczyli mi jej głos!... Niech będą przekłęci!

Następnie zniknął w głębi drzwi, w tym samym momencie gdy Rotzko i Nik Deck próbowali dostać się na mury fortecy, nie czekając na oddział policjantów.

W chwilę potem straszna eksplozja wstrząsnęła masywem Plesy. Snopy płomieni uniosły się aż po chmury, a lawina kamieni zasypała drogę z przełęczy Vulkan,

Po bastionach, murach, baszcie, po kaplicy zamku Karpaty na powierzchni płaskowyżu Orgall pozostał jedynie stos dymiących ruin.

XVII

Nie należy zapominać, że zgodnie z umową barona z Orfanikiem, eksplozja miała zniszczyć zamek dopiero po opuszczeniu go przez Rudolfa de Gortz. Jednakże w chwili gdy nastąpił wybuch, baron nie miał możliwości ani czasu uciec przez tunel na drogę ku przełęczy. Czyżby Rudolf de Gortz w ataku bólu, w szaleństwie rozpaczy, już nieświadom co czyni, spowodował natychmiastową katastrofę, której miał być pierwszą ofiarą? Czyżby niezrozumiałe słowa, jakie wyrwały mu się w momencie, gdy kula Rotzki strzaskała pudło, które niósł, oznaczały, że postanowił pogrzebać się pod gruzami fortecy?

W każdym razie nader szczęśliwa była okoliczność, że policjanci, zaskoczeni wystrzałem fuzji Rotzki, znajdowali się jeszcze w pewnej odległości od murów, gdy eksplozja wstrząsnęła masywem. Jedynie kilku z nich poraniły odłamki spadające na skraj płaskowyżu Orgall. Natomiast Rotzko i leśniczy znajdowali się u stóp muru doprawdy chyba cud sprawił, że nie zostali zmiażdżeni pod deszczem kamieni.

Gdy tylko eksplozja przebrzmiała, Nikowi Deckowi, hajdukowi i policjantom bez zbyteńnego wysiłku udało się przekroczyć mury, i przeszedłszy fosę, na wpół zasypaną resztkami fortyfikacji.

Pięćdziesiąt kroków za murem, wśród gruzów, u stóp baszty trafiono na ciało.

Był to Rudolf de Gortz. Kilku starych, okolicznych mieszkańców — między innymi sędzia Koltz — rozpoznało go bez wahania.

Tymczasem Rotzko i Nik Deck myśleli jedynie o odszukaniu hrabiego. Ponieważ Franciszek nie pojawił się we wsi Vulkan w czasie uzgodnionym ze swym hajdukiem, to znaczy, że dotąd nie wydostał się z zamku.

Rotzko nie śmiał nawet mieć nadziei, że znajdzie go żywym, że cało wyszedł z katastrofy. Płakał rzewnymi łzami, a Nik Deck nie umiał go uspokoić.

Jednakże po około pół godzinie poszukiwań młody hrabia został odnaleziony na pierwszym piętrze baszty, pod łukiem oporowym ściany, który uchronił go przed zmiżdżeniem.

— Mój pan... mój biedny pan...

— Panie hrabio...

Były to pierwsze słowa, jakie wymówili Rotzko i Nik Deck, gdy pochylili się nad Franciszkiem. Sądzi, że jest martwy — był jedynie nieprzytomny.

Franciszek otworzył oczy, lecz jego nieruchome spojrzenie wydawało się świadczyć, że ani nie rozpoznaje Rotzki, ani go nie słyszy.

Nik Deck, który trzymał hrabiego w objęciach, mówił do niego coś jeszcze, lecz nie było żadnej odpowiedzi.

Jedynie ostatnie słowa pieśni Stilli wydobywały się z jego ust:

Innamorata, mio cuore tremante...

Franciszek de Telek był obłąkany.

XVIII

Ponieważ hrabia postradał zmysły, bez wątpienia nikt nie potrafiłby wyjaśnić ostatnich wydarzeń, których teatrem był zamek Karpaty, gdyby nie rewelacje ujawnione w następujących okolicznościach.

W czasie czterech dni Orfanik oczekiwał był, że baron de Gortz dotrze doń w miasteczku Bistriz, jak zostało uzgodnione. Gdy się nie pojawił, jego towarzysz począł się zastanawiać, czy właściciel zamku nie stał się ofiarą eksplozji. Pchany tyle samo ciekawością co niepokojem, opuścił więc miasteczko, udał się drogą do Werstu i dotarł w okolice fortecy.

Źle się to dlań skończyło, gdyż policjanci nie omieszkali zająć się jego osobą, opisaną im przez Rotzkę, który znał go i to od dawna.

Odstawiony do stolicy komitatu, w obecności urzędników sądowych, przed których został doprowadzony. Orfanik bez oporu odpowiedział na pytania stawiane mu w czasie śledztwa zarządzo-nego w sprawie tej katastrofy.

Należy wyznać, że smutny koniec barona de Gortz nie wzruszył zbytnio tego egoistycznego uczonego maniaka, któremu na sercu leżały tylko jego wynalazki.

Co ważniejsze Orfanik, zapytany przez Rotzkę, potwierdził, że Stilla naprawdę umarła, oraz — to już były jego własne wyrażenia — została pogrzebana, i to solidnie pogrzebana, przed pięciu laty na cmentarzu Campo Santo Nuovo, w Neapolu.

Jego stwierdzenie nie wywołało jednakże tak wielkiego zdziwie-nia, jakie powinny przecież spowodować te dziwne wypadki.

Bo przecież, jeśli Stilla nie żyła, jak to mogło się stać, że Franciszek słyszał jej głos w oberży, potem widział ją na tarasie bastionu, później zaś upajał się jej śpiewem, gdy był zamknięty w krypcie?... W końcu, jakim sposobem widział ją żywą w komnacie baszty?

A oto wyjaśnienie owych dziwnych zdarzeń, które wydawały się niewytłumaczalne.

Przypominamy sobie, w jaką rozpacz popadł baron de Gortz, gdy rozeszła się wieść, że Stilla postanowiła opuścić teatr, by zostać hrabiną de Telek. Zabraknie mu cudownego talentu artystki, to znaczy wszystkich największych radości melomana!

Wtedy Orfanik zaproponował, że utrwali za pomocą aparatów fonograficznych podstawowe utwory z jej repertuaru, które artystka miała zaśpiewać w czasie poze-gnalnych występów. Aparaty te były już w tym czasie cudownie udoskonalone, a Orfanik uczynił je tak doskonałymi, że głos ludzki nie ulegał żadnym zniekształceniom ani w swym wyrazie, ani w czystości dźwięku.

Baron de Gortz przystał na propozycję fizyka. Fonografy zostały w tajemnicy stopniowo zamontowane w głębi zakratowanej łoży podczas ostatniego miesiąca sezonu. Na ich płytach

Orfanik zarejestrował kawatyny, romance operowe, melodię Stefano i arię końcową z „Orlanda”, przerwana śmiercią Stilli.

Oto w jakich warunkach baron de Gortz zamknął się w zamku Karpaty i tu każdego wieczoru mógł słuchać śpiewu, odtwarzanego przez tę wspaniałą aparaturę. I nie tylko słyszał Stillę, tak jakby był w swej łóż, lecz — co może się wydawać całkowicie niepojęte — widział ją, jakby była żywa i stała przed jego oczyma. Była to prosta sztuka optyczna.

Nie zapominajmy, że baron de Gortz nabył cudowny portret śpiewaczki. Portret przedstawiał ją w całej postaci, w białym stroju Angeliki z „Orlanda”, ze wspaniałymi, rozpuszczonymi włosami. Otóż za pomocą skośnych lusterek, ustawionych według kątów obliczonych przez Orfanika, gdy światło oświetliło portret umieszczony przed lustrem, Stilla w odbiciu wydawała się tak rzeczywistą jakby była w pełni życia i w pełni swej urody. To dzięki temu urządzeniu, przeniesionemu w nocy na taras bastionu, Rudolf de Gortz ukazał ją Franciszkowi de Telek, którego chciał zwabić do swej fortecy. To dzięki temu samemu aparatowi hrabia zobaczył Stillę w sali baszty, gdy fanatyczny admirał upajał się jej głosem i pieśniami.

Takie były, mówiąc zwięźle, wyjaśnienia złożone przez Orfanika bardziej szczegółowo w czasie przesłuchania. A trzeba to powiedzieć, że z bezgraniczną dumą deklarował się on jako autor tych genialnych wynalazków, które doprowadził do najwyższego stopnia doskonałości.

Jednakże jeśli Orfanik rzeczowo wyjaśnił te rozmaite zjawiska lub raczej „sztuczki”, aby użyć właściwego słowa, to nie wyjaśnił, dlaczego baron de Gortz nie zdążył przed wybuchem uciec przez tunel na przełęcz Vulkan. Dopiero gdy Orfanik dowiedział się, że kula strzaskała pudło, które Rudolf de Gortz niósł w swych ramionach — zrozumiał. Ten przedmiot to był aparat fonograficzny, który utrwalił przedśmiertny śpiew Stilli, którego Rudolf de Gortz chciał wysłuchać po raz ostatni w baszcie swego zamku przed jego ruiną. Lecz gdy aparat został zniszczony, życie barona de Gortz było także zniszczone, więc szalony z rozpacz postanowił pogrzebać się pod ruinami fortecy.

Baron Rudolf de Gortz został pochowany na cmentarzu we wsi Werst z honorami należnymi staremu rodowi, kończącemu się na jego osobie. Tymczasem młodego hrabiego de Telek Rotzko przewiózł do zamku w Krajowej, gdzie poświęcił się całkowicie pielęgnowaniu swego pana. Orfanik przekazał mu z ochotą fonografy z utrwalonymi innymi pieśniami Stilli i gdy Franciszek słuchał głosu wielkiej artystki, odzyskiwał przytomność umysłu; wydawało się, że jego dusza na wspomnienie tej niezapomnianej przeszłości powraca do życia.

Rzeczywiście. Po kilku miesiącach hrabia odzyskał zmysły i to dzięki niemu poznano szczegóły tej ostatniej nocy w zamku Karpaty. Dodajmy również, że ślub uroczej Mirioty i Nika Decka odprawiono w tydzień po katastrofie. Gdy narzeczeni otrzymali błogosławieństwo popa we wsi Vulkan, wrócili do Werstu, gdzie sędzia Koltz oddał im najpiękniejszy pokój w swym domu.

Lecz mimo że różne zjawiska związane z fortecą zostały wyjaśnione w sposób naturalny, nie należy sobie wyobrażać, że młoda kobieta przestała wierzyć w fantastyczne zjawy w zamczysku. I choć starał się ją przekonać Nik Deck, a także Jonasz, który pragnął przyciągnąć gości do „Króla Macieja” — nie została wcale przekonana, podobnie jak sędzia Koltz, pasterz Frik, nauczyciel Hermod i pozostali mieszkańcy Werstu. Prawdopodobnie wiele lat jeszcze musi upłynąć, aby ci poczciwcy pozbyli się wreszcie swych zabobonnych wierzeń.

Wszelako doktor Patak, który odzyskał swą zwykłą fanfaronadę, nie przestawał powtarzać tym, którzy chcieli go słuchać:

— Widzicie! Nie mówiłem wam?... Duchy w zamku!... Nie wierzę w żadne duchy!

Lecz nikt go nie słuchał i proszono go, by zamilkł, gdy jego kpiny przekraczały zwykłą miarę.

Zresztą także bakałarz Hermod nie przestał prowadzić swych lekcji na podstawie legend transylwańskich. I jeszcze długo młoda generacja wioski Werst będzie wierzyć, że goście z tamtego świata nawiedzają ruiny zamku Karpaty.